Biblioteka
U. M K.
Toruń
254013

WACŁAW SZYMANOWSKI

POEZYE I DRAMATA

TOM V

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1884.

POEZYE I DRAMATA.

254013

Wacław Szymanowski.

POEZYE I DRAMATA.

TOM V.

5

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.

1884.

Дозволено Цензурою,

Варшава 2 Февраля 1884 года.

254013

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Druk J. Bergera, Warszawa, Elektoralna Nr. 14.

MARION DELORME

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

Wiktora Hugo.

OSOBY.

MARION DELORME.
DIDIER.
LUDWIK XIII.
Margrabia de SAVERNY.
Margrabia de NANGIS.
L'ANGELY.
Pan de LAFFEMAS.
Książe de BELLEGARDE.
Margrabia de BRICHANTEAU
Hrabia de GASSÉ
Wicehrabia de BONCHAVANNES } oficerowie pułku
Kawaler de ROCHEBARON } Andegaweńskiego.
Hrabia de VILLAC
Kawaler de MONTPESAT
SCARAMUCCIO
GRACIEUX } komedyanci prowincyonalni.
TAILLEBRAS
Publiczny woźny.
Kapitan policyjny m. Blois.
Dozorca więzienny.
Pisarz sądowy.
Sędzia.
RÓŻA.
Panowie dworscy, robotnicy, komedyanci, straż, lud, szlachta, paziowie. 1638.

AKT I.

Schadzka.

MARION DELORME. MARGRABIA DE SAVERNY.
DIDIER. RÓŻA.

W Blois.

(Sypialnia. W głębi okno otwarte na ganek. Z prawéj strony stół, na stole lampa, przy stole fotel. Z lewéj strony drzwi zakryte dywanem. W alkowie łóżko.)

SCENA I.

Marion Delorme (w bardzo wykwintnym negliżu siedzi przy krosienkach). **Margrabia de Saverny** (młody człowiek, blondyn, bez wąsów, ubrany podług mody z r. 1638).

Saverny

(zbliżając się do Marion i usiłując ją pocałować).

Pogodźmy się Maryjko.

Marion (odpychając go z lekka).

Czyśmy się gniewali?

Saverny (j. w.).

Więc zgoda?

Marion (j. w.).

Dobrze, zgoda, tylko trochę daléj.

Saverny (j. w.).

A więc całusa.

Marion (j. w.).

Panie margrabio!

Saverny.

Masz tobie!
Dawniéj tak nie bywało — cóż ja złego robię?

Marion.

Pan się zapomniał.

Saverny.

Owszem, przypomniałem raczéj.

Marion (n. s.).

A to nieznośny natręt!

Saverny.

Niech pani wybaczy,
Ale dziwne pogłoski wciąż o tobie biegą,
Bo opuściłaś Paryż, i proszę, dla czego?

I gdy każdy na placu królewskim cię szuka,
Nagle w Blois cię spotykam... to dopiero sztuka.
Cóż tu robisz? Po tobie tam czarna żałoba.

Marion.

Robię co chcę, a chcę to co mi się podoba,
Wszakżem wolna.

Saverny.

To łatwo ci mówić, aniele;
Ale czyż także wolni twoi wielbiciele?
Ja pierwszy; drugi Gondi, co w ciężkiéj potrzebie
Mszy odbiegł, bo z Brionem miał się bić za ciebie;
Nesmond, d'Arquen, Caussadów dwóch i rudowłosy
Pardaillan, tak już wszyscy opuścili nosy,
Że żony na skończenie téj małżeńskiéj nędzy
Modlą się, abyś tylko wróciła czémprędzéj.

Marion (uśmiechając się).

I Beauvilliers?

Saverny.

Tak.

Marion.

Cereste?

Saverny.

Ten także po uszy
Zatonął.

Marion.

A Pons?

Saverny.

Ten cię nienawidzi z duszy.

Marion.

Tak... ten prawdziwie kocha. Ale prezes stary?
Jakże się zwie?... o... Leloup.

Saverny.

Ten już nie do wiary;
Ma twój portret i ciągle jakieś wiersze plecie.

Marion.

Tak, dwa lata już w moim kocha się portrecie.

Saverny.

Każdy robi co może; niech mnie piorun trzaśnie,
Czy wolno tak przyjaciół opuszczać?

Marion.

A właśnie
Dla tego taką żądzą samotności pałam.
Wszystkie te świetne grzechy, którym hołdowałam,
Sprawiły, że zejść pragnę raz już z tego toru.
Chcę pozostać w ukryciu, może do klasztoru
Wstąpię, już tylko w sercu żal i skruchę żywię.

Saverny.

Oj! miłostka się pod tém kryje niewątpliwie.

Marion.

Tak sądzisz?

Saverny.

Pod zakonną któż skryje zasłoną
Oczy, co takim ogniem błyskawicznym płoną?
Niepodobna... to jakaś parafialna zmora...
Przyznaj, na romantyczność wiejską jesteś chora.

Marion.

Wcale nie.

Saverny.

Stawię w zakład sto luidorów.

Marion.

Różo,
Która godzina?

Róża (zewnątrz).

Północ.

Saverny.

I po cóż tak dużo
Wybiegów? pozbyć się mnie chcesz.

Marion.

Samotnie żyję
Tutaj, na odwiedziny nie czekam niczyje;
A wreszcie przyznam, że się i o ciebie boję:
Ta samotna ulica... tu częste rozboje!..

Saverny.

Niech mnie okradną.

Marion.

A jak zabiją?

Saverny.

Ha! trudno,
Niech mnie zabiją.

Marion.

Ależ...

Saverny.

Jesteś dziś przecudną.
Na honor, aż się oczom własnym nie dowierza...
I powiedz, na jakiego czekasz tu pasterza?

Marion.

Na nikogo.

Saverny.

Twój sekret nic na tém nie straci;
Choć ludzie głoszą, że my jesteśmy waryaci.

Obmowni i plotkarze, ciekawcy, kłótnicy,
To ręczę, że z nas żaden cudzéj tajemnicy
Nie rozgłosi... Cóż? milczysz?

(Siada.)

Zostaję.

Marion.

Więc dobrze.
Kocham i czekam tutaj na kogoś.

Saverny.

A róbże
Sobie co chcesz. Czy tutaj?

Marion.

Tak, tutaj.

Saverny.

A kiedy?

Marion.

Zaraz.

(Podchodzi ku gankowi i słucha.)

To on.

(Powracając:)

Nie.

(Do Savernego:)

I cóż? kontent jesteś?

Saverny.

Z biedy
Trzeba mi i to przyjąć.

Marion.

No, zostaw mnie samą.

Saverny.

Wskaż przynajmniéj nazwisko jego, piękna damo.
Niechaj wiemy przed jakim szczęśliwcem się kłonim.

Marion.

On się nazywa Didier, więcéj nie wiem o nim,
A mnie zna pod imieniem Maryi.

Saverny.

Maryi! Trzysta
Kaduków! więc to tak?

Marion.

A tak.

Saverny (śmiejąc się).

Sielanka czysta.
To doprawdy z Segrais'go eglogi kochanek,
I ręczę, że się tutaj zakradnie przez ganek.

Marion.

Być może. Teraz odejdź, wszakże byłam szczerą.

Saverny (przybierając ton poważny).

A czy przynajmniéj szlachcic?

Marion.

Nie wiem.

Saverny.

To dopiero!

(Do Marion, która go łagodnie odpycha ku drzwiom:)

Odchodzę już, odchodzę.

(Wracając się:)

Ale... jeszcze słowo:

Jakiś autor dla ciebie wydał książkę nową,

(wyjmuje książkę z kieszeni i podaje Marion)

I ogromny nią sobie rozgłos wszędzie czyni.

Czytaj.

Marion (czyta).

„Wieniec miłosny dla Delorme Maryni."

Saverny.

Wszyscy tam uwielbiają te sonety wieszcze

Na równi z Cydem, może wyżéj nawet jeszcze.

Marion (bierze książkę).

No, dobranoc!

Saverny.

Bądźże tu poetów przedmiotem,

Żeby się dla wieśniaka w Blois zakopać potém.

Marion (przywołując Różę)

Odprowadź margrabiego, Różo.

Saverny (kłaniając się).

To zjawisko
Niezwykłe. Biedna Marion, jakże spadasz nizko!

SCENA II.

Marion (sama).

(Przymyka drzwi, przez które Saverny wyszedł.)

Przecię... obawiałam się, że Didier...

(Słychać zegar bijący północ.)

Dwunasta!

(Przerachowawszy uderzenia młotka zegarowego:)

Powinien przyjść.

(Podchodzi do ganku.)

Szmer żaden nie dochodzi z miasta.

(Powraca na miejsce i siada rozjątrzona.)

Już się spóźnia, już...

(Młody człowiek ukazuje się po za balustradą ganku, przeskakuje ją szybko i składa na fotelu płaszcz i szpadę. Kostium czarny z XVII wieku. Robi krok naprzód, zatrzymuje się i przygląda się Marion, siedzącéj z oczyma spuszczonemi.)

SCENA III.

Marion, Didier.

Marion (podnosząc oczy z wykrzykiem radości).

Boże!

(Z wymówką:)

Na oczekiwanie

Skazywać mnie...

Didier (poważnie).

Wahałem się czy wejść tu.

Marion (z urazą).

Panie!

Didier (nie zważając na to).

Tak, tu, pod twoim gankiem drżało w sercu mojém
Zwątpienie połączone z dziwnym niepokojem
I litością dla ciebie. Bo mówiłem sobie:
Nieszczęsny i przeklęty człowiek, cóż ja robię?...
Tam, w promieniu piękności, ciszy i swobody
Czuwa anioł bez skazy, perła czystéj wody,
Dziewica światłem tchnąca, od Boga kochana,
Przed którąby powinni padać na kolana
Ludzie,— a ja na życie skazan pełzające,
Po cóż tę czystą wodę zakłócam i mącę?
Po co zrywam tę lilię i duszą zbrukaną
Pragnę zaćmić jak promień słońca jasne rano?
Kiedy się méj zacności powierzyła szczerze
Ta gołąbka tak czysta w miłości i wierze,
Jak śmiem żądać, by w życiu podążała ze mną,
Do dni jasnych wplatając tę noc moją ciemną?

Marion (na stronie).

Coś się na religijne porównania sili,
Może to hugonota?

Didier.

Lecz po krótkiéj chwili
Z tych marzeń rozbudzony słów twoich szelestem,
Zwątpienie odpędziłem zdala, i już jestem.

Marion (niespokojna).

Słyszałeś mnie mówiącą... istotnie się dziwię...

Didier.

Z kimś innym.

Marion.

Tak jest, z Różą, z Różą, niewątpliwie,
Głos Róży obdarzony dziwnie męzką siłą:
Nie prawdaż? Lecz przybyłeś, wszystko się skończyło,
Już się nie gniewam, siadaj, to tak... bez przyczyny...
(Wskazuje mu krzesło przy sobie.)
Siadaj.

Didier.

Nie, u nóg twoich.
(Siada na taborecie przy nogach Maryi i spogląda na nią przez chwilę w niemém uwielbieniu.)
Mój skarbie jedyny,
Zwę się Didier. W sieroctwie dni swe rozpocząłem.
Rzucono mię dziecięciem nagiém przed kościołem.
Staruszka z kościelnego podniosłszy mnie progu,
Wzięła mnie i została moją matką w Bogu,
Wychowując mnie w wierze Chrystusa od młodu.
Gdy umarła, zostało się po niéj dochodu

Dziewięćset liwrów, które bogactwem mém całém.
Tak samotny i smutny w świecie pozostałem.
Poznałem ludzi, w życie podążając twarde;
Dla jednych mam nienawiść, dla drugich pogardę,
Bo widzę, jak się puszą, szkalują i swarzą
Pod tém zaćmioném lustrem co zwą ludzką twarzą,
Tak, że dziś, chociaż jestem niezasobny w lata,
Świat mnie znużył jak tego, co schodzi ze świata,
Bo o co trącę w drodze, to rani i pali;
Świat jest zły, człowiek gorszy. Więc tak żyłem daléj,
Odpychając od siebie każde ludzkie echo,
Kiedyś ty mi niebiańską błysnęła pociechą.
Nie wiem nawet kto jesteś. Na ulicy skręcie
Poznałem cię w Paryżu, tym ludzi odmęcie;
Tyś mi serce od razu wzięła i osnuła;
Twoje oczy są słodkie, twoja mowa czuła,
Bałem się cię pokochać i uciekłem,— ale
Spotkałem cię tu znowu, i w miłosnym szale
Już się nie strasząc mojéj swobody zatratą,
Pragnąłem mówić z tobą, tyś przystała na to.
Teraz bierz mnie, do ciebie już należę wiecznie.
Mów, co chcesz, jak niewolnik wszystko uskutecznię;
Wskaż jak moje usługi przydać ci się mogą.
Może pożądasz czego, lub może chcesz kogo
Coby umarł dla ciebie bez jęku, bez drgnienia,—
Całą krew dla jednego przelawszy wejrzenia,
Jestem tu, bądź mi szczęściem, karą i zapłatą.

Marion.

Dziwny jesteś Didierze, kocham ciebie za to.

Didier.

Kochasz mnie! z tym wyrazem bądź jednak ostrożna,
Tego wyrazu na wiatr wymawiać nie można;
Kochasz mnie, ale czy wiesz ty, gołąbko biała,
Że w taką miłość wnika życie i krew cała,
Że ona zmartwychwstaniem, co odżywia zgliszcza.
Że nas wznosi ku Bogu i duszę oczyszcza,
Że kiedy raz już w sercu na zawsze zagości,
Panuje tam na szczątkach innych namiętności,
I że miód wysączywszy z rozkoszy kielicha,
Na gruzach szczęścia przetrwa spokojna i cicha
I przeżyje w ostatniém jeszcze serca tętnie.

Marion.

Didierze!

Didier.

Nie wiesz jak ja cię kocham namiętnie!
W dniu, w którym po raz pierwszy stanęłaś przedemną,
Promień słońca ozłocił przeszłość moją ciemną,
I przejrzałem, a odblask twéj postaci złoty,
Jakby widmo promienne anielskiéj istoty
Lśni mi, ta miłość ciągle silniejsza i większa,
Nadzieję we mnie krzepi i życie upiększa.
Nim mi się objawiłaś, w tém życiu zbolałém
Cierpiałem i walczyłem, ale nie kochałem.

Marion.

Biednyś ty!

Didier.

Maryo droga!

Marion.

A więc tak... Mój Boże,
I ja cię kocham więcéj niżeli ty może
Kochasz mnie; wszędzie byłam, kędy twoja droga
Szła, i ja szłam za tobą.

Didier (padając na kolana).

O, nie zwodź mnie, droga!
Poświęć mi swoją miłość, w moją uwierzywszy,
A ja będę nad wszelkie nadzieje szczęśliwszy,
I życie przy twych nogach spłynie jedną chwilką
W miłosném uniesieniu... O, nie zwodź mnie tylko!

Marion.

Czém usunę zwątpienia, co cię niepokoją?

Didier.

Wszakżeś wolna?

Marion (zakłopotana).

Tak... wolna.

Didier.

A więc zostań moją,
Bądź mi siostrą, bądź żoną.

Marion (na stronie).

A jam go niegodna!

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

Didier.

I cóż?

Marion.

Ale...

Didier.

Rozumiem... to nadzieja zwodna.
Bez nazwiska, imienia, czém jestem przy tobie?
Zostaw mnie samotności mojéj i żałobie:
Żegnam cię.

(Robi krok do wyjścia, Marion go zatrzymuje.)

Marion.

Didierzę mój!

Didier (wracając się).

Przebacz!

(Zbliża się do niéj.)

Ale czyli
Nie pragniesz, byśmy sami tu dla siebie żyli,
I wzajemną serc naszych wiedzeni potrzebą,
Utworzyli we dwoje ojczyznę, raj, niebo!

Marion.

Tak... niebo!

Didier.

Ty się wahasz? czemu?

Marion (na stronie).

O, ja biedna!

(Głośno:)

Nie mogę.

Didier.

Więc cię moja ofiara nie zjedna?
Odtrącasz miłość, którą ja dla ciebie pałam!
Mówże?

Marion (na stronie).

Dzień nieszczęśliwy, w którym go poznałam!

(Głośno:)

Powiem ci... lecz nie... mowa twa duszę mi rani...
Tak, wyjaśnię ci wszystko...

Didier (zimno).

Cóż czytałaś pani
Kiedym tu przybył?

(Bierze książkę.)

Książka... Co!... „Wieniec miłosny
Dla Delorme"... Jakto? dla niéj!...

(Rzuca gwałtownie książkę o ziemię.)

Téj istoty sprosnéj
Cierpieć nie mogę.

Marion (drżąca).

Panie!

Didier.

Zkąd do ciebie ona?
Zkąd do ciebie ta książka?

Marion (nieśmiało spuszczając oczy).

Traf...

Didier.

O! ta spodlona
Kobieta!... Bo czyliż wiesz ty, biały aniele,
Czém jest ta Marion Delorme, ten grzech w ludzkiém ciele,
Zgnilizna pod pięknością? Kto chce, kupić może
Jéj miłość, co wstręt budzi i zgrozę!...

Marion (zakrywając twarz rękami).

Mój Boże!

(Z ulicy słychać szczęk broni i wołanie:)

Na pomoc!

Didier (zdziwiony).

Krzyki jakieś tam słychć z daleka.

(Znowu krzyk:)

Ratunku!

Didier (spoglądając z ganku).

Zabijają tam pewnie człowieka!

(Porywa z krzesła szpadę i przeskakuje przez balustradę ganku. Marion powstaje, biegnie ku niemu i stara się go zatrzymać za połę płaszcza.)

Marion.

Didierze! zostań! tam śmierć! Straszną trwogę czuję!

Didier (zeskakując na ulicę).

Nie... to jego tam zabić mogą.

(Za oknem do walczących:)

Stójcie, zbóje!

Trzymaj się pan... tak... dobrze...

(Słychać szczęk broni.)

Teraz z prawéj strony!

Marion (na ganku z przestrachem).

Ach! sześciu na jednego!

(Głos z ulicy:)

To szatan wcielony!

(Szczęk broni zmniejsza się stopniowo i wrzawa ustaje. Słychać kroki oddalających się. Didier ukazuje się po za balustradą ganku.)

Didier (po za gankiem obrócony ku ulicy).

Ocalonyś pan, teraz idź już w swoją drogę.

Saverny (z ulicy).

Twoja ręka?

Didier.

Oto jest, idź pan.

Saverny (z ulicy).

Nie, nie mogę,

Pragnę ci podziękować.

Didier (gniewnie).

Idź pan już, czas wielki,
Kwituję z podziękowań i z wdzięczności wszelkiéj.

Saverny (przeskakując balustradę).

Muszę ci podziękować.

Didier (niezadowolony).

Bez tego mozołu
Mogłeś pan najwygodniéj podziękować z dołu.

SCENA IV.

Marion, Didier, Saverny.

Saverny.

(wskakując do pokoju ze szpadą obnażoną w ręku).

To widzę jakaś dziwna maniera jest wasza,
Że się kogoś ocala i za drzwi wyprasza.
Zgoda... lecz kto się mojém nazwiskiem zaszczyca,
Jeżeli ocalony został przez szlachcica,
To mu powie: „Margrabio... gdyśmy się poznali,
Jak pana nazwać?"

Didier.

Didier.

Saverny.

A daléj?

Didier.

Nic daléj.
Zbóje pana napadli, jam przybył, i cało
Wyszedłeś pan. Dobranoc!

Saverny.

To jeszcze za mało,
Bo wolałbym był ponieść śmierć z zbójeckiéj dłoni,
Niźli takie przyjęcie tu zyskać... Wszak oni
Szli w sześciu na jednego... to ciężko, przeklęcie.

(Spostrzegając Marion, która starała się dotychczas unikać jego wzroku:)

Ale jak widzę, pan masz tu pilne zajęcie.
Wybacz pan, bo zapewne przerwali ci zbóje
Słodką rozmowę; ale...

(Podchodzi ku drżącéj Marion i poznaje ją.)

(Po cichu do Marion:)

To pani!

(Na stronie:)

Pojmuję,
To on!

Marion (cicho).

Gubisz mnie!

Saverny (kłaniając się jéj).

Pani...

(Na stronie:)

To rzecz niesłychana!

Marion (po cichu).

Kocham go po raz pierwszy w życiu.

Didier (na stronie).

Na szatana,
Ten człowiek zbyt zuchwale patrzy na nią! Biada...
(Gasi lampę uderzeniem pięści.)

Saverny.

Pan gasisz lampę?

Didier.

Tak jest... odejść nam wypada
Razem.

Saverny.

Więc zgoda, idę z panem.
(Do Marion, oddając jéj głęboki pokłon:)
Żegnam panią.

Didier.

Idźmy.
(Na stronie:)
Jak śmiało patrzał ten gołowąs na nią!

Saverny.

Strasznieś pan szorstki, ale winienem ci życie,
Więc jeśli będziesz żądał jawnie albo skrycie
Pomocy w czémbądźkolwiek lub w jakimbądź celu...
(Kłania się.)

Margrabia de Saverny, w Paryżu, w hotelu De Nesle.

Didier.

Tak.

(Na stronie:)

Dziwnie oczy miał na nią zwrócone!

(Wychodzą razem za ganek, słychać na ulicy głos Didier'a:)

Pańska droga tamtędy, a moja w tę stronę.

SCENA V.

Marion, Róża.

Marion

(pozostaje przez chwilę w zamyśleniu; po chwili woła).

Różo!

Róża (ukazując się we drzwiach).

Zamknij to okno.

(Róża podchodzi do okna i zamyka je, potém odwraca się i widzi Marion ocierającą łzę.)

Róża (na stronie).

Cóż to znowu? ona Płacze?

(Głośno:)

Czas już spać.

Marion.

Rozbierz mnie.

Róża (na stronie).

Coś zasępiona.

(Głośno, rozbierając Maryę:)

Widzi pani, znużeni spoczynkiem nie gardzą...
Ten dzisiejszy nasz panicz jest bogaty bardzo?

Marion.

Nie.

Róża.

Możny?

Marion.

Nie.

Róża.

U dworu pewno dobrze stoi?

Marion.

On się nawet ustami nie tknął ręki mojéj!

Róża.

Ba!... to i na cóż z takim ceregielów dużo?...
I cóż pani z nim robisz?

Marion.

Ja go kocham, Różo.

AKT II.

Pojedynek.

OSOBY.

MARION DELORME.	Hrabia de GASSÉ.
DIDIER.	Kawaler de ROCHEBARON.
Margrabia de SAVERNY.	Kawaler de MONTPÉSAT.
L'ANGELY.	Hrabia de VILLAC.
Margrabia de BRICHANTEAU.	Kapitan straży.
Margrabia de BONCHAVANNES.	Woźny.

W Blois.

(Otwarte drzwi od oberży; przed niemi plac miejski. W głębi miasto Blois ułożone w amfiteatr; na pagórku pokrytym domami widnieją wieże kościoła Ś-go Mikołaja.)

SCENA I.

Hrabia de Gassé, margrabia de Brichanteau, wicehrabia de Bonchavannes, kawaler de Rochebaron.

(Wszyscy siedzą przy stołach pode drzwiami. Jedni palą fajki, drudzy grają w kości i piją.)

Rochebaron (powstając z miejsca, do wchodzącego Gassé'go). Gassé!

(Ściskają się za rękę.)

I ty do pułku — trzeba być szczęśliwcem!
Możesz powiedzieć, że cię pogrzebano żywcem.

(Przypatrując się jego ubraniu:)

He?...

Gassé.

Moda — żółty kaftan, błękitne kokardy.

(Zakłada ręce nakrzyż i pokręca wąsa.)

Dwadzieścia mil z Paryża tutaj, orzech twardy
Do zgryzienia.

Brichanteau.

To Chiny.

Gassé.

Tak, na wielką mękę
Tych pań, im tak daleko jechać nie na rękę.

Bonchavannes (odwracając się od gry).

Pan z Paryża?

Brichanteau (wyjmując fajkę z ust).

Cóż robią w Paryżu?

Gassé (kłaniając się).

A wielu
Ich tam jest, zbzikowali wszyscy na Kornelu.
Gast ma order, Guiche księciem i niewiele pono
Już więcéj; hugonotów kilku powieszono;

Pojedynków w bród; jeśli mnie pamięć nie myli,
D'Angennes z d'Arquen'em o szal w sobotę się bili;
Lavardin wyzwał Ponsa, dla głupich przechwałek,
Że mu żonę Sourdis'a zdmuchnął; w poniedziałek
Znowuż, Sourdis d'Aillé'go dla jednéj z aktorek
Z Mondori, potém Lachatre Nogent'a we wtorek
Za nieortograficzne pisanie, we środę
Gorde bił się z Margaillan'em wprost już o pogodę;
D'Humière z Gondi'm zadarli o ławkę w kościele;
Brissac'y z Soubis'ami także o niewiele,
Bo o psa i o konia wywiedli turnieje;
Caussade zaś z Latournelle'm tak, o wiatr, co wieje;
Dla przyjemności Caussade zabił Latournell'a.

Brichanteau.

Toż dopiero się Paryż dzielnie rozwesela!

Gassé.

Ha, moda.

Brichanteau.

Pojedynek, miłostki, do licha!
Tam się żyje i jakoś swobodniéj oddycha.
(Ziewając:)
Ale tutaj prawdziwie to klasztorna cela...
(Do Gassé'go:)
A więc mówisz, że Caussade zabił Latournell'a?

Gassé.

Tak, dobrém pchnięciem szpady.

(Przypatrując się rękawom Rochebaron'a:)

A to co, kochanie?
Taki ubiór w Paryżu już ani postanie.
Pętliczki i guziczki dla liberyi służą;
Świat modny nosi wstążki.

Brichanteau.

Więc mówisz, że dużo
Pojedynków; a cóż król powiada?

Gassé.

Kardynał
Już na dobre tém wszystkiém jątrzyć się zaczynał.

Bonchavannes.

A z obozu?

Gassé.

At sobie, po staremu daléj
Idzie; wzięliśmy Figuières, czy nam je zabrali...
(Przypominając sobie:)
Nie, to nam je zabrali.

Rochebaron.

Cóż król mówi na to?

Gassé.

Kardynał ubolewa wielce nad tą stratą.

Brichanteau.

A na dworze co słychać? jakże tam król? zdrowy?

Gassé.

Kardynał ma podagrę, cierpi bole głowy
I nie wyjeżdża.

Brichanteau.

Skończ raz z tém matactwem całém:
Pytam o króla, ty mnie sypiesz kardynałem.

Gassé.

Ha, taka moda.

Bonchavannes.

Więc nic nowego?

Gassé.

Cóż znowu!...
Jest nowość, i to nowość najlepszego chowu,
Wiadomość ta w Paryżu narobiła piekła...
Bo czy wiecie?... uciekła, dalibóg uciekła...

Brichanteau.

Kto taki?

Gassé.

Marion Delorme; tak, ona, niech zginę,
Znikła.

Brichanteau (tajemniczo).

To my ci znowu powiemy nowinę:
Ona jest tutaj.

Gassé.

Jakto? tu w Blois?

Brichanteau.

Incognito.

Gassé (wzruszając ramionami).

Chyba sobie margrabio stroisz żarty? Czy to
Podobna? Ona, Marion, ta królowa mody?
A przecięż Paryż i Blois to dwa antypody;
Spojrz do koła, tu wszystko brzydkie, brudne, stare...
(Wskazując na wieżę Ś-go Mikołaja:)
Sam powiedz czy gdzie znajdziesz tak skopconą farę?

Rochebaron.

Prawda.

Brichanteau.

Ależ ją widział Saverny na oczy,
Właśnie, ona kochanka ma tu na uboczy...
A trzeba ci znów wiedzieć, że w Blois to jak w kniei,
Tu na ulicach pełno zbójców i złodziei,
Savernego cała ich banda napadała,
Ten amant go ocalił, i ot sprawa cała.

Gassé.

Dalipan, to ciekawe.

Rochebaron (do Brichanteau).

Zkąd ten kaprys babi?

Brichanteau.

Daję słowo na herb mój z koroną margrabi,
Że prawda. O, ten amant to odważna sztuka!
Od kiku dni Saverny napróżno go szuka.

Bonchavannes.

Czemuż go nie poszuka u niéj?

Brichanteau.

Nie ma rady,
Odmieniła mieszkanie i zatarła ślady:
Ani znaku.

(Marion i Didier przechodzą powoli w głębi sceny, niespostrzeżeni przez rozmawiających, i wchodzą do sąsiedniego domu bocznemi drzwiami.)

Gassé.

To cały świeżych nowin motek;
I ja aż w Blois światowych szukać muszę plotek!

(Wchodzą Villac i Montpesat, sprzeczając się pomiędzy sobą.)

Villac.

A ja ci mówię, że tak.

Montpesat.

A ja mówię, że nie.

Villac.

U mnie Kornel to partacz.

Montpesat.

U mnie w wielkiéj cenie.
Pomyśl sam: Kornel, autor *Cyda* i *Melity*.

Villac.

No—*Melita*, to jeszcze utwór znamienity,
Ja sam przyznaję, że to tragedya nielada,
Ale po tém już Kornel ciągle tylko spada,
Galerya pałacowa jeszcze miernie idzie,
Ale *Cyd* to nędzota; co ty widzisz w *Cydzie?*

Gassé.

Pan widzę nie fanatyk.

Villac.

My za wiele czynim
Z Kornela; toż Scudéry jest olbrzymem przy nim.
Jakiż styl ma twój Kornel? kleci sobie rymy
Bez poetycznych ozdób, wprost jak my mówimy:
Tak rzeczy po imieniu nazywać nie można.
Powtóre, twój *Cyd* jeszcze, to sztuka bezbożna;
Przyznaj, czyż się z Chimeną Cyd żenić ma prawo?

Pyram i Bradamanta to mi sztuka, brawo!
By taką schlastać, Kornel musiałby wstać z rana.

Rochebaron (do Montpesat'a).

Słusznie, oto wielkiego czytaj *Solimana*
Mairet'a; to tragedya! tak się u nas pisze.

Villac.

Przytém twój Kornel dumny jak wszyscy hołysze.
Jemu się zdaje, że jest równy z Boisrobert'em,
Chapelain'em, Mairet'em, Gombault'em, Habert'em.
Batru, Giry, Colletet, ot to mi nazwiska;
To cała akademia, mój bracie, paryzka,
A nie jakiś tam Kornel.

Rochebaron

(uśmiechając się litościwie wzruszając ramionami).

Głupiec, daję słowo.

Villac.

A przy tém jakąś szkołę chcę wprowadzić nową;
Nową szkołę, po Hardy'm albo Teofilu!
U nas się już geniuszów namnożyło tylu
I to takich, że niechaj się poci i sili
Jak chce, powtórzy tylko co inni mówili.
Chapelain o tém pisał wielką rymowaną
Satyrę.

Rochebaron.

Mówię, głupiec.

Bonchavannes.

A mnie zapewniano,
Że Kornel poetycznéj ma wiele swobody.

Montpesat.

Z pewnością.

Villac.

Gdyby dobréj trzymał się metody,
I pilnował się zasad Arystotelesa...

Gassé.

Panowie, raz już sprzeczkę tę skończcie, do biesa!
Dziś po Garnierze Kornel jest modnym widzicie,
Zupełnie tak jak w czapkach pilśń po aksamicie.

Montpesat.

Ja przekładam Kornela i czapki pilśniowe.

Gassé (do Montpesat'a).

Przesadzasz.

(Do Villac'a:)

Tak, przesadzasz, bo na moją głowę,
Garnier szczytny, choć Kornel ma także coś.

Villac.

Zgoda.
Trudno, trzeba go chwalić, kiedy taka moda.

Brichanteau.

Lecz twój Kornel nie szlachcic, jakby się zdawało.

Rochebaron.

W nazwisku tém mieszczaństwo czuć o milę całą.

Bonchavannes.

To rodzina jurystów, nawet niezbyt dawnych,
Na procesach i aktach zbogacona prawnych.

(Wchodzi L'Angely i zasiada przy jednym ze stolików samotnie i w milczeniu. Kostium aksamitny czarny ze złotemi sznurami.)

Villac.

Jeśli teatr zapełnią takim małkamentem,
To już wielka tradycya przepadnie ze szczętem
I sam Richelieu nawet...

Gassé

(po cichu, spoglądając z ubocza na L'Angelego).

Mów: kardynał książę,
Lub milcz.

Brichanteau.

Co tam! języka nikt mi nie zawiąże;
On rządzi, ma skarb, armię, tego mu nie bronim,
Niechże nam wolno będzie słówko brzdąknąć o nim.

Bonchavannes.

Niech ginie ten, co głaszcze, a zabija skrycie,
Człowiek o krwawéj dłoni i krwawym habicie!

Rochebaron.

Bo i proszę, po cóż król?

Brichanteau.

Ciemna ludu fala
Spogląda na to światło, co jéj błyszczy zdala.
Kardynał jest płomieniem, a król to latarnia,
Co w swe skopcone szyby ten płomień ogarnia.

Rochebaron.

Gdyby się można zająć tych długów wypłatą...

Brichanteau.

Trzebaby się nam złączyć.

(Do Bonchavannes'a:)

Cóż ty hrabio na to?

Bonchavannes.

I poznałby kardynał co się u nas święci.

L'Angely (powstając, ponurym głosem).

Co... spisek? Marillac'a chciejcie mieć w pamięci!

(Wszyscy przerażeni spoglądają w milczeniu na L'Angelego, który znowu zabiera swoje miejsce.)

Villac (biorąc Montpesat'a na stronę).

Kawalerze, przed chwilą w Kornela obronie
Odzywałeś się do mnie w niewłaściwym tonie,
Więc muszę ciebie wyzwać, choć nie szukam zwady.

Montpesat.

Na pistolety?

Villac.

E... nie.

Montpesat.

Więc wolisz na szpady?

Villac.

Na jedno i na drugie.

Montpesat (biorąc go pod rękę).

No, to zuchowato.

L'Angely (powstając).

Pojedynek... Boutteville poszedł na śmierć za to.

(Nowe przerażenie pomiędzy obecnymi. Villac i Montpesat oddalają się od siebie, patrząc na L'Angelego.)

Rochebaron.

Co to za człek z spojrzeniem dziwnie nieprzyjaznem?

L'Angely.

Nazywam się L'Angely, jestem króla błaznem.

Brichanteau (śmiejąc się).

Nie dziwię się, że smutek wciąż na dworze gości.

Bonchavannes (śmiejąc się).

Błazen kardynalista nie do wesołości.

L'Angely (w postawie stojącéj).

Strzeżcie się kardynała, on ma czujne oko!
To kosiarz co swą kosą zagarnia szeroko,
Po tém wszystko pokryje suknia purpurowa
I cisza.

(Milczenie ogólne.)

Gassé.

Do stu katów!

Rochebaron.

Ja już ani słowa.

Brichanteau.

Przy tym błaźnie sam Pluton to facecyonista!

(Tłum ludzi wychodzi z placów i domów miejskich. W pośrodku woźny miejski na koniu z czterema pachołkami w rządowéj liberyi, z których jeden uderza w bęben, a drugi dmie na trąbie.)

Gassé.

Patrzcie panowie, woźny tak, rzecz oczywista:
Edykt. Cóż tam za nowe prawo nam zastrzegą?

Brichanteau

(do ulicznego skoczka, zmieszanego z tłumem i niosącego małpę na ręku).

Powiedz-no mi, który z was prowadzi drugiego?

Montpesat (do Rochebaron'a).

Zobacz, czy nasze talie kart w całym komplecie.
(Pokazując na pachołków miejskich:)
Ręczę, że nam po jednym skradziono walecie.

Woźny (nosowym głosem).

Milczenie!

Brichanteau (po cichu do Gassé'go).

Spojrz-no tylko jak zerka z ukosa,
A cały głos nie z gęby wychodzi, lecz z nosa.

Woźny.

Panowie, proszę słuchać: „My Ludwik Trzynasty..."

Bonchavannes (po cichu do Brichanteau).

Tak, Richelieu się chowa pod ten płaszcz łaciasty.

Woźny (czytając daléj).

„Król Francyi i Nawarry."

Brichanteau (do Bonchavannes'a).

Widzisz jaki czuły!
Zabrał mu całą władzę, zostawił tytuły.

Woźny (czytając daléj).

„Oświadczamy wszem w obec, każdemu z osobna:
„Ponieważ pojedynków w kraju niepodobna
„Wyplenić, jak przez kary twarde i surowe,
„Stanowimy, że będzie skazany na głowę

„Każdy, co się na życie waży targnąć czyje,
„Czy obadwaj przeżyją, czy jeden przeżyje.
„Sądowi pilne o tém zlecamy staranie.
„Pójdą na szubienicę szlachta czy mieszczanie,
„Ci co do pojedynku gdziebądź jakbądź staną.
„Aby ustawa była lepiéj szanowaną,
„Prawo łaski się znosi na ten raz."

Brichanteau (do Bonchavannes'a).

To hula!

Woźny.

Podpisano: „Król Ludwik Trzynasty," przez króla „Richelieu."

(Wielkie wrażenie pomiędzy obecnymi.)

Brichanteau.

Co? nas wieszać jak mieszczan, to zgroza!

Bonchavannes.

Na dobrego szlachcica gdzie znajdzie powroza?

Woźny (kończąc).

„Żeby o tém wiedziała cała miejska rzesza,
„Tu na placu publicznym edykt się zawiesza."

(Dwaj pachołkowie zawieszają edykt na drągu żelaznym, który wychodzi ze ściany jednego z domów z prawéj strony sceny.)

Gassé.

Teraz już wszyscy dobrze czytać to możemy.

Brichanteau.

No, rozumiem, to edykt będzie wisiał, nie my.

(Woźny oddala się. Plac się wyludnia. Wchodzi Saverny. Zaczyna się ściemniać.)

SCENA II.

Ciż sami, Saverny.

Brichanteau.

A... przychodzisz kuzynie! No, i cóż się dzieje?
Jakże się ma twój zbawca? Co robią złodzieje?
Czyś odszukał nareszcie romansowe stadło?

Saverny.

Szukałem, ale wszystko bez śladu przepadło
I prysło jak cień nocny przy zorzy świtaniu.

Brichanteau.

Aleś go musiał widzieć przecię w jéj mieszkaniu,
Po téj walce z rycerskim stoczonéj zapałem?

Saverny.

Lampę zagasił zaraz i nic nie widziałem.

Gassé.

Rzecz dziwna, boście sobie już podali dłonie?

Brichanteau.

Lecz spotkawszy go poznasz go, przecię?

Saverny.

I to nie.

Brichanteau.

A wiesz jak się zwie?

Saverny.

Didier.

Brichanteau.

To nie ludzkie miano,
Coś zakrawa z mieszczaństwa.

Saverny.

Gdyby powiedziano,
Że to jest chłop, odjęty od pługa i brony,
Dla mnie byłby on zawsze szlachetnie zrodzony,
Jest bowiem z tych, co w chlubę i zasługi rosną.
Ja miałem sześciu zbójów, on schadzkę miłosną,
I ażeby ocalić mnie, w żądzy rycerskiéj
Marion Delorme porzucił; to czyn bohaterski,
Niełatwoby się może znalazł taki drugi.
Niech żąda krwi, dług spłacę.

Gassé.

Więc ty płacisz długi?
Odkądże, chciałbym wiedzieć?

Saverny (dumnie).

Lichwiarzy, co grabią,
Nie płacę; lecz krwi długi zawsze płacę, hrabio.

(Podczas téj rozmowy noc zapadła. W oknach przyległych domów kolejno zabłyskują światła. Wchodzi posługacz miejski i zapala latarnię przed edyktem królewskim. Drzwi, przez które weszli Marion i Didier, otwierają się. Wychodzi z nich Didier, zawinięty w płaszcz i z miną zamyśloną postępuje naprzód.)

SCENA III.

Ciż sami, Didier.

Didier (zbliżając się z głębi teatru, mówi sam do siebie).

Margrabia de Saverny, ta lalka paryzka,
O, chciałbym właściciela raz tego nazwiska
Spotkać.

Bonchavannes

(wołając na Savernego, który rozmawia z Brichanteau).

Saverny!

Didier.

To on.

(Zbliża się z oczami wlepionemi w młodych ludzi i siada pod latarnią, pod którą jest zawieszony edykt, o kilka kroków od L'Angelego, który siedzi na miejscu milczący i nieruchomy.)

Bonchavannes (do Savernego, który się odwraca).

Znasz ustawę nową?
Czytałeś edykt?

Saverny.

Jaki?

Bonchavannes.

Co wzbrania surowo
Pojedynków.

Saverny.

To słuszne.

Brichanteau.

Okoliczność drobna!
Tylko że szubienicą grozi.

Saverny.

Niepodobna.
Motłoch, zgoda, ale nas?

Brichanteau (pokazując mu edykt).

Wisi tam na ścianie.
Przeczytaj.

Saverny (wskazując na Didier'a).

Ot ten może przeczytać.
(Do Didier'a, podnosząc głos:)
Hej! panie,
Mój ty tam, w dużym płaszczu!
(Do Brichanteau:)
To dopiero sztuka
Nieruchawa, czy głucha?

(Do Didier'a głośno:)

Hej! tam do kaduka!

Didier

(który nie spuszczał oczu z Savernego, podnosi zwolna głowę).

Czy to do mnie pan mówisz?

Saverny.

Jakże ci tam miano?
Przeczytaj-no nam, proszę, co tam nabazgrano,
Dam ci dobrą zapłatę.

Didier (powstając).

Ten edykt zabrania
Wszelkiego z bronią w ręku na placu spotkania,
I karze szubienicą, mój łaskawy panie,
Tak szlachtę jak i mieszczan.

Saverny.

Mylisz się, kochanie;
Nikt na szlachcie wyroku tego nie wykona,
Bo szubienica tylko dla gminu stworzona.

(Do towarzyszów:)

Ten motłoch jest zuchwały.

(Do Didier'a szyderczo:)

Źle czytasz, lecz może
Coś jest ci na przeszkodzie; a... już się założę,
Że wiem: zdejmij kapelusz, to ci wzrok osłabia.

Didier (przewracając stół).

To obraza, i za nią zechce pan margrabia

Dać mi zapłatę, którą mam według umowy
Otrzymać: a więc żądam krwi twojéj i głowy.

Saverny (uśmiechając się).

Widocznie poznajem się obadwaj bez trudu:
On wie, żem jest margrabią, jam zgadł, że on z ludu.

Didier.

Lud i szlachta najlepiéj poznają się w czynie,
Gdy zobaczą, że w obu jednaka krew płynie.

Saverny (przybierając minę poważną).

To dobrze, lecz na chwilę wstrzymaj się w zapale.
Margrabia de Saverny do usług.

Didier.

Mnie wcale
To nie obchodzi.

Saverny.

Memi świadkami są oto
Hrabia Henryk de Gassé, herb czysty jak złoto;
Przytém kawaler Villac, którego pradziadem
Był D'Aubusson, przez matkę krewny z Lafeuillad'em.
A pan czyś jest szlachcicem?

Didier.

Wyznaję bez sromu,
Żem jest podrzutkiem, w obcym wychowanym domu;

Nie mam nazwiska, pusta życia mego karta,
Lecz krew płynie mi w żyłach, która twojéj warta.

Saverny.

Nie, to jeszcze nie dosyć, mój panie kolego!
Ale podrzutek nie zna pochodzenia swego;
Mógł się rodzić ze szlachty, i wolno w potrzebie
Pokrzyżować z nim szpadę bez ujmy dla siebie.
Służę więc, w jakiém miejscu, w którym dniu, godzinie?

Didier.

Tu zaraz.

Saverny (kłaniając się ironicznie).

Pragnę panu wygodzić jedynie;
Więc zaraz?

Didier.

Szpady!

Saverny.

Szpady? dalibóg się boję,
Żeś pan z gminu, gdy szpady nie masz.
(Oddaje swoję szpadę Didier'owi:)
Weź pan moję,
Dobrze zahartowana, rękojeść żelazna.

L'Angely.

Na to waryackie dzieło weź pan szpadę błazna;
Widzę, żeś jest odważny: nie zadrży w twéj dłoni.

(Wręcza Didier'owi swoją szpadę i dodaje uśmiechając się:)

Ale ja chcę nagrody, bom nie jest jak oni
Hrabią: swojego stryczka kawał mi pan poda
Z szubienicy, to szczęście do kart daje.

Didier (biorąc szpadę, z goryczą).

Zgoda.

Brichanteau (skacząc z radości).

Więc bójka, brawo!

Saverny (do Didier'a).

I gdzie?

Didier.

A gdzie? tu latarnia.

Gassé.

Widzę, że was naprawdę szał jakiś ogarnia.
Oczy powykłówacie, tu nie widać wcale.

Didier.

Dość widno, by w pierś wtłoczyć szpady cztery cale.

Saverny.

Dobrze rzekł.

Villac.

Tak pociemku... pozwolić nie mogę.

Didier.

Szpady nasze rozświecą same sobie drogę.

(Do Savernego:)

Margrabio!

Saverny.

Broń się!

(Obaj zrzucają płaszcze, zdejmują kapelusze, któremi ukłon sobie oddają, a potém ciskają je po za siebie i dobywają szpady.)

Didier.

Boga na świadectwo biorę!

(Krzyżują szpady i fechtują się zacięcie w milczeniu i nie ustępując kroku. Drzwi przyległego domu otwierają się nagle i ukazuje się Marion w białéj sukni.)

SCENA IV.

Ciż sami, Marion.

Marion.

Cóż to za wrzawa?

(Spostrzegając Didier'a pod latarnią:)

Didier! stój!

(Walka nie ustaje.)

Pomocy! gore!

Saverny.

Któż znowu ta kobieta?

Didier (odwracając się).

Boże mój!

Bonchavannes.

Stracone
Wszystko! zwabiona krzykiem straż biegnie w tę stronę
Spójrzcie tam, jak wśród nocy błyszczą halabardy!

(Wbiega straż z pochodniami.)

Brichanteau (do Savernego).

Bądź trupem, lub po tobie.

Saverny (upadając).

Ach!

(Po cichu do Brichanteau, który się uchyla do niego:)

Bruk dyablo twardy!

(Didier w przekonaniu, że zabił Savernego, zatrzymuje się.)

Kapitan straży.

W imieniu króla.

Brichanteau

(do młodych ludzi, wskazując im na Savernego).

Ocalmy go, przyjaciele
Bo jak go schwycą, zginął.

Kapitan straży.

A to już zbyt wiele
Zuchwalstwa, i doprawdy śmiałość niesłychana,
Bić się tu pod edyktem.

(Do Didier'a:)

Aresztuję pana.

(Halabardnicy chwytają i rozbrajają Didier'a, który sam pozostał.)

Kapitan straży

(wskazując na Savernego, który leży na ziemi otoczony gronem przyjaciół).

A ten tu, co mu oczy tak stanęły słupem:
Kto to taki?

Brichanteau.

Saverny. Niestety! już trupem
Jest.

Kapitan straży.

Tak, to już dla niego stokroć lepiéj może,
Bo tamta śmierć jest gorszą.

Marion (przerażona).

Co on mówi? Boże!

Kapitan straży (do Didier'a).

Lecz pana schwytaliśmy żywcem i przytomnie;
Pójdźmy.

(Żołnierze wyprowadzają Didier'a z jednéj strony, młodzi ludzie wynoszą Savernego z drugiéj.)

Didier (do Maryi, która stoi nieruchoma z przerażenia).

Żegnaj mi Maryo! i... zapomnij o mnie;
Zapomnij!

SCENA V.

Marion, L'Angely.

Marion.

Didier! Czemuż takie pożegnanie?
Mam zapomnieć o tobie, zapomnieć!
(Żołnierze ją odtrącają: zwraca się z przestrachem do L'Angelego:)
O, panie!
Cóż to znaczy, że tak z nim postępują srogo?
Co on zrobił i co z nim za to zrobić mogą?

L'Angely

(wziąwszy ją za rękę, prowadzi ją w milczeniu do edyktu).

Czytaj pani.

Marion (czyta i cofa się z przerażeniem).

Mój Boże! Śmierć! śmierć! Ja szalona
Mym krzykiem sama im go wydałam w ramiona!
Więc błagałam pomocy u tych kruków stada,
A wraz z nimi śmierć w cieniu nadchodziła blada!
O nie! ja im nie mogę służyć za narzędzie.
(Do L'Angelego:)
On nie będzie skazany, co? Powiedz pan?

L'Angely.

Będzie.

Marion.

Może uciec.

L'Angely.

Wysokie są mury więzienia.

Marion.

To Bóg mnie w nim za moje karze przewinienia;
Mój Didierze!

(Do L'Angelego:).

Czy wiesz pan? jam jest jego cała,
Jabym mu wszystko w świecie, tak, wszystko oddała,
Teraz więzienie i śmierć, i tortury może...

L'Angely.

Może, jeżeli tylko tak zechcą.

Marion.

Mój Boże!
Ależ król... on nie będzie tak srogo poczynał:
Ułaskawi.

L'Angely.

Tak, ale czy zechce kardynał?

Marion (w obłąkaniu).

Co pan mówisz? co mówisz?

L'Angely.

To gardłowa sprawa,
I musi stać się zadość obowiązkom prawa.

Marion.

To okropne!

(Do L'Angelego:)

I nikt mnie ramieniem przyjaznem
Nie wesprze? Któż pan jesteś?

L'Angely.

Jestem króla błaznem.

Marion.

Mój Didierze, jam nędzna i grzeszna niestety!
Lecz co Bóg zrobić zechce przez ręce kobiety,
Zrobię... Idę za tobą.

(Wychodzi w stronę, w którą uprowadzano Didier'a.)

L'Angely (pozostawszy sam).

I Bóg wie gdzie.

(Po chwili:)

Zatém
Idźmy.

(Podnosi szpadę upuszczoną przez Didier'a.)

Ktoby powiedział, że ja tu waryatem!

(Wychodzi.)

AKT III.

Komedya.

OSOBY.

MARION DELORME.
DIDIER.
Margrabia de SAVERNY.
Margrabia de NANGIS.
Pan de LAFFEMAS.
Margrabia de BRICHANTEAU.
PULCINELLO.
MATAMOR.
SCARAMUCCIO.
Służący.
Komedyanci.

Zamek Nangis.

(Park w stylu Henryka IV. W głębi na wyniosłości widać zamek Nangis, część starą z nowemi przybudowaniami. . Stary budynek z wieżyczkami w stylu gotyckim, nowy wysoki, murowany, boki granitowe, dach śpiczasty. Wielka brama starego zamku jest zakryta czarnym kirem z herbami rodzin Nangis i Saverny.)

SCENA I.

P. de Laffemas w małym kostiumie urzędowym, **Saverny** przebrany za oficera pułku Andegaweńskiego, wąsy i bródka czarne, plaster na oku.

Laffemas.

A więc pan przy Savernym byłeś w saméj chwili,
Kiedy padł?

Saverny (pokręcając wąsa).

W jednym pułku obaśmy służyli
Z nieboszczykiem.

Laffemas.

Na miejscu padł?

Saverny.

I to od razu.
Dziwnie się krwiobójczemu powiodło żelazu.
Szpada przeszywszy mundur, weszła wązką jamą
Między żebra, pod płuca, aż w wątrobę samą.
A pan wiesz, że w wątrobie krew się ludzka cała
Wyrabia; to też rana strasznie wyglądała.

Laffemas.

Oj wierzę.

Saverny.

A był z niego towarzysz jedyny.

Laffemas.

Pan zapewne doktorem jesteś medycyny?

Saverny.

Nie.

Laffemas.

Aleś ją studyował?

Saverny.

A tak, studyowałem
Z dzieł Arystotelesa.

Laffemas.

W obejściu to całém
Widać, mówisz jak znawca.

Saverny.

To już z dobréj woli
Tak, bo lubię to wszystko co rani i boli:
Zabijam z amatorstwa. Więc idąc tym torem,
Mogłem zostać żołnierzem albo też doktorem.
Wybrałem stan żołnierski, bo on w ziemię kładnie
Ludzi daleko pewniéj, choć nie tak dokładnie,
A u mnie zawsze była jakaś chętka na to.
Mogłem zostać poetą albo akrobatą,
Ale lubię jeść codzień, a zaś u hecarza
I poety nie zawsze jeść obiad się zdarza.

Laffemas.

Masz pan słuszność, to wszystko po trosze obwiesie.
Więc uczyłeś się wierszy?

Saverny.

W Arystotelesie.

Laffemas.

Zatém mówisz: Saverny...

Saverny.

Był moim kolegą,
Lecz ja ubogi szlachcic, on zaś margrabiego
Miał tytuł, a na takich skorzéj awans pada.

Laffemas.

A tak, tak.

Saverny.

W muszkieterach służyłem Caussad'a
Najprzód, a on do pułku przeniósł mnie królowéj;
Tam służyłem z Savernym. Żołnierz nie wzorowy
Ze mnie, no, ale zawsze mam pewne zasługi
I koniec końców, jestem tak dobry jak drugi.

Laffemas.

A więc panu zlecono niewdzięczne zadanie
Donieść o tém stryjowi.

Saverny.

Tak, łaskawy panie;
Wraz z margrabią Brichanteau przywiozłem tu ciało
Nieboszczyka, żeby je pogrześć jak przystało.

Laffemas.

Jakże markiz de Nangis przyjął wieść o owém
Nieszczęściu? toż stryj jego.

Saverny.

W milczeniu grobowém.

Laffemas.

Kochał go jednak bardzo.

Saverny.

Siłami wszystkiemi,
To jedyna pociecha była mu na ziemi;
On całe szczęście swoje złożył w tém dziecięciu
Brata, choć go nie widział od lat blizko pięciu.

(W głębi sceny przechodzi margrabia de Nangis. Włosy białe, twarz blada, ręce skrzyżowane na piersiach. Ubrany podług mody z czasów Henryka IV w grubéj żałobie, na piersiach ma oznaki orderu Św. Ducha. Dziewięciu halabardników przybranych żałobnie postępuje za margrabią, z halabardami na prawém, a muszkietami na lewém ramieniu. Maszerują w trzy rzędy, zatrzymując się, kiedy się margrabia zatrzymuje, idąc daléj, kiedy on idzie daléj.)

Laffemas (spoglądając na margrabiego).

Biedny człowiek!

(Podchodzi w głąb sceny i przypatruje się pochodowi.)

Saverny (na stronie).

Kochany mój stryj!

(Wchodzi Brichanteau i zbliża się do Savernego.)

SCENA II.

Ciż sami, Brichanteau.

Brichanteau.

Tylko słowo!

(Śmiejąc się:)

Na zmarłego wyglądasz bratku trochę zdrowo.

Saverny

(po cichu, wskazując na margrabiego de Nangis).

Spójrz tylko, jaki skutek twe rady sprawiły.
Wierz mi, dla tego starca to jest cios nad siły!
Już dłużéj nie wytrzymam i wszystko mu zwierzę.

Brichanteau.

Broń Boże! dajże pokój, on cię musi szczerze
Żałować, jeżeli chcesz, by ci uwierzono;
Jego żałoba jest ci najlepszą ochroną.

Saverny.

Biedny stryj!

Brichanteau.

Wkrótce temu sam koniec położę
I dowie się o wszystkiém.

Saverny.

Lecz zabić go może
Radość, gdy ból nie zabił.

Brichanteau.

Trudno, nie ma rady.

Saverny.

Straszno mi patrzeć, kiedy tak przechodzi blady
W milczeniu, ze łzą w oku; gdy przykłada usta
Do téj nieszczęsnéj trumny.

Brichanteau.

I cóż, trumna pusta.

Saverny.

Tak, lecz trup krwawy leży w jego serca głębi.
Jego serce jest trumną.

Laffemas (powracając na przód sceny).

Ten widok mnie ziębi.
Biedny starzec, pociechy mu szukać daremno.

Brichanteau (po cichu do Savernego).

Kto jest ten czarny człowiek z miną nieprzyjemną?

Saverny (wzruszając ramionami).

Jakiś sąsiad, co przybył na pogrzeb.

Brichanteau.

On z miny
Podobny jest do kruka, co wietrzy padliny;
Bardziéj niż kiedykolwiek strzeż się; to osoba
Zagadkowa i mnie się wcale nie podoba.

(Wchodzi margrabia de Nangis, zawsze pogrążony w głębokiém zadumaniu. Idzie powoli, i nie zdając się widzieć nikogo, siada na ławce darniowéj, znajdującéj się na przodzie sceny.)

SCENA III.

Ciż sami, margrabia de Nangis.

Laffemas (idąc naprzeciwko margrabiemu).

O tak panie margrabio, straciliśmy wiele!
Młodzian rzadkich przymiotów, i mogę rzec śmiele,
Onby osłodził tobie przyszłość dziś zbolałą.
Bo to się rzadko zdarza, piękny duch i ciało
Piękne, grzeczny dla kobiet, nabożny wzorowo,
Sprawiedliwy czynami a roztropny mową,
Dusza prawa, szlachetna, a serce ze stali...
Umarł, umarł tak wcześnie!

(Stary margrabia milcząc ukrywa głowę w rękach.)

Saverny (do Brichanteau).

Niech go piorun spali!
On mi stryja rozrzewni na śmierć; dla pociechy
Wylicz mu mimochodem różne moje grzechy.

Brichanteau (do Laffemas'a).

Pan się myli; ja znałem dobrze Savernego,
Służąc z nim w jednym pułku: był on złym kolegą,
Zbytkowniś i hulaka, na wszelkie wygody
Rozpuszczony; odważny... tak jak każdy młody,
Lecz ta śmierć do cnót jego niewielki przyczynek
Stanowi.

Laffemas.

Strasznie ważna zbrodnia pojedynek.
(Do Brichanteau, wskazując ironicznie na szpadę:)
Pan jesteś oficerem.

Brichanteau
(tym samym tonem, wskazując mu na jego perukę).

A pan urzędnikiem.

Saverny (po cichu do Brichanteau).

No, mów daléj.

Brichanteau.

Był łgarzem, paplą i kłótnikiem.
W kościele się sprawował jak heretyk jaki,
Zerkając wciąż z pod oka na ładne buziaki,
Słowem był to rozpustnik i łotr co się zowie.

Saverny (po cichu).

Dobrze.

Brichanteau.

Nigdy myśl mądra w téj szalonéj głowie
Nie postała; a przytém nie mógł stąpić kroku
Nie kulejąc; zbrzydł strasznie, miał skałkę na oku,
Włosy mu wyrudziały, na plecach wyrosła
Narość.

Saverny (po cichu).

Już dość.

Brichanteau.

Grał przytém jak szuler z rzemiosła;
Szulerował po nocach czy w lecie czy w zimie,
Gotów był przegrać herb swój, majątek i imię,
Gubił się, wszelka rada była bezowocną...

Saverny (po cichu).

Do licha dość, pocieszasz staruszka zbyt mocno.

Laffemas (do Brichanteau).

Tak źle mówić o zmarłym nie do darowania.

Brichanteau (pokazując na Savernego).

To proszę spytać pana.

Saverny,

Ja tu nie mam zdania.

Laffemas (z użaleniem do margrabiego de Nangis).

O, tak, panie margrabio, stratę niesłychaną
Poniosłeś; lecz na szczęście mordercę schwytano,
I jak zasłużył na to, na stryczku zawiśnie.
(Do Brichanteau i Savernego:)
Bo też i pan Saverny działał nierozmyślnie;
Boć można pojedynek przyjąć sercem szczerém,
Ale bić się z lada kim, z jakimś tam Didier'em...

Saverny (na stronie).

Z Didier'em!

(Stary margrabia, który pozostał przez całę tę scenę nieruchomy i niemy, powstaje z miejsca i oddala się zwolna w stronę przeciwną téj, z któréj przyszedł.)

Laffemas (ocierając łzę i patrząc za margrabią).

Jakże cierpi, to rzecz niesłychana!

Służący (zastępując drogę margrabiemu de Nangis).

Jaśnie wielmożny panie!

Brichanteau.

Nie nudź teraz pana.

Służący.

To o pogrzeb pytają się karawaniarze.
Na kiedy?

Brichanteau.

Niech czekają, godzina się wskaże.

Służący.

I jacyś komedyanci proszą uniżenie,
Żeby tu na noc w zamku mogli mieć schronienie.

Brichanteau.

Nie w porę się wybrało to cudactwo gołe,
Lecz trzeba być gościnnym.

(Pokazując mu zabudowanie z lewéj strony teatru:)

Wpakuj ich w stodołę.

Służąca (pokazując list).

A tu list bardzo pilny z poczty nadesłano
Do pana de Laffemas.

Laffemas (odbierając list).

To jest moje miano.

Daj.

Brichanteau (do Savernego, który stoi zamyślony).

Żeby z twym pogrzebem nie zwłóczyć daremno,
Trzeba wszystko urządzić.

(Pociąga Savernego za rękę.)

Saverny.

Didier...

Brichanteau.

No, pójdź ze mną.

(Wychodzą.)

SCENA IV.

Laffemas (sam).

Czerwona pieczęć państwa.

(Ogląda się:)

Wyszli, jak raz pora
Otworzyć i przeczytać.

(Czyta:)

„Do instygatora
„Królewskiego. Z ministra donoszę zlecenia,

„Jako morderca Didier wymknął się z więzienia..."

(Urywa czytanie.)

To nieszczęście!

(Czyta daléj:)

„Widziano go z jakąś kobietą,
„Podobno Marion Delorme; minister chce przeto,
„Żebyś pan jak najśpieszniéj był tutaj z powrotem."
A to dopiero!... Koni!... tak późno mi o tém
Donoszą, taka piękna sprawa w niwecz pada...
Jeden umarł a drugi zemknął... trudna rada,
Schwycimy go.

(Wychodzi. Wchodzi truppa komedyantów prowincyonalnych. Mężczyzni, kobiety i dzieci w ubiorach scenicznych. Pomiędzy nimi Marion i Didier w strojach hiszpańskich. Didier zawinięty jest w płaszcz i ma na głowie kapelusz o szerokich skrzydłach.)

SCENA V.

Komedyanci, Marion, Didier.

Służący (prowadząc komedyantów do stodoły).

To wasze mieszkanie, hołoto.
Tu zamek margrabiego de Nangis; więc oto
Zachowajcie się dobrze, i nie czyńcie sromu
Żadnego, jutro bowiem mamy pogrzeb w domu;
Nie zagłuszajcież waszą wrzawą bezrozumną
Hymnów, które tam księża śpiewają nad trumną.

Pulcinello (nizki i garbaty).

Zachowamy się ciszéj niż wasze psy gończe,
Co spokojnym przechodniom rwą w strzępy opończe.

Służący.

Nasze psy nie aktory i nie robią hecy.

Matamor (do Pulcinella).

Cicho, bo nam tu jeszcze wygarbują plecy.

(Służący wychodzi.)

Scaramuccio

(do Maryi i Didier'a, którzy przez ten czas stali nieruchomo z boku sceny).

Teraześmy już sami, pomówmy troszeczkę.
Co spowodować mogło aspaństwa ucieczkę?
Czyście małżeństwem, czy też parą zakochaną,
Czy listami gończemi was poszukiwano,
Czyście podrwili głową zwyczajnie jak młodzi,
Nie chcę wiedzieć i wcale to mnie nie obchodzi.
Cała rzecz, jakie role pójść wam mogą gładko...
Tyś dobra na Chimenę, moja ty dzierlatko.

(Marion kłania się mu.)

Didier (z gniewem tłumionym).

I słyszeć mówiącego tak do niéj hecarza!

Scaramuccio (do Didier'a).

A i tobie się dobra sposobność nadarza:
Brak nam jest matamora. To postać wychudła,
Głos gruby, gest szeroki, nogi jak dwa szczudła,
Wykrada Orgonowi siostrzenicę, kija
Nie żałując, a potém Turczyna zabija
Na końcu sztuki. A co? to tragiczna rola.

Didier.

Jak się panu podoba.

Scaramuccio.

Dobrodzieju, hola!
nas się nie panamy.
(Z głębokim ukłonem:)
Witaj matamorze.
(Do innych komedyantów:)
Obiad będzie w stodole, a próba w oborze.
(Wychodzą wszyscy do stodoły z wyjątkiem Marion i Didier'a.)

SCENA VI.

Didier (po długiém milczeniu, uśmiechając się gorzko).

Czyż nie dość jeszcze silne losu pośmiewisko?
Czylim się jeszcze, Maryo, strącił nie dość nizko?
Chciałaś iść za mną, mego przeznaczenia kleszcze
Schwyciły cię i splotły w swe skręty złowieszcze;
Gdzież jesteśmy i w jakie wpadliśmy odmęty?

Marion (drżąca składa ręce).

Didierze, czy wymówka?

Didier.

Niech będę przeklęty,
Niech Niebo straszną zemstę nademną roztoczy,
Niech mi ludzie pogardy śliną plwają w oczy:
Jeśli z serca, co tobą żyje i oddycha,
Dobędzie się wymówka głośna albo cicha!

Kiedy wszystko tu dla mnie wstrętném i złowrogiém,
Ty jesteś mém zbawieniem, opatrznością, Bogiem.
Sama rozkułaś moje kajdany, i ze mną
Zapuściłaś się święta w tę przepaść nikczemną,
Z więźniem byłaś w więzieniu, teraz pokryjomu
Uciekasz wraz ze zbiegiem z ojczyzny i domu;
W twém sercu skarby wiary, miłości, nadziei,
Oswobadzasz, pocieszasz i wspierasz z kolei;
Tyś mi, słaba kobieto, udzieliła zbroi
Przeciwko przeznaczeniu, przeciw duszy mojéj;
Ty pokrzepiasz w zwątpieniu i umacniasz w trudzie,
I kochasz mnie, którego nienawidzą ludzie.

Marion (płacząc).

Żyję tém by cię kochać, iść z tobą, być twoją.

Didier.

O! pozwól, niech me oczy twemi się upoją!
Bóg tchnąwszy we mnie życie, chciał, by w próby chwili,
Anioł i szatan przy mnie nieodstępni byli;
I dziś Mu błogosławię z nachyleniem czoła,
Bo oddalił szatana, a zbliżył anioła.

Marion.

Ty jesteś, mój Didierze, życia mego panem.

Didier.

Więc i mężem?

Marion (na stronie).

Niestety!

Didier.

Niech nad nieskalaném
Twojém czołem, gdy będziem opuszczać te strony,
Zabłyśnie drogie miano méj pani i żony.
Wszak przystajesz, nie prawdaż?

Marion.

Będziesz moim bratem,
A ja ci będę siostrą.

Didier.

O nie! nie dość na tém:
Niechaj to biedne serce miłości spragnione
Uzna cię przed ołtarzem za swoją, za żonę;
A chciéj mi ufać Maryo, w miłości i wierze
Kochanek czystość twoją dla męża ustrzeże.

Marion (na stronie).

Biada mi!

Didier.

Wycierpiałem mękę Kainową,
Słysząc jak cię ten hecarz kalał swoją mową.
Najboleśniejszą z klęsk tych, co na mnie spadają,
Widzieć cię otoczoną tych aktorów zgrają,
Ciebie mój czysty kwiecie, między kobietami
Niecnemi, których tchnienie zatruwa i plami.

Marion.

Didierze, bądź ostrożny!

Didier.

Byłem już w potrzebie,
Wstrzymałem się... Ten człowiek mówił *ty* do ciebie,
Kiedy ja tego słowa wymówić się boję,
By się niém czyste czoło nie zaćmiło twoje.

Marion.

Cierpliwości, a losy zabłysną łaskawsze
Dla nas.

Didier.

Tak, ty masz słuszność, ty masz słuszność zawsze
Chociaż upartą walkę z losem toczyć muszę,
Ty mi dajesz swe szczęście, i młodość, i duszę.
Zkądże na mnie nędznego spada darów tyle,
Których królestwo całe opłacić nie w sile,
Po to, by me nieszczęście za tobą się wlekło?
Ty mi niebo otwierasz, ja cię wtrącam w piekło:
Zkąd ten nierówny podział i z jakiéj przyczyny?
Gdzież są moje zasługi? gdzież są twoje winy?

Marion.

Z ciebie szczęście me całe.

Didier.

Tak, nie wątpię wcale,
Skoro ty tak powiadasz i tak myślisz; ale

Wiedz o tém, że mi gwiazda przyświeca złowroga:
Nie wiem zkąd idę, nie wiem dokąd moja droga
Prowadzi; niebo dla mnie ciemne i złowieszcze.
A więc Maryo, cofnij się dopóki czas jeszcze,
Pozwól mi samotnemu iść ciemnym manowcem;
A kiedy sił zabraknie, przed biednym wędrowcem
Rozściele się lodowym chłodem zimne łoże,—
Szczupłe ono i dwojga pomieścić nie może.

Marion.

O! chociażby to jedno pragnę dzielić z tobą!

Didier.

A więc chcesz na wygnaniu, dręczona żałobą,
Z życia swego obrywać kwiaty ręką własną
Aż póki od łez ciągłych oczy nie zagasną?

(Marion ukrywa twarz w rękach.)

Odejdź!

Marion (wybuchając płaczem).

Zabij mnie, jeśli chcesz w sposób tak srogi
Przemawiać do mnie!

Didier (porywając ją w objęcia).

Maryo! o mój skarbie drogi!
Te łzy!... za jedną z łez twych krew oddałbym całą!...
A więc dobrze, pójdź ze mną, bądź mi szczęściem, chwałą,
Miłością, wiarą, cnotą, zbawieniem i zbroją!...
Maryo, czy ty mnie słyszysz?... Tyś na wieki moją!

(Sadza ją przy sobie na ławce darnianéj.)

Marion (odpychając go z lekka).

O! sprawiłeś mi boleść!

Didier (na kolanach, pochylony nad jéj ręką).

Kocham cię!

Marion (uśmiechając się przez łzy).

Tak biedną

Srodze dręczyć... okrutny!...

Didier.

Jakżeś piękna! Jedno

Pocałowanie, czyste tak jak nasze dusze.

(Całuje ją w czoło i spoglądają na siebie w upojeniu.)

O! patrz na mnie! tak wiecznie w ciebie patrzeć muszę.

Pulcinello (wychodząc ze stodoły).

Chimenę do stodoły woła Don Diego.

(Marion szybko powstaje z miejsca. W téjże saméj chwili co Pulcinello wchodzi na scenę Saverny, ale zatrzymuje się w głębi teatru i przygląda się uważnie Marion, nie widząc Didier'a, który zakryty krzakiem pozostał na ławie darnianéj.)

Saverny

(w głębi teatru, niewidziany przez obecnych, na stronie).

Jakto? Co? Marion tutaj? A to coś nowego!

(Śmiejąc się:)

Chimena!

Pulcinello (do Didier'a, który chce iść za Maryą).

Zazdrośniku, nie, nie tędy droga.
Musisz zostać.

Didier.

Słuchaj ty!

Marion (po cichu).

Miarkuj się, na Boga!

(Didier siada napowrót na ławce, Marion wchodzi do stodoły.)

Saverny (w głębi teatru).

I któż téj romantycznéj powodem wędrówki?
Może ten, co mnie zbawił z krwawéj samołówki?
Jéj Didier... tak być musi...

(Wchodzi Laffemas.)

Laffemas (w ubiorze podróżnym).

Chcę pożegnać pana.

Saverny.

Pan jedziesz?

(Śmieje się.)

Laffemas.

Zkąd wesołość taka niespodziana?

Saverny (śmiejąc się).

E... to cała historya, nawet nie zawadzi
Rozpowiedzieć ją panu! Wpośród téj czeladzi

Komedyanckiéj, znalazłem, wyobraź pan sobie,
Marion Delorme.

(Śmieje się coraz głośniéj.)

Laffemas (drgnąwszy).

Co? Marion!

Saverny (jak wyżéj).

We własnéj osobie.

Didier

(który odkąd Saverny i Laffemas pojawili się na scenie, spoglądał uważnie na nich).

Co on mówi?

(Podnosi się z ławki.)

Saverny (śmiejąc się).

W Paryżu muszą wiedzieć o tém.
Pan jedziesz tam?

Laffemas.

Już moim to będzie kłopotem,
Zaraz wszystkim opowiem, ale tylko czyli
To pewno?

Saverny.

No, już moja pamięć mnie nie myli.
Znam dobrze Marion Delorme.

(Szukając po kieszeniach:)

I jak raz się zdarza,
Że mam jéj portret, dzieło dworskiego malarza.

(Podając Laffemas'owi miniaturę:)

Oto jest.

(Pokazując na drzwi otwarte od stodoły:)

Pan sam zresztą przyjrzeć jéj się może,
Ona jest tam, w stodole, w hiszpańskim ubiorze.

Laffemas

(spoglądając kolejno na portret i na drzwi od stodoły).

To ona, Marion Delorme!

(Na stronie:)

Wyborne poszlaki.

(Do Savernego:)

Tam z nią razem być musi i wielbiciel jaki.

Saverny.

Być może; wiem, choć zwierzać nie przyszła się do mnie,
Że Marion samotności nie lubi ogromnie.

Laffemas (na stronie).

Trzeba postawić przy drzwiach straż, może choć z biedą
Potrafię go rozpoznać między tą czeredą.
Mam go!

(Wychodzi.)

Saverny.

Możem powiedział głupstwo? Ale mniejsza
O to.

(Bierze na stronę Pulcinella, który stojąc z boku sceny, gestykuluje z zapałem i powtarza swoją rolę.)

Kto jest ta pani?... ot tam... najpiękniejsza?

(Wskazuje na drzwi od stodoły.)

Pulcinello.

Co, Chimena?

(Uroczyście:)

Nie, nie wiem, lecz możesz jegomość

(wskazując na Didier'a:)

Od jéj tu towarzysza zasiągnąć wiadomość.

SCENA VII.

Didier, Saverny.

Saverny (zwracając się do Didier'a).

To ten pan... Proszę pana... Doprawdy się dziwię...
Bo mi... chyba złudzenie?... on... on niewątpliwie!

(Głośno do Didier'a:)

Pan podobny do kogoś, gdyby nie więzienie,
W którém siedzi, to...

Didier.

I pan jesteś nieskończenie
Podobny do człowieka, co wśród nocnéj zwady
Otrzymał pocałunek śmiertelny méj szpady.

Saverny.

Ciszéj... pan jesteś Didier.

Didier.

A pan znów margrabia

De Saverny.

Saverny.

Los ślepy, cóż też nie wyrabia?
Wszak to pan pewnéj nocy... winienem ci życie.
(Zbliża się z otwartemi ramionami do Didier'a, który się usuwa.)

Didier.

Sądziłem, żeś mi spłacił ten dług należycie.

Saverny.

Ale gdzież? widzisz, żyję, a teraz do kata
Czego żądasz? kolegi, przyjaciela, brata?
Wszystko masz we mnie, byleś chciał zapragnąć, byle...

Didier (przerywając mu).

Daj mi oto ten portret kobiety na chwilę.
(Saverny podaje mu medalion, Didier przypatruje się z gorzkim uśmiechem.)
Tak, to jest ona, cała ta postać nadobna,
Czoło, twarz, oczy, tak jest, zupełnie podobna.

Saverny.

Nie prawdaż?

Didier.

Ona sama ten portret oddała
Panu?

Saverny (kłaniając się z gestem potakującym).

Tak, teraz w panu zakochana cała,

I gotowa przez tydzień kochać pana wiernie;
Szczęśliwyś mój młodzieńcze!

Didier (wybuchając rozpaczliwym śmiechem).

Szczęśliwy niezmiernie!

Saverny.

Winszuję ci, to dobra dziewczyna, choć płocha,
Ludzi tylko szlachetnie urodzonych kocha,
Taką kochanką można pochlubić się przecię,
Bo to pewną powagę nadaje już w świecie.
Mówią, gdy kto o czyje urodzenie bada:
„Kochanek Maryi Delorme," to zaszczyt nielada.

(Didier chce mu oddać portret, Saverny odmawia.)

O, nie, nie, ty posiadasz jéj urocze wdzięki,
Więc i portret należy ci się z prawa.

Didier.

Dzięki.

(Chowa portret na piersiach.)

Saverny.

Bądź co bądź, Marion zawsze piękności królową.
Więc pan po mnie nastąpił? a tak, daję słowo
Jak król Ludwik Trzynasty po królu Kapecie;
Mnie bo obaj Brisac'i wysadzili przecię,
A potém sam kardynał, a potém znów młody
D'Effiat, trzech Saint-Mesm'ów, i ich antypody
Czteréj d'Argenteau. No, cóż? wszakże niezła doza?
Wyborne towarzystwo.

(Śmiejąc się:)
Trochę liczne...

Didier.

Zgroza!

Saverny.

Opowiesz mi pan wszystko. Ja na wolnéj nodze
Tutaj, bo za zmarłego na szczęście uchodzę,
Jutro mój pogrzeb; panu za to bez wątpienia
Musiała Marion wrota otworzyć więzienia,
A kiedy nadjechała tych hecarzy fura,
Wyście się...

(Śmieje się:)
To zabawna pewno awantura.

Didier.

O, tak, bardzo zabawna.

Saverny.

I użyła leku
Zwykłego na straż pańską?

Didier (gwałtownie).

Co mówisz człowieku?

Saverny.

Co? byłbyś pan zazdrosnym?

(Śmiejąc się:)

Czy być może? ona
Zazdrość w panu obudza? Rzecz nieopłacona!
Kochanie przecięż u niéj normalnym jest stanem;
Najlepsze w świecie serce...

Didier (na stronie).

Anioł był szatanem!

(Wchodzą na scenę Laffemas i Pulcinello. Didier wychodzi, Saverny idzie za nim.)

SCENA VIII.

Laffemas, Pulcinello.

Pulcinello (do Laffemas'a).

Lecz ja zgoła nic nie wiem, najzacniejszy panie.

(Na stronie:)

Ho! ho! twarz policyanta, sędziego ubranie,
Brew gęsta, małe oko, pod niém plamy sine...
Oj! ten człowiek ma dyablo podejrzaną minę!

Laffemas (wyjmując z kieszeni worek z pieniędzmi).

Słuchajże...

Pulcinello (zbliżając się do Laffemas'a).

Więc Chimenę pańska łaska ściga
I chciałbyś wiedzieć?

Laffemas (uśmiechając się).

Tak jest, chcę znać jéj Rodryga.

Pulcinello.

Jéj kochanka?

Laffemas.

Tak.

Pulcinello.

Który bije jéj pokłony?

Laffemas (niecierpliwie).

Czy jest tu?

Pulcinello.

Jest.

Laffemas (zbliżając się żywo do niego).

No, mów gdzie?

Pulcinello (z głębokim ukłonem).

Sługa uniżony Pański.

(Laffemas oddala się z niezadowoleniem, następnie zbliża się napowrót i brząka sakiewką przed oczami Pulcinella.)

Laffemas.

Czy znasz te krążki z medalionem króla? Lubisz ich dźwięk?

Pulcinello.

On jeden tylko mnie rozczula!

Laffemas (na stronie).

Mam go już.

(Do Pulcinella, pokazując mu sakiewkę:)

No, czy widzisz?

Pulcinello.

Co takiego?

Laffemas.

Złoto,

Dwadzieścia genowinów.

Pulcinello.

Hum!

Laffemas (brząkając mu pieniędzmi przed nosem).

Chcesz wziąć?

Pulcinello (chwytając za worek).

Z ochotą.

(Tonem teatralnym do Laffemas'a, który go słucha z niepokojem;)

O, panie! gdyby plecy twe szanowne miały
Garb tak duży jak brzuch twój i tak okazały,
I gdybyś chciał ten cały garb napełnić złotem
Z luidorów, dukatów, cekinów... wiedz o tém...

Laffemas (żywo).

No, i cóżbyś powiedział?

Pulcinello (emfatycznie).

Żeś ty mój dobrodziéj!

(Chowa worek do kieszeni:)

Schowałbym wszystko, mówiąc: Niech Bóg ci nagrodzi!

Laffemas (na stronie, rozgniewany).

A to przeklęta małpa!

Pulcinello (na stronie, śmiejąc się).

Orangutang stary!

Laffemas (na stronie).

Wszystko jakby na przekór! nie, to nie do wiary,
To już spisek wyraźny, widać zaraz z miny...
Umówiły się z sobą te pogańskie syny.

(Do Pulcinella, który chce odejść:)

No, to oddaj pieniądze.

Pulcinello (odwracając się, tragicznym tonem).

Najzacniejszy panie!
Jakież świat cały o nas mógłby mieć mniemanie,
I cóżby wieki przyszłe powiedziały na to,
Żeś do zdrady chciał nędzną skusić mnie zapłatą?

Laffemas (zatrzymując go).

Dobrze, ale pieniądze?

Pulcinello (zawsze tymże samym tonem).

Niech jastrzębie szpony
Srożą się, nie dbam o to, honor ocalony!

(Kłania się i wychodzi do stodoły.)

SCENA IX.

Laffemas (sam).

Podły hecarz! Oj! chętnie karku ci nakręcę,
Jeżeli kiedykolwiek popadniesz mi w ręce.
Ale ważniejsze sprawy dzisiaj mnie zajmują,
Jak tu poznać Didier'a pomiędzy tą szują?
Wziąć wszystkich na tortury, każdego z osobna
Badając? To za wiele wrzawy, niepodobna.
A badać ich z wolności to komedya czysta,
Na to chyba poradzić mógłby alchemista,
Coby mając swe wszystkie filtry w pogotowiu,
Wydzielił to źdźbło złota z cyny i ołowiu,
Co je skrywają. Ale jak z taką odprawą
Stanąć przed kardynałem?

(Uderza się w czoło:)

Ha! znalazłem, brawo!
Już mi się nie wyśliźnie.

(Wołając przez drzwi od stodoły:)

Hej! mości panowie
Komedyanci, proszę tu!

(Aktorowie wychodzą całą zgrają ze stodoły.)

SCENA X.

Laffemas, Komedyanci,
a pomiędzy nimi **Marion i Didier.**

Laffemas.

Oto, w jedném słowie

Kardynał mi polecił interes nielada.
Żeby dla odegrania sztuk, które układa
Kiedy od spraw krajowych znajdzie wolne chwile,
Wynaleźć komedyantów sposobnych o tyle,
By w należytéj wielkich arcydzieł ocenie
Sztuki na kardynalskiéj mogli zagrać scenie.

(Wszyscy komedyanci zbliżają się skwapliwie; wchodzi Saverny i ciekawie przypatruje się wszystkiemu.)

Pulcinello

(na stronie, rachując sztuki złota, które dostał od Laffemas'a).

Ośmiu sztuk nie doliczył, niech go kurek zdziobie!

Laffemas.

Więc każden, ustęp z roli wybierze tu sobie
I wypowie przedemną w pięknéj pantominie.

(Na stronie:)

No, Didier będzie sprytny jak się ztąd wywinie.

(Głośno:)

Czy już wszyscy?

(Marion zbliża się ukradkiem do Didier'a i chce go odprowadzić na stronę; Didier cofa się i odtrąca jéj rękę.)

Pulcinello (zbliżając się do Marion i Didier'a).

Wam także podejść tam wypada.

Marion (na stronie).

Nieba!

(Didier wchodzi pomiędzy komedyantów, Marion idzie za nim.)

Pulcinello.

A no, widzicie, to szczęście nielada
Mieć codzień obiad, ciepły przytułek śród zimy
I powtarzać co wieczór kardynalskie rymy.
To los!

(Wszyscy komedyanci stają rzędem przed Laffemas'em, Marion i Didier pomiędzy nimi. Didier z rękami założonemi na piersiach nie patrzy na Marion. Marion przeciwnie wlepia w niego oczy z widocznym niepokojem.)

Pulcinello (na czele truppy na stronie).

I ktoby myślał, że ten kruk obrzydły
Kardynalskiemi będzie raczył nas wierszydły?

Laffemas (do Pulcinella).

Więc naprzód ty, kto jesteś?

Pulcinello.

Jestem na usługi
Pulcinello, i do stóp upadam jak długi.

(Śpiewa:)

Gdy pobudkę grzmią na trąbie,
Kiedy z pochwy błyśnie miecz,
Żołnierz strzela, pali, rąbie,
Bo żołnierska to jest rzecz.
Lecz jest inny człek ponury,
Co perukę ma kosmatą,
Chyłkiem ciebie drze ze skóry
I dziękować każe za to.

Proś i błagaj go najszczerzéj,
To u niego serce lód;
Wolę stokroć ród żołnierzy,
Niźli perukarzów ród.

Laffemas (przerywając mu).

Dość już, śpiewasz fałszywie, a głos masz jak sowa
Z pustki...

Pulcinello.

Nóta fałszywa, lecz prawdziwe słowa.

Laffemas (do Scaramuccia).

Teraz ty!

Scaramuccio.

Jestem pierwszy z dramatycznych osób,
Scaramuccio, i rzecz mą zagajam w ten sposób:
(Deklamując:)
„Królowa Magielona sens prawi w tych słowach:
Cudny iście ksiądz w komży i rycerz na łowach,
Ano niewiasta w łożu i na stryczku złodziéj..."

(Laffemas przerywa mu gestem, i daje znak Matamorowi, żeby mówił. Matamor kłania się nizko i wyprostowywa się sztywno.)

Matamor.

Ja jestem Matamorem, brodzę w krwi powodzi,
Wracam z Chin, gdziem zwiódł z chanem potyczkę
[junacką.

Laffemas (do Matamora).

Co innego.

(Po cichu do Savernego, pokazując mu Marion:)

Ta Marion, to prawdziwe cacko.

Matamor.

Inna znów rola moja tak się rozpoczyna:
Jestem Karolem Wielkim, co pobił Turczyna:
„Okrutne przeznaczenie! Nieba bez litości!
Czyliż mam ciągle cierpieć w bezdennéj żałości?
A więc pełen poświęceń i serca tkliwości
Innemu muszę oddać przedmiot méj miłości,
Ja sam będę mu sprawcą téj wielkiéj radości,
W sercu mém jad zazdrości, zasadzi swe ości!
Tak wy ptaszki dla siebie gniazdek nie składacie!
Tak wy pszczółki dla siebie miodu nie zbieracie!
Tak wy owce dla siebie runa nie nosicie!
Tak wy woły dla siebie z pługiem nie chodzicie!..."

Laffemas.

Brawo! To wiersz Garnier'a, ten ma w głowie oléj;
Z tragedyi Bradamanta.

(Do Marion:)

No, na ciebie koléj
Brunetko, jak się zowiesz?

Marion (drżąc).

Chimena.

Laffemas.

Kochanie,
To ów Rodryg twój amant ma krwawe spotkanie.

Marion (przestraszona).

Co?

Laffemas.

Tak, a potém zmyka, aż się za nim pali.

Marion (na stronie).

Boże!

Laffemas.

No, powiedzże co, byśmy sąd wydali.

Marion (mówi nawpół zwrócona ku Didier'owi).

„Jeśli, by myśli śmierci odwrócić złowieszcze,
Życie twoje i honor nie wystarczą jeszcze
Rodrygu, niech odwaga twa zbierze się cała,
By wydrzeć Sanchezowi tę, co cię kochała.
Ja go nie chcę, tak, ja go nienawidzę z duszy!
Niechaj ten straszny przymus ręka twoja skruszy.
Cóż ci więcéj mam mówić? idź i mężnym bojem
Zatłum powinność, zatłum zemstę w sercu mojém;
Niech wspomnienia miłości zwycięzko cię wiodą
Do walki, w któréj będzie Chimena nagrodą."

(Laffemas powstaje z galanteryą i całuje ją w rękę. Marion blada spogląda na Didier'a, który stoi nieruchomy ze spuszczonemi oczami.)

Laffemas (do Marion).

Głos twój jest harmonijny i czuły, pieszczotko,
I przemawiasz do serca rozkosznie a słodko.
Dzielna z ciebie aktorka.

(Do Savernego:)

Trzeba wyznać szczerze,
Że się Kornel nie może ostać przy Garnierze,
Ale wiersz mu się w rymy układniejsze wiąże,
Odkąd go pod opiekę wziął kardynał książę.

(Do Marion:)

Żyć z nędzną truppą, co się po prowincyi słania...
Nie, pani, nie, to grzech już nie do darowania.
Zasiądź przy mnie.

(Siada i daje znak Maryi, ażeby usiadła przy nim. Ona cofa się.)

Marion (do Didier'a z obawą).

Potrzeba, bym z tobą została.

Laffemas (uśmiechając się do Maryi z wymówką).

No, zabierz pani miejsce.

(Didier odpycha Maryę, która drżąca upada na ławkę przy Laffemas'ie.)

Marion.

Boże mój! drżę cała!

Laffemas (znów uśmiechając się do Maryi z wymówką).

Przecięż!

(Do Diedier'a:)

Jak się zwiesz?

Didier (poważnie).

Didier.

Marion, Laffemas, Saverny.

Didier!

Didier.

Tak.

Marion (na stronie).

Stracone

Wszystko!

Didier (do Laffemas'a, uśmiechając się z tryumfem).

Mogą już odejść każdy w swoją stronę:
Nie prawdaż? bo ofiara sama w ręce wpada,
A kosztowało ciebie to pracy nielada

Marion (biegnąc do Didier'a).

Didierze!

Didier (z lodowatém spojrzeniem).

Odejdź pani, spełnione zadanie.

(Marion bezprzytomna prawie upada na ławkę.)

(Do Laffemas'a:)

Widziałem jak krążyłeś wkoło mnie, szatanie:
Błyszczała w twoich oczach ta radość zwierzęca
Kata, który nad swoją ofiarą się znęca.
Mogłem zmylić ten podstęp twój, z takim mozołem
Usnuty, lecz doprawdy tego nie pragnąłem.
Ciesz się! Weź mnie i przykuj do sądowéj ławy.

Laffemas

(z gniewem tłumionym wewnątrz, usiłując się uśmiechać).

Więc komedyi nie grywasz, mój panie łaskawy?

Didier.

Tyś ją grał.

Laffemas.

O! ja tego nie pochlebiam sobie,
Lecz inną sztukę z księciem kardynałem robię,
Jest to tragedya, w któréj przeznaczam ci rolę.

(Marion wydaje okrzyk przerażenia, Didier odwraca głowę z pogardą)

Nie odwracaj tak głowy; tam będziesz miał pole
Wskazać zasoby, jakie twój talent posiada.
No, poleć duszę Bogu, taka moja rada.

Marion.

Boże!

(Margrabia de Nangis ukazuje się w téj chwili w głębi sceny, zachowując zawsze tę samą postawę. Halabardnicy idą za nim. Na krzyk Maryi margrabia zatrzymuje się i odwraca do obecnych blady, niemy i nieruchomy.)

Laffemas (do margrabiego de Nangis).

Panie margrabio, wyborną ci powiem
Nowinę. Proszę ciebie o konwój, albowiem
Muszę ztąd uprowadzić jednego z twych gości—
Jest to Didier, morderca.

Marion (upadając na kolana przed Laffemas'em).

O, panie! litości!

Laffemas (z galanteryą).

Pani u nóg mych! To ja powinienbym raczéj
U twoich!

Marion

(nie podnosząc się z kolan, z rękami skrzyżowanemi).

Pomnij, panie! Kto tutaj wybaczy,
Temu Bóg, gdy przed strasznym Jego sądem stanie,
Odpuści wszystkie winy.

Laffemas (uśmiechając się).

To widzę kazanie;
Taka ci, pani, rola nie przystoi wcale:
Dla ciebie świetne uczty, zabawy i bale.
(Pokazując na Didier'a:)
Morderca umrzeć musi.

Didier (do Maryi).

Wstań!
(Marion podnosi się drżąca z ziemi.)
(Do Laffemas'a:)
Kłamiesz niegodnie.
To było w pojedynku!

Laffemas.

Lecz...

Didier.

Kłamiesz!

Laffemas (do Maryi).

Za zbrodnię
Krwi trzeba; może kara jest to zbyt surowa,
Lecz zabił, umrzeć musi; tak: za głowę głowa.
Zabił, mówię
(pokazując na margrabiego de Nangis:)
synowca tego starca oto,
Co się młodzieńcem wsławił odwagą i cnotą,
Któremu się tak świetna przyszłość uśmiechała.
Dla króla i dla Francyi to strata niemała;
I gdyby żył, no, serce moje nie ze stali...
To jeszcze.

Saverny (postępując krok naprzód).

Ten, którego de Saverny zwali,
Nie umarł.
(Ogólne zdziwienie.)

Laffemas (drgnąwszy).

Lecz cóż znowu! ci ludzie w żałobie,
Ta trumna?...

Saverny

(zrzucając przyprawione wąsy, plaster i perukę).

Mówię, żyje i jest tu przy tobie.
(Do stryja:)
Czy poznajesz mnie stryju?

Margrabia de Nangis
(jakby rozbudzony ze snu wydaje krzyk i rzuca się w objęcia Savernego).

Boże Wszechmogący!
Tak, to on!

Marion (padając na kolana i wznosząc oczy ku niebu).

Ocalony! Bóg mojéj gorącéj
Prośby wysłuchał!

Didier (do Savernego).

Wszakże chciałem umrzeć, po co
Przychodzisz mnie ratować niewczesną pomocą?
Czyż sądzisz, żem tak czyniąc, nie wiedział co czynię,
I dał się zwikłać w jego nędznéj pajęczynie?
Wierz mi, pragnąłem śmierci, wzywałem jéj skrycie,
I tyś mąk mi przysporzył, ocalając życie.

Marion.

Co on mówi!

Laffemas.

Wy, którzy na to patrzyliście,
Powiedzcie, czy młodzieniec ten jest rzeczywiście
Margrabią de Saverny?

Marion.

Tak.

Laffemas.

Pytanie czynim
W imieniu prawa!

Marion

(pokazując mu margrabiego de Nangis, który trzyma Savernego w objęciach).

Spojrzyj, jak ten starzec przy nim
Się rozpromienił.

Laffemas (do margrabiego de Nangis).

Więc pan potwierdzasz to?

Marion.

Panie!
Możeszże wątpić, widząc to ich powitanie?

Margrabia de Nangis (odwracając się).

Czy to on? syn mój drogi? moja krew i życie?
Jak możecie się pytać? Czyliż nie wierzycie?

Laffemas (do margrabiego de Nangis).

A więc pan twierdzisz, że to Gaspard de Saverny,
Twój synowiec?

Margrabią de Nangis (z siłą).

Tak.

Laffemas (do Savernego).

Moim obowiązkom wierny,
W imię króla, margrabio, żądam twojéj szpady.

(Zdziwienie i przerażenie między obecnymi.)

Margrabia de Nangis.

Co on mówi? co?

Marion (przerażona).

Nieba!

Didier.

Téj niegodnéj zdrady
Spodziewałem się; tak być musiało, bo oni
Pragną trzymać dwie głowy, każdą w jednéj dłoni.

Margrabia de Nangis.

Na śmierć!

Laffemas.

Tak chce mieć prawo; skazani na szyję,
Czy obadwaj przeżyją czy jeden przeżyje.
(Do Savernego:)
Szpadę, mówię.

Didier (patrząc na Savernego).

Szalony!

Saverny (podając szpadę Laffemas'owi).

Oto szpada.

Margrabia de Nangis (zatrzymując go).

Chwilę;
Ja sam tylko w tym zamku dzierżę władzy tyle,

Iżby stanowić sądy i używać środków
Prawnych; król byłby gościem w zamku moich przodków.
(Do Savernego:)
Mnie oddaj twoją szpadę.
(Saverny oddaje mu szpadę i rzuca się w jego objęcia.)

Laffemas.

To prawo już ginie
Od dawna w zapomnieniu; jeśli więc to czynię
Dla waszéj wielmożności, niechaj to wzajemny
Będzie dowód z méj strony ustępstwa.

Didier.

Nikczemny!

Laffemas (kłaniając się margrabiemu).

A teraz, gdym rzecz wywiódł uprzejmie i szczerze,
Dla moich więźniów proszę o konwój.

Margrabia de Nangis (do halabardników).

Żołnierze,
Przodkowie wasi zawsze stanowili straże
Mych przodków; więc się krokiem nie ruszać: ja każę.

Laffemas (grzmiącym głosem).

Jestem instygatorem księcia kardynała
I sędzią w trybunale sekretnym: niech cała
Załoga stanie, obu wtrącić do więzienia!
Niech się po dwóch z was u drzwi co godzina zmienia,
Wszyscy odpowiadacie za nich. Jeśli komu

Przyjdzie ochota jawnie albo pokryjomu
Nie wykonać rozkazów moich co do słowa,
To znać, że mu na karku zaciężyła głowa!

(Halabardnicy przerażeni, otaczają w milczeniu obu więźniów. Margrabia de Nangis odwraca się z boleścią i ukrywa twarz w rękach.)

Marion (do Laffemas'a).

Więc już nie ma nadziei, nie?

Laffemas.

Wieczorną dobą,
Jeśli pani pozwoli, pomówimy z sobą.

Marion (na stronie).

O, ten człowiek jak w kleszcze serce ludzkie bierze!
Jego uśmiech przeraża i mrozi.

(Zwracając się do Didier'a:)

Didierze!

Didier (chłodno).

Żegnam panią.

Marion (zdziwiona chłodném brzmieniem jego głosu).

Te nawet pękają ogniwa!
Lecz za cóż?... Nieszczęśliwa!

(Upada na ławkę.)

Didier.

O, tak! nieszczęśliwa.

Saverny

(uściskawszy margrabiego de Nangis, zwraca się do Laffemas'a).

Czy opłata podwójna będzie za dwie głowy?

Służący (wchodząc, do margrabiego de Nangis).

Młodego margrabiego pogrzeb już gotowy,
Lecz trzeba przybrać kapy, osadzić pochodnie,
Chcemy wiedzieć na kiedy?

Laffemas.

Za cztery tygodnie.

(Halabardnicy wyprowadzają Didier'a i Savernego.)

AKT IV.

Król.

OSOBY.

MARION DELORME.
LUDWIK XIII.
Margrabia de NANGIS.
L'ANGELY.
Pan de LAFFEMAS.
Książę de BELLEGARDE.
Muszkieter.
Woźny.
Straż.

Rzecz dzieje się w zamku Chambord.

(Wielka sala zamkowa.)

SCENA I.

Książę de Bellegarde (bogaty kostium dworski z haftami i koronkami, order Ś-go Ducha na szyi, a gwiazda na płaszczu). **Margrabia de Nangis** (w grubéj żałobie, zawsze ze swoją przyboczną strażą).

(Obadwaj przychodzą z głębi sceny.)

Książę de Bellegarde.

A więc skazany?

Margrabia de Nangis.

Na śmierć.

Książę de Bellegarde.

To do przewidzenia
Tak było; ależ króla serce nie z kamienia,
On Henryka Czwartego synem nie wyrodnim
I wdał się w swego ojca.

Margrabia de Nangis.

Ja służyłem pod nim.

Książę de Bellegarde.

Za Henryka Czwartego, toż były zakaty
W modzie żelazne zbroje nie jedwabne szaty;
Pokażesz mu swe włosy śniegiem ubielone,
I wyrzekniesz: *ventre saint gris*, za całą obronę.
Niechaj Richelieu równém zasłoni się prawem...
Tymczasem chciéj się ukryć.

(Przechodzi na lewo i odmyka drzwi boczne.)

Król przyjdzie niebawem,
A tutaj staroświecki krój twojéj odzieży
Mógłby wywołać śmiechy téj dworskiéj młodzieży.

Margrabia de Nangis.

Śmiać się z mojéj żałoby?

Książę de Bellegarde.

Cóż czynić, mój bracie!
Taki świat; wy tam tego z daleka nie znacie,

Król przyjdzie, ja go tutaj dobrze usposobię,
Potém zaraz tupnięciem nogi dam znak tobie,
I wejdziesz.

Margrabia de Nangis (ściskając go za rękę).

Bóg ci zapłać, bracie.

Książę de Bellegarde.

Nie ma za co.

(Przechodzi na prawo.)

(Do muszkietera, który się przechodzi w milczeniu przed złoconemi drzwiczkami:)

Co król porabia teraz?

Muszkieter.

Zajęty jest pracą

(zniżając głos:)

Z jakimś człowiekiem w czarnéj sukni.

Książę de Bellegarde (na stronie).

Niewątpliwie

Wyrok śmierci.

(Do margrabiego de Nangis:)

Odwagi! a pójdzie szczęśliwie.

(Wprowadza go do galeryi bocznéj.)

Nim cię do obecności wprowadzę królewskiéj,
Możesz oglądać piękne pałacowe freski.

(Obadwaj wychodzą na lewo; drzwiami w głębi od schodów pałacowych wchodzi Marion Delorme w grubéj żałobie.)

SCENA II.

Marion, Straż.

Halabardnik (do Marion).

Tu się nie wchodzi.

Marion (postępując naprzód).

Jakto?

Halabardnik (krzyżując halabardę we drzwiach).

Tutaj się nie wchodzi.

Marion.

Oręż przeciw kobiecie? Czyliż to się godzi?
Gdzieindziéj bronią kobiet.

Muszkieter (śmiejąc się do halabardnika).

Dzielnie, na mą duszę.

Marion.

Niezwłocznie mówić z księciem de Bellegarde muszę.

Halabardnik (usuwając halabardę na stronę).

Ot masz tobie!

Muszkieter.

Wejdź pani.

(Marion wchodzi i idzie na przód sceny śmiałym krokiem.)

Halabardnik (na stronie, przyglądając się jéj z pod oka).

A to nie do wiary!
Widocznie stary książę jeszcze nie tak stary;
Za nieboszczyka króla byłby, na sumienie,
Kozę za to odsiedział.

Muszkieter (dając znak halabardnikowi, żeby się uciszył).

Ktoś wchodzi... milczenie.

(Małe drzwiczki złocone otwierają się. Wychodzi przez nie Laffemas, trzymając w ręku zwitek pergaminowy, z którego na jedwabnych sznurkach zwiesza się wielka złocona pieczęć.)

SCENA III.

Marion, Laffemas.

(Oboje czynią znak zdziwienia.)

Laffemas

(zbliżając się powoli do Marion, mówi do niéj po cichu).

Po coś pani tu przyszła?

Marion.

A pan?

Laffemas (wskazując jéj pergamin).

Ja w tym celu...
Podpis królewski.

Marion

(przebiegłszy wzrokiem pergamin, ukrywa twarz w rękach).

Boże!

Laffemas

(nachylony do niéj po cichu, podczas kiedy ona drżąca spogląda na niego).

Chcesz?

Marion (odpychając go).

Precz kusicielu!

Laffemas.

Więc nie chcesz?

Marion.

Próżno grozisz twéj zemsty obawą,
Sam król jest tutaj panem, i ma łaski prawo.

Laffemas.

Więc ufaj w zmiłowanie królewskie i Boże.

(Odchodzi od niéj, nagle zwraca się, zakłada ręce na piersiach i mówi jéj do ucha:)

Ale strzeż się, bo późniéj ja nie zechcę może.

(Laffemas wychodzi na lewo. Książę de Bellegarde ukazuje się we drzwiach od galeryi.)

SCENA IV.

Marion, Książę de Bellegarde.

Książę de Bellegarde (spostrzegając Marion).

Pani tu?

Marion.

Mości książę, jedno tylko słowo.

Książę de Bellegarde.

Zawsze na twe rozkazy.

(Z ukłonem:)

Co powiesz, królowo?

Marion.

Chcę widzieć króla!

Książę de Bellegarde.

Kiedy?

Marion.

Zaraz.

Książę de Bellegarde.

Czy się pali,

Że taki gwałt?

Marion.

Chcę zaraz z nim pomówić.

Książę de Bellegarde (wybuchając śmiechem).

Daléj,

Przyprowadźcie tu króla!

Marion.

Więc to jest odmowa?

Książę de Bellegarde.

Zaraz, bo nie pozwalasz pani przyjść do słowa.
(Uśmiechając się:)
Czyśmy co odmawiali sobie? to niegrzecznie
Byłoby... wszakże...

Marion.

Króla chcę widzieć koniecznie.

Książę de Bellegarde.

Pomów tymczasem z księciem, skarbie czarnooki;
Cierpliwości, król tutaj przybędzie bez zwłoki,
I będziesz z nim już mogła rozmówić się sama.
Lecz co? w żałobie, jakby honorowa dama,
Ty, coś lubiła tylko śmiech!

Marion.

Już go nie lubię,
Mości książę.

Książę de Bellegarde.

Co? płaczesz? W domysłach się gubię,
Doprawdy.

Marion (ocierając łzy z silném postanowieniem).

Więc zobaczę króla?

Książę de Bellegarde.

Gdybyś chciała
Objaśnić mnie.

Marion.

Bo...

Książę de Bellegarde (przerywając jéj).

Pewno sprawa kardynała?

Marion.

Tak.

Książę de Bellegarde

(otwierając jéj drzwi od bocznéj galeryi).

To wejdź pani tutaj, a za hasłem daném
Przezemnie, zobaczysz się z najjaśniejszym panem.

(Marion wchodzi do galeryi, książę de Bellegarde zamyka drzwi za nią.)

Dwóch malkontentów na raz,— no, trochę się boję;
Ale im raźniéj będzie przemawiać we dwoje.

(Stopniowo scena zapełnia się dworzanami, którzy rozmawiają pomiędzy sobą. Książę de Bellegarde przechodzi od jednego do drugiego. Wchodzi L'Angely.)

SCENA V.

Książę de Bellegarde (do ks. de Beaupré).

Witam.

Książę de Beaupré.

Witam.

Książę de Bellegarde.

Co słychać?

Książę de Beaupré.

A cóż? mówią wszędzie
O nowym kardynale.

Książę de Bellegarde.

Podobno to będzie
Arcybiskup z Arles.

Książę de Beaupré.

Ale gdzież tam znów! słyszałem,
Że to jest biskup d'Antan; taka w mieście całém
Wieść obiega.

Ksiądz Gondi.

I słusznie, przyznajcie to sami,
On przy szturmie Roszelli kierował działami.

Książę de Bellegarde.

A tak.

L'Angely.

Ten kardynałem będzie już z zasady,
Bo on według kanonów powstał z kanonady.

Gondi (śmiejąc się).

To ten błazen L'Angely.

L'Angely (kłaniając się).

Pan zna me imiona
Wszystkie.

(Wchodzi Laffemas. Wszyscy dworzanie otaczają go, witając się z nim uprzejmie. Książę de Bellegarde przypatruje się temu niechętném okiem.)

Książę de Bellegarde.

Co za figura jakaś napuszona?

L'Angely.

Ten, co mu się kłaniają?

Książę de Bellegarde.

Jakiś wzrok szatański!
Czy nie jest on przypadkiem z partyi Orleańskiéj?

L'Angely.

Czyżby go przyjmowano tu z takim zaszczytem?
To Laffemas, intendent Szampanii, a przytém
Instygator królewski.

Książę de Bellegarde (po cichu).

A! wiem, dość mi na tém...
(Zniżając głos:)
To ten, co go nazwano kardynała katem.

L'Angely (po cichu).

Tak.

Książę de Bellegarde.

Ten człowiek na dworze?

L'Angely.

Proszę waszéj cześci,
Dziwnoż to, że się tygrys w menażeryi mieści?
Czy go przedstawić księciu?

Książę de Bellegarde (wyniośle).

Cóż znów?

L'Angely.

Wiem co do mnie,
Że to człek silny w karku i sprytny ogromnie,
Więc mu się nie narażać radzę księciu szczerze,
Bo nie podasz mu ręki, to głowę zabierze.

(Podchodzi do Laffemas'a i przedstawia go księciu, który go przyjmuje dość chłodno.)

Laffemas (kłaniając się).

Mości książę.

Książę de Bellegarde (kłaniając się).

Bardzom rad.

(Na stronie:)

Upadliśmy nizko;
Richelieu zrobił z dworu istne pośmiewisko.

Wicehrabia de Rohan

(w głębi sceny, pomiędzy dworzanami, wybuchając śmiechem).

A, to wszystko przechodzi!

L'Angely.

Co?

Wicehrabia de Rohan (śmiejąc się).

Tam, piękna dama
W bocznéj galeryi... Marion.

L'Angely.

Marion?

Wicehrabia de Rohan.

Ona sama.
Czy pojmujesz to? Marion i Ludwik wstydliwy
Gotowi zejść się z sobą.

L'Angely.

A doprawdy dziwy!

Książę de Bellegarde (do hrabiego de Charnacé).

Cóż panie wielki łowczy, jakże poszły łowy?

Hrabia de Charnacé.

Wczoraj dobrą wiadomość przyniósł nam gajowy,
Wilki zjadły trzech chłopów, więc mieliśmy prawo
Już zawczasu pomyślną cieszyć się obławą;
Lecz gdzież tam! próżno knieję zbiegliśmy dokoła...
(Do L'Angelego:)
Cóż wesołego, błaźnie?

L'Angely.

Jak tutaj, nic zgoła.
Ale, ale... w Beaugency, dziś podobno tracą
Na szubienicy aż dwóch.

Gondi.

Dwóch! no, proszę! za co?

L'Angely.

Pojedynek.

Gondi.

Ten edykt katowi przysporzy
Roboty.

(Drzwi złocone otwierają się.)

Woźny.

Panowie! król!

(Wchodzi król, cały czarno ubrany, blady, z oczyma spuszczonemi w ziemię, z oznakami orderu Ś-go Ducha na kaftanie i płaszczu. Wszyscy dworzanie odkrywają głowy i ustawiają się we dwa szeregi. Straż pochyla halabardy na dół. Muszkieterowie prezentują broń.)

SCENA VI.

Ciż sami, Król.

(Król wchodzi powoli, przechodzi nie podnosząc głowy przez ciżbę dworzan na przód sceny i pozostaje przez kilka chwil w niemém zamyśleniu. Dworzanie cofają się w głąb sali.)

Król (na przodzie sceny).

Źle... źle... coraz gorzéj.

(Do dworzan, witając ich skinieniem głowy:)

Witam!

(Zasiada na wielkim fotelu i wzdycha głęboko.)

Dziś cały jestem w rozstrojonym stanie.

(Do księcia de Bellegarde:)

Haniebnie spałem, książę.

Książę de Bellegarde

(zbliżając się z trzema ukłonami).

Najjaśniejszy panie,

Kto dziś śpi?

Król (żywo).

Wszystko idzie nędznie i nieskładnie,
Cały kraj dąży w przepaść i wkrótce w nią wpadnie.

Książę de Bellegarde.

Wszak prowadzony dłonią potężną i śmiałą.

Król.

O tak! książę kardynał ma pracy niemało.

Książę de Bellegarde.

Niemało.

Król.

Na starego zbyt ciężkie kłopoty;
Lecz ja i tak mam z życiem dosyć do roboty,
Bym jeszcze miał królować.

Książę de Bellegarde.

On trud swój w ofierze

Stawia.

Król.

Słuchaj Bellegarde, pomówimy szczerze.
Cóż myślisz o nim?

Książę de Bellegarde.

O kim, najjaśniejszy panie?

Król.

O kardynale.

Książę de Bellegarde.

Ja?

Król.

Ty.

Książę de Bellegarde.

Moje słabe zdanie
Nie zdoła...

Król.

Dajże pokój; mów w spokoju ducha.
(Rozglądając się naokoło:)
Przecięż tutaj nas żadna sutanna nie słucha,
Więc mów, bo widzisz, ja się trochę niepokoję
Tém wszystkiém...

Książę de Bellegarde.

Król chce wiedzieć szczere zdanie moje?

Król.

Szczere.

Książę de Bellegarde (śmiało).

To wielki człowiek! Zasłużył na sławę
Wiekopomną!

Król.

Mógłbyś to powiedzieć w konklawe;
Lecz kraj tém widmem władzy znużony zwodniczém,
Bo widzisz, on jest wszystkiém, a ja za to niczém.

Książę de Bellegarde.

Królu...

Król.

On rządzi krajem, wiedzie siły zbrojne,
Ma podatki, edykta i pokój i wojnę,
On jest prawdziwym królem, przez jego intrygi
Zerwał się stary traktat katolickiéj ligi,
Chociaż ze krwi Habsburgów moja własna żona...

Książę de Bellegarde.

Lecz królikarnia w Luwrze dobrze urządzona,
Sam król się nią zajmuje.

Król.

Z Duńczykiem poswarkę
Wszczął em.

Książę de Bellegarde.

A za to, panie, dałeś srebrną markę
Nową.

Król (z coraz większém rozjątrzeniem).

I z samym Rzymem toczy sprzeczkę żwawą.

Książę de Bellegarde.

A wasza królewska mość ogłosiłeś prawo:
Jako każdy mieszczanin, czy młody, czy stary,
Może tylko w szynkowni wydać dwa talary
Dziennie.

Król.

Ciągle mi na kark zwala kłopot nowy.

Książę de Bellegarde.

Ale za to masz w Planchette przystanek na łowy,
Królu.

Król.

On rządzi wszystkiém, życiem i sumieniem!
Ma powagę i władzę, król jest jego cieniem.
Czyż kto z moich poddanych w najdrobniejszéj rzeczy
Mnie przyjdzie prosić?

Książę de Bellegarde.

Wszak król na skrofuły leczy.

(Gniew króla wzrasta.)

Król.

W niczém mnie się nie radzi, w niczém mnie nie słucha.
Chce, bym dał jego bratu krzyż Świętego Ducha:
Nie dam.

Książę de Bellegarde.

Ależ...

Król.

Bo inni zaraz mnie oblegą.

Książę de Bellegarde:

Wszakże...

Król.

Alboż Combalet, siostrzenica jego!
Pięknie żyje...

Książę de Bellegarde.

Z obmową zaraz każdy śpieszy.

Król.

Ma dwieście gwardyi konnéj.

Książę de Bellegarde.

Lecz tylko sto pieszéj.

Król.

Pyszałek!

Książę de Bellegarde.

Lecz on Francyę ocala.

Król.

A duszę
Mi gubi, i bezsilnie patrzeć na to muszę.
Niby to Hugonotów naszych ma w ohydzie,
A z lutrami szwedzkimi ręka w rękę idzie.
(Po cichu do Bellegarde'a:)
I gdybym tylko zliczyć chciał te wszystkie głowy,
Które on ścina, ten płaszcz jego purpurowy
To krwi kropla po kropli, tą żałobną szatą
On mnie pokrył.

Książę de Bellegarde.

I swoich nie oszczędza za to,
Wszak Saint Preuil, jego stronnik, poszedł w ręce kata?

Król.

Dla tych, których on kocha, to zwykła zapłata;
A on mnie bardzo kocha! O, nie jestem w stanie
Wyrazić...
(Gwałtownie, zakładając ręce na piersiach:)
Matkę moją posłał na wygnanie!

Książę de Bellegarde.

Bo chciał przez to ściąć głowę téj dworskiéj intrydze;
Wiernie ci służy, królu.

Król.

Ja go nienawidzę!
On mnie razi, on ciągle krzyżuje mi drogę;
Ja w własném mojém państwie panem być nie mogę.
Jak ten człowiek, którego żelazna mi ręka
Tak cięży, króla we mnie zbudzić się nie lęka?
Bo jego gwiazda przy mnie jasném światłem płonie,
Ale mogę ją zgasić, zacisnąwszy dłonie,
I wszystkoby runęło jak budowa licha,
Gdybym objawił głośno to, czego chcę z cicha.

(Chwila milczenia.)

O! ten człowiek dobre złém, a złe gorszém czyni!
Kraj choruje przez jego moc i zginie przy niéj.
Bo kardynał tu i tam, z daleka i z blizka,
A król nigdzie. Już Austryę gnębi i uciska,
Gubi mi flotę całą, i niepomny jutra,
Za sprzymierzeńca bierze króla Szwedów—lutra.
Wszędzie tak, wszędzie pragnie królewską być duszą,
I książęta krwi przed nim karku zginać muszą.
Smutna rzecz!

(Podchodząc do okna:)

A deszcz pada jak na utrapienie!—

Książę de Bellegarde.

Tak, pada. Więc król cierpi?

Król.

Nudzę się szalenie!

(Chwila milczenia.)

Ja, król, na los się żalę, i w ustroniu dzikiém

Wolałbym być już strzelcem, albo sokolnikiem,
Zrzucić z siebie to wszystko, co swobodę więzi;
Polować, lub spoczywać pod cieniem gałęzi,
Drwić ze straży królewskiéj i z losu igraszek,
I mieszkać sobie w lesie swobodny jak ptaszek.
Nędzarz wie czego żąda, czemu zdoła sprostać.
Ale mieć przed oczami tę czerwoną postać,
I słyszeć ją mówiącą ciągle, zawsze, wszędzie;
„Królu, ta a nie inna twa wola niech będzie,"—
To rozpacz!... on przed ludem kryje mnie zdradziecko,
W purpurową mnie togę spowiwszy jak dziecko.
A kiedy się poddani zapytują moi:
„Za księciem kardynałem kto tam w cieniu stoi?"
Ktoś rzeknie: „To król..." Ciągle karać śmiercią gotów,
Wszędzie widzi spiskowców albo Hugonotów,
Trzeba mu głów posiewu. Dzisiaj wyrok nowy...
Pojedynek... głów pragnie... na co mu te głowy?...

(Książę de Bellegarde uderza nogą w ziemię, margrabia de Nangis i Marion Delorme wchodzą do sali.)

SCENA VII.

Ciż sami, Marion, Margrabia de Nangis.

(Margrabia de Nangis zbliża się ze swoją świtą o parę kroków od króla i przyklęka na jedno kolano. Marion upada na kolana przy drzwiach.)

Margrabia de Nangis.

Sprawiedliwości królu!

Król.

Jakaż ci się stała
Krzywda? Kogo obwiniasz?

Margrabia de Nangis.

Księcia kardynała.

Marion.

Łaski!

Król (wskazując na Marion).

Dla kogoż znowu łaski prosi ona?

Marion.

Didier!

Margrabia de Nangis.

Tak, i Saverny.

Król.

Znam te dwa imiona.

Margrabia de Nangis.

O sprawiedliwość czołem przed twym tronem bijem
I łaskę!

Król (do margrabiego de Nangis).

Kimże jesteś?

Margrabia de Nangis.

Jam jednego stryjem.

Król (do Marion).

A ty?

Marion.

Siostrą drugiego.

Król.

Stryj z siostrą, cóż oni
Chcą tutaj?

Margrabia de Nangis
(ukazując kolejno obie ręce królewskie).

Miłosierdzia z jednéj twojéj dłoni,
Z drugiéj sądu. Ja, markiz de Nangis, jedyny
Już mego herbu, baron góry i doliny,
Przeciwko Armandowi Richelieu w tę dobę
O moją krzywdę wnoszę do króla żałobę,
W imieniu praw, na których my odwiecznie stoim,
Bo Gaspard de Saverny, jest synowcem moim:
Sprawiedliwości, królu!

Marion (po cichu do margrabiego).

O! mów za dwóch, panie!

Margrabia de Nangis.

Kilka tygodni temu miał krwawe spotkanie
Z szlachcicem jakimś,— Didier, imię zagadkowe
I szlachectwo niepewne,—lecz na moją głowę
Obaj walczyli jako na mężnych przystało...
Ale straż kardynalska...

Król.

Znam tę sprawę całą:
Czegoż chcesz?

Margrabia de Nangis (powstając).

Miłościwy królu! ja przychodzę
Powiedzieć ci, że czas już zatrzymać się w drodze,
Że straszne są zamysły księcia kardynała,
Że dość już krwi szlachetnéj Francya przelała.
Twój ojciec, Henryk IV, król w słowie i czynie,
Obojętnie nie lubił patrzeć jak krew płynie,
Oszczędzał swoją szlachtę, i przodków zwyczajem
Dzielnie broniony przez nią, bronił jéj nawzajem.
Wiedział on jaką ludzi wojennych wieść drogą,
Że dobrze prowadzeni przydać mu się mogą,
Że w nich obrona króla, że w nich kraju siła,
Bo niejedna mu kula kaftan zdziurawiła.
Był to czas dobry, wspomnieć o nim można z chwałą,
Jeszcze wówczas szlachectwo w kraju popłacało;
Ksiądz nie tykał się pana, bowiem w porze owéj
Na ludzkim targu nie szły tanio ludzkie głowy.
Królu! dziś mamy czasy smutne i złowieszcze.
Wierz staremu, zachowaj trochę szlachty jeszcze,
Bo Francya pod uciskiem znękana i chora,
Bo możesz pożałować kiedy przyjdzie pora,
Że topór zbyt skwapliwie pełnił swoje dzieło
I że tyle szlachetnéj krwi już popłynęło.
Świeżo liga Gwizyuszów darła kraju łono,
Ostatki jeszcze iskier pod popiołem płoną

I religijnych niezgód posiew jeszcze świeży!
Królu panie! katowski miecz niech w pochwie leży,
A nie nasz. Rusztowania za nadto się mnożą,
I może kiedyś, królu, sam za wolą Bożą
Pożałujesz tych, coby służyli ci z chwałą,
A których kruki martwe już rozdarły ciało.
Królu! krew była zawsze rosą nieszczęśliwą,
I na placu Gréve nigdy nie dochodzi żniwo.
Królestwo się osłabia praw dawnych zatratą,
Montfaucon się zaludnia, a Luwr pusty za to.
O! przekleństwo dworzanom, których nędzna dusza
Chlebiąc ci, tę katowską robotę zagłusza!
Choć wołają, że tobie wszystko dozwoloném,
Boś Henryka Czwartego synem i Burbonem,
Czyż stłumi ta ich ciągła wrzawa i biesiada
Głuchy szmer ludzkiéj głowy, co pod mieczem spada?
Mówię ci, ty się nie rządź tém natchnieniem srogiém,
Królu, co kiedyś staniesz sam na sam przed Bogiem,
Wiedz, że za wszystko słuszna mierzy się zapłata,
Że lepsza jest śmierć w boju, niż śmierć z ręki kata,
Że na kraj nieszczęśliwe czasy się sposobią,
Gdy próżnują żołnierze a oprawcy robią,
Że dla ciebie pracuje zgubnie i nieszczerze
Pasterz, co dziesięcinę od głów ludzkich bierze,
I że ten, co go dzisiaj łaski twoje chronią,
Dotyka twego berła krwią zbryzganą dłonią.

Król.

Pan kardynał jest moim wiernym sługą; znosić
Skarg na niego nie mogę.

Margrabia de Nangis.

Królu!...

Król.

Rzekłem — dosyć.

Margrabia de Nangis.

Królu!

Król.

Dość tych oracyj!... Więcéj ani słowa.
(Pokazując siwiejące włosy:)
Już mi od oratorów posiwiała głowa.

Margrabia de Nangis.

Królu! kobieta we łzach i starzec w żałobie,
Obronę praw najświętszych poruczają tobie.

Król.

Czegoż żądacie?

Margrabia de Nangis.

Łaski!

Marion.

Łaski!

Król.

Tak, król może

Ułaskawić; lecz łaska często na zaporze
Praw odwiecznych, co kraju bezpieczeństwa strzegą.

Marion.

O królu! miłosierdzia żądamy twojego!
To jest sprawka dwóch młodych szaleńców, i za nią
Znaleźli się już obaj nad zguby otchłanią...
Umrzeć! Mój Boże, umrzeć śmiercią tak nikczemną!
Litości dla nich, królu!... Ja nie wiem co ze mną
Się dzieje, bom kobieta i płakać jedynie
Umiem, a może płacząc przy królu źle czynię...
Ale ten twój kardynał niesłusznie krew toczy...
On mojego Didier'a nie widział na oczy...
Kto go zna, ten go kocha... Tak srogiego bólu
Być sprawcą... To są dzieci... pomyśl tylko królu
O ich matkach... rzecz straszna... dziś smutno być matką...
Ja kobieta, nie umiem wyrażać się gładko,
I gdy zobaczę króla, tylko zapłakana
Drżę i blednę, i wołam padłszy na kolana:
Miłosierdzia!... Mój Boże! bo o cóż tu chodzi?...
Pojedynek?... to młodość—zgrzeszyli, bo młodzi;
Krew się burzy, a miary nie znając ni granic,
Jeden drugiego wyzwie za drobnostkę, za nic...
Każdy z tych panów, królu, toż samo ci powie...
Wszakże tak bywa zwykle?... nie prawdaż panowie?...
I dług ten mają płacić głów swoich zatratą?...
Królu! ocal ich! ocal!... będą ciebie za to
Wielbić jak Boga... Gdybym przemawiać umiała,
Rzekłbyś: „Ten Didier to jest pociecha jéj cała,
On jest krwią jéj i życiem, on jest wszystkiém dla niéj..."
Brak mi sił... miłosierdzia!...

Król.

Któż znowu ta pani?

Marion.

Siostra jego!... tak... siostra, co litości błaga...
Tyś ojcem ludu.

Król.

Ciągle się we Francyi wzmaga
Ten zgubny zwyczaj, krwią już dość nasiąkła gleba...

Marion.

Potrzeba miłosierdzia.

Król.

I przykładu trzeba.

Margrabia de Nangis.

O! miłościwy panie, tak wcześnie do grobu
Wtrącać... bo to są dzieci, cały wiek ich obu
Nie dochodzi mojego...

Marion.

Królu!... jesteś przecię
Mężem i ojcem, wiem że kochasz swoje dziecię,
Masz brata... błaga ciebie siostra zrozpaczona...

Król.

Brata?... nie, nie mam brata.

(Po chwili namysłu:)

Prawda... mam Gastona

(Spostrzegając przyboczną straż margrabiego:)

Panie de Nangis, co to za straż? Na mą głowę,
Czyż nam się powracają znów wojny krzyżowe,
Że się wojenną strażą chełpisz na mym dworze?
Jestżeś księciem i parem?

Margrabia de Nangis.

Więcéj jeszcze może;
Baron bretoński bowiem ma w prawie jednakiém
Z książętami krwi, wszędzie z zbrojnym iść orszakiem.

Książę de Bellegarde (na stronie).

Ta duma na szaleństwo już prawie zakrawa.

Król (do margrabiego de Nangis).

A więc do swego zamku zachowaj swe prawa;
Mnie jeszcze na opłatę siły zbrojnéj stanie.

Margrabia de Nangis.

Na pamięć przodków twoich, najjaśniejszy panie,
Niechaj litość nad nami ozwie się w twéj duszy!

(Upada na kolana:)

Przez dumę starca, co się u stóp twoich kruszy,
Łaski!

(Król robi gniewny znak odmowny.)

(Margrabia powstaje zwolna:)

Króla Henryka widywałem codzień,
I byłem właśnie przy nim w chwili, gdy ów zbrodzień

Pierś mu przebił sztyletem. A potém w kościele
Przez całą noc czuwałem przy królewskiém ciele;
Służyłem mu. Wśród wojen domowych zawiei,
Ojciec i sześciu braci polegli z kolei;
Żonie méj wśród prób ciężkich zabrakło odwagi
Żyć dłużéj. Dzisiaj jestem skrwawiony i nagi
Jak ten, którego zanim kat zgładzi ze świata,
Na przykład innym w koło na cały dzień wplata.
Bóg zgruchotał mi ręce i nogi w téj matni
Żelazną sztabą... teraz noc...

(Pokazując na piersi:)

I cios ostatni
Rozbił mi pierś...

Niech króla Bóg od wrogów chowa!

(Oddaje głęboki ukłon królowi i wychodzi. Marion powstaje z trudem i upada przy drzwiach złoconych, prowadzących do pokoju królewskiego.)

Król

(ocierając łzę i wiodąc wzrokiem za odchodzącym margrabią de Nangis, do Bellegarde'a).

Czy wiesz książę, że czasem ciężką jest odmowa!
Ten starzec mnie rozczulił; wytrwać w dobrém z siłą
Niełatwo...

(Myśli przez chwilę i nagle przerywa milczenie.)

Ale trzeba... Wczoraj się grzeszyło
Zbyt wiele. A ty książę zanadto zuchwale
Odzywałeś się do mnie dziś o kardynale,
I może to wywołać z jego strony burzę,
Kiedy mu dziś wieczorem rozmowę powtórzę.

Trudno... on musi wiedzieć o tém zajściu całém.

(Ziewając:)

Mój biedny Bellegardzie, haniebnie dziś spałem...

(Żegnając gestem straż i dworzan:)

Teraz, moi panowie, polecam was Bogu:
Odejdźcie.

(Do L'Angelego:)

Ty nie odchodź.

(Wszyscy wychodzą, wyjąwszy Marion. Książę de Bellegarde spostrzega ją klęczącą u drzwi pokoju królewskiego i podchodzi do niéj.)

Książę de Bellegarde.

Pani tu na progu
Nie możesz tak pozostać, za sprawą niczyją
Król nie ścierpi...

Marion.

Zostanę, aż mnie tu zabiją.

L'angely (po cichu do księcia de Bellegarde).

Zostaw ją książę.

(Do Marion:)

Czekaj pani.

(Powraca do króla, który zasiadłszy w fotelu zamyślił się głęboko.)

SCENA VIII.

Król, L'Angely.

Król (z głębokiém westchnieniem).

O, mój błaźnie!

Ciężko mi, chory jestem, tak, chory wyraźnie...
Ustom mym brak uśmiechu, a oczy tak suche,
Bez łzy... ty jeden tylko dajesz mi otuchę.
Chodź do mnie, chwilę z tobą porozmawiać muszę,
Niech promień wesołości rozświeci mi duszę.

L'Angely.

Przyznaj panie, że życie nasze nieskończenie
Smutne.

Król.

Niestety!

L'Angely.

Człowiek to znikome tchnienie.

Król.

O tak, tak, jedno tchnienie...

L'Angely.

Z głuchym serca bólem
Trzeba to znosić; ciężko człowiekiem i królem
Być razem.

Król.

Tak, podwójnie...

L'Angely.

Wszystko tu proch lichy;
Lepszy już grób, jeżeli głęboki, a cichy...

Król.

Grób szczęściem.

L'Angely.

Ta nadzieja tylko duszę krzepi...
Umrzeć lub się nie rodzić... to może najlepiéj!

Król.

Błaźnie, ty mi do serca trafiasz swoją mową.

L'Angely.

Czy ci, co legli w grobie, wyjdą zeń nanowo?

Król (którego smutek wzrasta w miarę słów L'Angelego).

Nie wiem, lecz sam najspieszniéj chciałbym legnąć
(Po krótkiém milczeniu:) [w grobie.
O! bo ja nieszczęśliwy bardzo, mówię tobie.
Bardzo!...

L'Angely.

Widzę to, ciągłe zmartwienia, mozoły,
Żałoba...

Król.

I jakże chcesz, żebym był wesoły?
(Zbliżając się do L'Angelego:)
Ty ze mną trud swój tracisz, bo i cóż przyniosło
Życie tobie? to także smutne jest rzemiosło!
Błazen królewski stara to lalka, jéj dusza
Jest w nitce, którą ciągle do wykrzywiań zmusza

Obca ręka, wylane i puste naczynie;
Po co żyć?

L'Angely.

Z ciekawości żyję też jedynie.
Ale porachowawszy się, królu, to wolę
Moją już, jakąkolwiek, niźli twoją rolę.
Prawda, żem stara lalka, zużyta i brzydka,
Lecz i pod twoim płaszczem jest ukryta nitka,
Którą porusza ręka silna i wytrwała;
Wolę być lalką króla, niźli kardynała
Lalką...

(Chwila milczenia)

Król (zamyślony, z coraz większym smutkiem).

Tak... śmiech twój, błaźnie, króla nie oszczędza;
Lecz masz słuszność: to szatan sam wcielony w księdza,
On opętał mi duszę, bo to opętanie
Czyste...

L'Angely.

I ja tak sądzę, najjaśniejszy panie.

Król.

To grzech tak mówić, ale jestem pod urokiem,
I nieszczęścia się na mnie walą krok za krokiem...
Mam kilka kormoranów hiszpańskich, co niby
Najlepiéj już ze wszystkich ptaków łowią ryby;
I chciałem choć raz użyć królewskiéj zabawy;
A tu susza... w tym zamku wyschły wszystkie stawy!

Chcę ryby łowić — susza; chcę polować — leje
Deszcz.

L'Angely.

Tak, życie to tylko troski i zawieje
Ciągłe.

Król.

To też mnie pociesz.

L'Angely.

Wszak co mogę robię,
Ale wszystko się nędznie składa przeciw tobie.
Jesteś dobrym myśliwcem, najjaśniejszy panie,
Każdy dobry myśliwiec ma poszanowanie
Dla sokolników.

Król (żywo).

Słusznie, u mnie sokolnicy
To bogi.

L'Angely.

Jak raz właśnie dwóch na szubienicy
Ma zginąć.

Król.

Co? dwóch?

L'Angely.

Tak jest.

Król.

Kiedy?

L'Angely.

Jutro rano.

Król.

Którzy?

L'Angely.

To ci, o których życie cię błagano
Przed chwilą.

Król.

Sokolnicy?

L'Angely.

I ostatni może
We Francyi.

Król.

A to straszna jest klęska! Mój Boże!
A i tak sztuka ginie, ja tylko jedynie
Ją podtrzymuję; jak ja umrę, wszystko zginie.
Zkądże ten pojedynek?

L'Angely.

Jeden twierdził oto:
Że biały sokół z czubem lepszy jest na błoto
Niż na suszę.

Król.

W pogodę szybuje on dłużéj.
Lecz za to szubienica?...
(Chwila milczenia.)
Wszak mi zawsze służy
Prawo łaski? Jam jeszcze nie ustąpił z pola.
(Znowu chwila milczenia)
Kardynał chce ich śmierci?

L'Angely.

Jakaż króla wola?

Król (po chwili namysłu).

Ha! trudno... niech ich stracą.

L'Angely.

Trudno, niech ich stracą!

Król (zamyślony).

Sokolnictwo upada.

L'Angely (podchodząc do okna).

Spojrz-no królu!

Król (odwracając się, podchodzi także do okna).

Na co?

L'Angely (pokazując mu coś za oknem).

Zmieniono wartę.

Król (spoglądając za okno).

I cóż? widzę, że zmieniono.

L'Angely.

Ten oto wielki drągal z przepaską czerwoną...

Król.

Kapral.

L'Angely.

Do wartownika coś tam szepcze z cicha.

Król.

Wypowiada mu hasło. Ale cóż u licha
Ty chcesz przez to powiedzieć?

L'Angely.

Między ludzi zgrają
Królowie tu na wartę także zaciągają,
Lecz mają berło zamiast halabardy w dłoni,
A kiedy swój królewski żywot kończą oni,
Śmierć, ten kapral monarszy, zasadza na tronie
Innego, króremu znów wkłada berło w dłonie,
Dając mu „miłosierdzie" za hasło od Boga.

Król.

O nie! to „sprawiedliwość." Jaka klęska sroga
Dla sokolnictwa!... umrą...

L'Angely.

Jak ty i ja, królu.
Śmierć nie wybiera nigdy w tym człowieczym ulu;
Wielki i mały, wszyscy tam się mieszczą razem.
Dzisiaj książę kardynał ciąży tobie głazem,
Ale poczekaj królu, dzień, miesiąc, rok, kto wie
Kiedy, jak już z nas każdy dokładnie wypowie
Swoją rolę, ja błazna, ty króla, on pana,
Tam ostatnia komnata jest przygotowana,
W której ten, co nad ludzkość wynosi się dumnie,
Otrzyma tak jak inny sześć stóp miejsca w trumnie!
On już i tak w lektyce zaledwie się wlecze.

Król.

Tak, smutne jest i gorzkie istnienie człowiecze;
Ty jeden rozweselasz to serce, żałobą
Pokryte.

L'Angely.

Właśnie pragnę pożegnać się z tobą
Królu.

Król.

Co?

L'Angely.

Opuszczam cię.

Król.

Wszak królewska władza
Jest święta, i śmierć od niéj tylko oswobadza.

L'Angely.

Toż i ja na śmierć idę.

Król.

I któż cię znów grzebie?

L'Angely.

Formalny wyrok śmierci stwierdzony przez ciebie Panie.

Król.

Dajże raz pokój z tém waryactwem całém!

L'Angely.

Bo ja w tym pojedynku czynny udział brałem,
Przynajmniéj moją szpadą się posługiwali,
Więc ci ją zwracam, królu.

(Wyjmuje szpadę z pochwy i oddaje ją królowi, przyklękając na jedno kolano.)

Król (biorąc szpadę i oglądając ją).

Tak, z prawdziwéj stali
Szpada, zkąd ją masz?

L'Angely.

Jestem z szlacheckiéj rodziny;
Więc ponieważ nie chciałeś przebaczyć im winy
Królu, i mnie potępiasz.

Król (poważny i zamyślony).

Smutno!... bardzo smutno!...
Niechże cię choć uścisnę, nim ci głowę utną.
(Obejmuje mu szyję ręką i całuje go w głowę.)

L'Angely (na stronie).

Jakoś do przytwierdzenia za nadto jest skory.

Król (po chwili milczenia).

Nigdy sprawiedliwości nie kładłem zapory,
Lecz kardynał Richelieu przebiera już miarę.
Jakto! dwóch sokolników skazuje na karę
Śmierci, i mego błazna chce zgładzić ze świata...
(Chodzi po scenie mocno wzruszony, trąc czoło ręką. Nareszcie zwraca się ku L'Angelemu, który niespokojnie spogląda na niego.)
Pociesz się, życie ludzkie to mgła, co ulata
Szybko.

L'Angely (na stronie).

Do licha!
(Król przechadza się daléj i zdaje się bardzo wzruszony.)

Król.

Więc chcą wieszać cię niebożę?

L'Angely (na stronie).

On to na seryo bierze... doprawdy się trwożę!
(Głośno:)
Chyba ty, królu...

Król.

Wielka strata dla nas obu;
Przyjdziesz mnie uwiadomić przynajmniéj, czy z grobu
Powraca się nanowo.

L'Angely (z coraz większym niepokojem).

Aż we mnie zadrgały
Żyły!

(Król przechadza się wielkiemi krokami po sali i od chwili do chwili przemawia do L'Angelego.)

Król.

Dla kardynała tryumf to niemały.
(Zakładając ręce na piersiach:)
I myślisz, że gdy zechcę, kres gwałtom położę?

L'Angely.

Ha! Montaigne rzekłby: nie wiem... a Rabelais: może...

Król (z gestem stanowczym).

Błaźnie! dawaj pergamin!

(L'Angely podaje pośpiesznie królowi pergamin, który się znajduje na stole obok przyboru do pisania, król skreśla na prędce na pergaminie kilka wyrazów i oddaje go L'Angelemu.)

Łaska podpisana.

L'Angely.

Dla wszystkich trzech?

Król.

Tak, dla trzech.

L'Angely (biegnąc do Marion Delorme).

Pani, na kolana
Przed królem! Łaska!...

Marion (na kolanach drżąca).

Łaska!— Mój Didierze drogi!

L'Angely.

Tak, i to ja.

Marion.

Komuż mam ucałować nogi,
Tobie panie, czy jemu?

Król (zdumiony przygląda się Marion).

Może w dobréj wierze
W błąd popadłem?

L'Angely (oddając pergamin Maryi).

Niech pani ten pergamin bierze.

(Marion całuje pergamin i ukrywa go w zanadrzu.)

Król (na stronie).

Byłże to podstęp?

(Do Marion:)

Pani, ten pargamin trzeba
Mi oddać.

Marion (przerywa).

Miłościwy królu! wielkie Nieba!...

(Śmiało ukazując na piersi:)

Zabierz go razem z sercem.

Król (zatrzymuje się i cofa się zakłopotany).

Zaufałem zdradzie.

L'Angely (po cichu do Marion).

Śmiało pani, król nigdy tam ręki nie kładzie.

Król.

Proszę oddać!

Marion.

Bierz królu!

Król (spuszczając oczy).

Śmiałość wzroku rzadka.

L'Angely.

On z gorsetu królowéj nie uszczknąłby kwiatka.

Król

(po chwili wahania żegna Marion gestem, nie podnosząc na nią oczu).

Dobrze.

Marion (żegnając króla głębokim ukłonem).

Teraz do więźniów.

(Wybiega.)

L'Angely (do króla).

To siostra rodzona
Jednego z sokolników, królu.

Król.

Kto bądź ona,
Każdy jéj jakąś śmiałość niezwyczajną przyzna:
Musiałem spuścić oczy przed nią—ja mężczyzna...
(Milczenie.)
Błaźnie, zadrwiłeś ze mnie, i znów tak się stanie,
Że ci muszę przebaczyć.

L'Angely.

A więc przebacz, panie;
Przebaczenie to jest głaz, co król z serca spycha.

Król.

Tak jest, w dniach egzekucyi zawszem cierpiał z cicha;
Nangis słusznie powiedział: kiedy szlachta ginie,
Montfaucon się zaludnia, Luwr zmienia w pustynię.
(Przechadza się wielkiemi krokami.)
Jest to bowiem już zdradą szyderczą i krwawą,
By synowi Henryka cofać łaski prawo.
Upadły i bezbronny nędzarz cóż ja zrobię?
Ten człowiek mnie już żywcem zamknął w zimnym grobie;
Płaszcz jego, to mój całun, a lud płacze cały...
Nie, nie pozwolę, by te dzieci umierały!
O nie! światło i życie to dwa dary Boże!...
(Po chwili:)
Bóg, co wie gdzie idziemy, grób otworzyć może!

Lecz nie król... prawo śmierci źle nam przysądzono...
Zrozpaczonego starca i siostrę strapioną
Chcę rozradować... tak, chcę... przebaczyć jest cnotą...
Kardynał będzie wściekły, ale mniejsza o to;
Bellegarde się ucieszy tym rzeczy obrotem;
Tak jest.

L'Angely.

Można być królem i nie myśląc o tém.

AKT V.

Kardynał.

OSOBY.

MARION DELORME.
DIDIER.
Margrabia de SAVERNY.
P. de LAFFEMAS.
Prezes sądu.
Kat.
Dozorca więzienia.
Strażnik.
Robotnicy.
Halabardziści.
Gwardya.
Lud.

(Zamek Beaujency. Podwórzec zamkowy. W głębi warowny korpus zamku, a na około mur wysoki. Z lewéj strony wielka brama sklepiona. Z prawéj wgłębiona w mur mała fórtka; przy téj fórcie kamienny stół i kamienna ławka.)

SCENA I.

(Robotnicy pracują nad obaleniem muru w głębi na lewo. Wyłom już dość obszerny.)

Pierwszy robotnik (rąbiąc oskardem).

Twarde bestyjstwo.

Drugi robotnik.

Zanim oskard cegły dotrze,
Szczerbi się.

Trzeci robotnik.

Czy widziałeś rusztowanie, Piotrze?

Pierwszy robotnik.

Widziałem.

(Podchodzi do bramy i przemierza ją.)

A doprawdy, ta brama za mała,
Żeby wmieścić lektykę księcia kardynała.

Trzeci robotnik.

Więc ona jak dom?

Pierwszy robotnik (z gestem potakującym).

A tak, ogromna landryga,
Dwudziestu czterech drabów na plecach ją dźwiga.

Drugi robotnik.

Trzeba ją widzieć jak ją z pochodniami taszczą
W nocy; wygląda jak smok z płomienistą paszczą.

Trzeci robotnik.

Po cóż on tu przybywa z całą straży rzeszą?

Pierwszy robotnik.

Ot zwyczajnie, chce widzieć jak tych dwóch powieszą.
Chory jest, więc rozrywki mu trzeba.

Drugi robotnik (zabierając się napowrót do roboty).

Na marno
Im tam.

(Pracują wszyscy, wyłom już prawie ukończony.)

Trzeci robotnik.

A szubienica malowana czarno,
Widziałeś, to dla szlachty.

Pierwszy robotnik.

A tak.

Drugi robotnik.

Ta czereda
Ma wszystko.

Trzeci robotnik.

Nam kat czarnéj szubienicy nie da.

Pierwszy robotnik.

A cóż znów przeskrobali ci oto pankowie,
Że ich wieszają? Czy wiesz za co?

Trzeci robotnik.

To się zowie
Sprawiedliwością.

(Kończą pospiesznie robotę. Wchodzi Laffemas. Robotnicy przestają mówić. Laffemas wychodzi z głębi sceny z podwórka wewnętrznego więzienia. Zatrzymuje się przed robotnikami, przypatruje się wyłomowi i wydaje po cichu rozkazy. Robota się kończy. Laffemas każe robotnikom zaciągnąć wyłom czarném suknem, następnie odprawia ich. Wchodzi Marion w białéj sukni z zasłoną na twarzy. Wszedłszy przez główną bramę, przebiega przez scenę i puka do fórtki; otwiera się okienko w fórtce i twarz dozorcy ukazuje się w okienku.)

SCENA II.

Marion, Dozorca, Laffemas.

Marion (pokazując strażnikowi pergamin).

Z króla rozkazu.

Dozorca.

Nie można.

Marion.

Co?

Laffemas (pokazując dozorcy drugi pergamin).

Podpis kardynała.

Dozorca.

Proszę wejść.

(Otwiera fórtkę; Laffemas wchodząc usuwa go na bok).

Laffemas.

Z ostrożna.

(Nagle na progu zatrzymuje się i zwraca się ku Maryi. Dozorca zamyka fórtkę.)

Laffemas (do Maryi).

Co widzę? Pani tutaj? To dziwne spotkanie!

Marion.

Tak.

(Pokazuje mu pergamin, który trzyma w ręku).

Mam ułaskawienie.

Laffemas (pokazując jéj swój papier).

A ja odwołanie.

Marion (z krzykiem przerażenia).

Król to podpisał wczoraj z rana!

Laffemas.

Lecz z kolei

Dzisiaj w nocy odwołał.

Marion (zakrywając oczy rękoma).

Więc nie ma nadziei!

Laffemas.

Nadzieja jest zwodniczém upajaniem ducha,
A łaska królów szybko się łamie, bo krucha.

Marion.

Lecz król sam ubolewał nad ich życia stratą!

Laffemas.

Ale kardynał nie chce, cóż król wskóra na to?

Marion.

Mój Didierze! Ostatni promień dla mnie gaśnie!

Laffemas.

Nie ostatni.

Marion (na stronie).

Och!

Laffemas (przybliżając się do niéj, po cichu).

Stoi tu przy tobie właśnie
Ten, co gdy rzekną słowo twe usteczka hoże,
Szczęśliwszy niż król, więcéj niż on zdziałać może.

Marion.

Idź precz!

Laffemas.

A więc odrzucasz mnie, co pragnę...

Marion (wyniośle).

Kto? ty!

Laffemas.

Doprawdy, te kobiety, to dziwne istoty!

Same w objęcia różnych bez wahania biegą,
A gdy życie kochanka zależy od tego...

Marion (przerywając mu).

To już najnikczemniejsze jest urągowisko,
By sądzić, że kobieta choć strącona nizko,
Że nawet Marion Delorme, ta słaba i płocha
Istota, jeśli całą krwią serca pokocha
Człowieka z czystą duszą i promienną głową,
Jeżeli w tém uczuciu odżyje na nowo
I skąpie ducha swego w tém miłości niebie,
Z wysokości tych marzeń zdoła spaść do ciebie!

Laffemas.

A kochajże go sobie!

Marion.

Ze zbrodni do kału!
Ha, nędznik!

Laffemas.

Mimo tego miłosnego szału
Chcę ci oddać przysługę.

Marion.

Jaką?

Laffemas.

Swoim torem
Możesz się z nim zobaczyć, dziś jeszcze wieczorem.

Marion (drżąc na całém ciele).

Jakto! dziś?

Laffemas (wskazując na wyłom w murze).

Rozwalono mur dla jego cześci
Kardynała, bo w drzwiach się lektyka nie zmieści.

(Marion pozostaje przez chwilę jak gdyby pogrążona w konwulsyjném dumaniu. Nagle przesuwa obie ręce po czole i jak obłąkana zwraca się ku Laffemas'owi.)

Marion.

Więc możesz go uwolnić? co? powiedz otwarcie.

Laffemas (suchym głosem).

Jeśli chcesz, to z łatwością, postawię na warcie
Tutaj

(wskazując na wyłom:)

dwóch ludzi, którzy na moje zlecenie
Wszystko uczynią.

(Przykłada ucho do fórtki.)

Ale ktoś idzie... milczenie!

Marion (załamując rozpaczliwie ręce).

I ocalisz go?

Laffemas.

Tak jest.

(Ciszéj:)

Mury mają uszy
Tutaj, chodźmy tam.

Marion (z rozpaczą).

Chodźmy.

(Laffemas odchodzi w kierunku bramy, wzywając gestem Maryę do udania się za nim. Marion upada na kolana zwrócona twarzą ku fórcie prowadzącéj do więzienia. Następnie zrywa się z ziemi konwulsyjnym ruchem i odchodzi za Laffemas'em. Fórta otwiera się; wchodzą Didier i Saverny otoczeni strażą.)

SCENA III.

Didier, Saverny.

(Saverny przystrojony według ostatniéj mody, wchodzi żywo i wesoło. Didier ubrany cały czarno, blady, postępuje z wolna. Prowadzi ich strażnik więzienny z dwoma halabardzistami. Strażnik stawia dwóch halabardzistów na straży przy czarnéj zasłonie. Didier siada w milczeniu na ławce kamiennéj.)

Saverny

(do strażnika więziennego, który mu fórtkę otworzył).

Dziękuję ci z duszy;
Świeże powietrze... rozkosz!

Strażnik (biorąc go na stronę po cichu).

Czy wielmożność wasza
Chce uciec?

Saverny.

Co? którędy?

Strażnik (zniżając coraz więcéj głosu).

To już sprawa nasza,
My to zrobim.

Saverny.

Doprawdy?

(Strażnik robi znak głową.)

Mości kardynale,
Chciałeś, bym już nie tańczył w przyszłym karnawale!
Tak mnie zabaw pozbawić, to wcale nie ładnie.
Dobra rzecz żyć.

(Do strażnika:)

A kiedy?

Strażnik.

Dziś, gdy noc zapadnie.

Saverny (zacierając ręce).

Niechże ten dzień przeklęty jak najprędzéj mija!
A powiedz mi zkąd pomoc?

Strażnik.

Od pańskiego stryja.

Saverny.

Mój dobry stryj!

(Do dozorcy:)

I obu nas w nocy wywiodą
Ztąd?

Strażnik.

Nie, pana samego.

Saverny.

Za dobrą nagrodą
Obu.

Strażnik.

Nie, jeden tylko.

Saverny (potrząsając głową).

Jeden?

(Do dozorcy:)

Tyś uparty
Widzę. No...

(Pokazując na Didiera:)

Ocal tego.

Strażnik.

Panie, chyba żarty?

Saverny.

Mówię, jego.

Strażnik.

Dla stryja pańskiego to czynię,
A stryj chce, żeby pana ocalić jedynie.

Saverny.

Czy tak? To każ dwie trumny przygotować, byle
Prędko.

(Odwraca się od strażnika, który spojrzawszy na niego ze zdziwieniem oddala się w głąb sceny.)

(Wchodzi pisarz sądowy.)

Saverny.

Że też nie można samym być na chwilę!

Pisarz sądowy (kłaniając się więźniom).

Panowie! prezes sądu ma według zwyczaju
Zejść tutaj.

(Kłania się powtórnie i wychodzi.)

Saverny.

Dobrze.

(Śmiejąc się:)

Mieć lat dwadzieścia, być w maju
I nie módz się doczekać czerwca... no... to dziwnie.

Didier

(nieruchomy na przodzie sceny trzyma w ręku portret i wydaje się pogrążony w głębokiém zadumaniu:)

Spójrz na mnie... oczy w oczy... ot tak! Jak przedziwnie

Piękna! Ten czysty spokój i pogoda czoła!...
To nie postać kobiety, o nie! to anioła
Postać, bo sam Bóg chyba swych wybrańców darzy
Takim urokiem wzroku i słodyczą twarzy.
Na tych ustach dziecięca swoboda i siła
Wiary.

(Rzuca gwałtownie portret o ziemię.)

Czemuż kobieta, która mnie karmiła
I skazała mnie przez to na żywot cierniowy,
O kamienie mi raczéj nie strzaskała głowy?
Cożem zawinił matce, że żyję na świecie?
Dla czegoż ta nieszczęsna, nosząc w łonie dziecię
Występku, gdym opuszczać miał już to schronienie,
Nie była dość mą matką, żeby mię jak szczenię
Zadławić!

Saverny (który przez ten czas przechadzał się).

Patrz, jaskółka skrzydłem muska ziemię:
Będzie deszcz.

Didier (nie słuchając go):

Lekkomyślne i niewierne plemię
Kobiety! Zwiędłe sercem, a zaciekłe w szale,
Niestałe i burzliwe jako morza fale.
Niestety, temu morzu zwierzyłem na burzę
Łódź moją; ufny w gwiazdę, co mi lśniła w górze,
Płynąłem, i znalazłem grób zamiast przystani.
A jednak byłem młody, ufny w przyszłość; dla niéj

Żywiłem płomień w piersiach, i czerpałem do dna
W skarbnicy moich uczuć... Kobieto niegodna!
Czyś nie zadrżała, kłamiąc mi słowem zuchwałém,
Gdy ja ci bez obrony duszę powierzałem?

Saverny.

To jeszcze ta... jak jéj tam?... Wiesz, masz nie dzisiejsze
Pojęcia.

Didier

(niesłuchając go, podnosi z ziemi portret i spogląda nań).

Przeto między rzeczy najpodlejsze
Trzeba cię rzucić, piękna, z znamieniem obrzydłem,
Szatanie! coś anioła pokrywał się skrzydłem!

(Kładzie portret na sercu.)

Wróć tu, tu twoje miejsce.

(Zbliżając się ku Savernemu:)

Wiesz... w dziwnym sposobie
Ten portret ożył, .. tak jest, żyje, mówię tobie;!
Bo gdyś spoczynkiem krzepił zranione swe ciało,
Ten wizerunek żarł mi serce przez noc całą.

Saverny.

Biednyś! Mówmy o śmierci.

(Na stronie:)

Po złudzeń zatracie
To go tylko pociesza.

Didier.

Wszak mówiłeś, bracie?
Do mnie, proszę, raz jeszcze powtórz, nie słyszałem...
To imię mnie zagłusza dziwnym jakimś szałem;
Reszta mi bezrozumnym brzmi w uszach szelestem,
I nic już nie pamiętam, nic nie wiem, nie jestem.

Saverny (biorąc go za rękę).

Śmierć!

Didier (rozradowany).

Ach!

Saverny.

Mów mi o śmierci, o ostatnim celu
Wędrówki naszéj.

Didier.

Jakże spałeś przyjacielu?

Saverny.

Źle, łóżko twarde, że to utrapienie Boże!

Didier.

Po śmierci twardsze jeszcze będzie twoje łoże,
Ale w niém spokojniejszém spać będziesz obliczem.
Mówią wprawdzie o piekle... lecz piekło jest niczém
Przy życiu...

Saverny.

No, to krótka po życiu żałoba...
Tylko mi szubienica coś się nie podoba.

Didier.

Lecz sprowadza śmierć rychłą, to jéj dobra strona.

Saverny.

Jak chcesz, ale mnie jakoś nie dogadza ona;
Obawa śmierci nigdy nie postała we mnie,
Ale umrzeć na stryczku nie bardzo przyjemnie.

Didier.

Śmierć się w różnych postaciach do ludzi przymila,
Szubienica z nich jedną. Niemiła to chwila,
Kiedy stryczek mignąwszy szybko w ręku kata
Zaciska tobie gardło i duszę wygniata.
Ale mniejsza i o to, bo śmierć ciemność plemi
I nie będziesz już patrzał na nic na téj ziemi.
Czy zimny grobu marmur w proch twe kości zetrze,
Lub czy kruki twe szczątki rozniosą na wietrze,
Mniejsza o to.

Saverny.

Ba — z ciebie filozof nielada.

Didier.

Czy sęp żarłoczny martwe me ciało zajada,

Albo czy w grobie pastwą robaków się stało
Jak królewskie, to nie ja już, to moje ciało.
Gdy ono legnie w ziemi do grobu przybite,
Dusza uniosłszy z lekka marmurową płytę,
Wzlata...

(Wchodzi prezes sądu. Poprzedza go halabardnik ubrany czarno, drugi idzie za nim.)

SCENA IV.

Strażnik.

Jego cześć, prezes komissyi sądowéj.

Prezes (kłaniając się kolejno Savernemu i Didierowi).

Smutny mój obowiązek i wyrok surowy
Mam obwieścić.

Saverny.

Rozumiem, lecz my nie niewiasty,
Mów pan co masz powiedzieć.

Prezes (rozwija pergamin i czyta).

„My Ludwik Trzynasty,
Król Francyi i Nawarry, w rozciągłości całéj
Stwierdzamy wyrok śmierci, co sądy wydały.
Dobrotliwości naszéj by jednak dać miarę,
Miast kary szubienicy stawim miecza karę.“

Saverny.

To ale!

Prezes (kłaniając się).

Parę godzin panom pozostało,
Bo to już dziś wieczorem.

Didier

(który pozostał wciąż w postawie marzącéj, do Savernego).

Więc czy martwe ciało
Rzucą gdzieś na śmietniku, by gniło w kawały,
Czy je zęby żelazne tortur rozszarpały,
Czy sroga zemsta ludzka, ran zadawszy krocie,
Wlokła je w ściekach miasta i uliczném błocie, —
Trup pozostanie nędzny, krwawy i zbrukany,
A dusza wyjdzie czysta, bez skazy i rany.

Prezes (zwracając się do Didiera:)

Więc, panowie, zacznijcie już przygotowanie
Na śmierć.

Didier (łagodnie).

Chciéj nie przerywać mi, łaskawy panie.

Saverny (wesoło do Didiera).

Więc już nie szubienica!

Didier.

Wiem, poczciwa dusza
Kardynał, bez oprawcy nigdy się nie rusza.

Gdy topór nie w użyciu częstém, rdza go zjada.

Saverny.

Tyś obojętny, a to sprawa jest nielada,
Widzisz.

(Do prezesa:)

Dziękuję panu za dobrą nowinę.

Prezes.

Chciałbym udzielić panom lepszéj.

Saverny.

O godzinę
Zapomniałem się spytać.

Prezes.

Dzisiaj, jak się ściemni,
O dziewiątéj.

Saverny.

Po nocy umierać przyjemniéj...
Gdzie będzie rusztowanie?

Prezes (wskazując ręką na przyległe podwórze).

Tam je wystawili.
Pan kardynał przybędzie.

(Prezes kłania się więźniom i wychodzi ze świtą. Więźniowie pozostają sami. Zaczyna się powoli ściemniać. Widać w głębi błyszczące halabardy żołnierzy przechadzających się przed wyłomem.)

SCENA V.

Didier, Saverny.

Didier (uroczyście po chwili milczenia).

W téj ostatniéj chwili
Warto się zliczyć z życiem. Jesteśmy rówieśni,
Ale ja dłużéj żyłem, bo żyłem boleśniéj;
A więc być przewodnikiem winienem i mogę,
By ciebie na tę trudną przygotować drogę,
Tém bardziéj że jam głównie winien temu nie ty.
Odemnie szło wyzwanie. Dość było, niestety,
Moje przeklęte tchnienie wprowadzić w twe życie,
By się ono złamało i zgasło o świcie.
Teraz śmierć nas okrywa swą szatą powiewną,
Więc dłoń w dłoń...

(Słychać uderzenie młotka.)

Saverny.

Cóż tam znowu za hałas?

Didier.

To pewno
Stawiają rusztowanie lub zbijają trumnę.

(Saverny siada na ławce kamiennéj.)

Didier.

Przy śmierci serce często słabnie chociaż dumne,
Życie bowiem uparcie trzyma się człowieka.

(Pierwsze uderzenie zegaru, który zaczyna bić godzinę.)

Słyszysz? tam na nas woła głos jakiś z daleka.

(Drugie uderzenie.)

Saverny.

To zegar bije.

(Trzecie uderzenie.)

Didier.

Zegar.

(Czwarte uderzenie.).

Saverny.

Na wieży kościoła.

(Cztery nowe uderzenia.)

Didier.

Tak... już ósma... to także głos, który nas woła.

Saverny.

Jeszcze cała godzina.

(Opiera się łokciami o stół kamienny i ukrywa głowę w rękach. Na scenę wchodzi patrol halabardników i luzuje wartę.)

Didier.

Bracie, ufaj w Bogu.
Bacz, aby się nie potknąć na śmiertelnym progu.
Grób, który kat zgotował każdemu z osobna
Z nas, jest nizki i z głową wejść tam niepodobna.
A więc, bracie, w odwagę uzbrójmy się sami,
Nie drżyjmy, rusztowanie niechaj drży przed nami.
Oprawcom kardynała spojrzmy oko w oko,
I nim ją zetną, głowę dźwigajmy wysoko.

(Zbliża się do Savernego, który siedzi nieruchomy.)

Odwagi!

(Bierze go za rękę i spostrzega, że on śpi.)

Śpi, a ja mu odwagę mieć radzę;
Cóż jest odwaga moja przy jego odwadze?

(Siada.)

Śpij spokojnie, gdy możesz; nadejdzie godzina,
Że i ja także zasnę.—Tam się zapomina...
O, niech tylko nic z serca, gdy zmartwieje ciało,
Nie przeżyje, by brzydzić się tém, co kochało!

(Noc zapadła. Podczas kiedy Didier coraz bardziéj pogrąża się w myślach, przez wyłom w murze wchodzi Marion i dozorca więzienia, który postępuje przed nią, trzymając w ręku głuchą latarkę i zawiniątko. Dozorca latarkę i zawiniątko stawia na ziemi, potém zbliża się do Marion, która pozostała na miejscu blada, nieruchoma i bolesna.)

SCENA VI.

Ciż sami, Marion, Dozorca.

Dozorca (do Marion).

Spieszcie się.

(Oddala się, i przez cały ciąg rozmowy następującéj przechodzi tam i napowrót w głębi sceny.)

(Marion postępuje naprzód chwiejącym się krokiem, jak gdyby pogrążona w rozpaczliwych myślach. Od czasu do czasu pociera ręką po czole, jak gdyby chciała z niego coś zetrzeć.)

Marion.

Usta jego czuję tu, z odrazą
Piętnują mnie jak gdyby gorące żelazo.

(Nagle w cieniu spostrzega Didiera; wydaje krzyk, rzuca się naprzód i upada przed nim na kolana.)

Didierze! mój Didierze! Didierze mój drogi!

Didier (jakby rozbudzony ze snu).

Ona!

(Zimno:)

Pani?

Marion (podnosząc głowę).

Niech twoje ucałuję nogi!...
Mnie tu tak dobrze... podaj mi ręce... tyś cały
Przeziębły, bo tu wilgoć... twe ręce zsiniały

Od kajdan... Więc kajdany ci kładli... Ta psiarnia
Obrzydła!... Przybyłam tu... Boże! tu męczarnia!

(Płacze.)

Didier.

Pani płaczesz?

Marion.

Nie płaczę, widzisz, ja się śmieję.

(Śmiejąc się:)

Uciekajmy ztąd... tak jest... spełnione nadzieje...
Tamtędy... uciekajmy... i wybawcza ręka...

(Upada na kolana przed Didierem i wybucha płaczem.)

O! to za wiele bolu i serce mi pęka!

Didier.

Pani...

Marion

(nie słysząc, powstaje i biegnie po zawiniątko, które oddaje Didierowi).

Tak... ale spiesz się, korzystajmy z chwili...
To dla ciebie, przebierz się. — Oni tam zrobili
Już wszystko.

(Pokazując na dozorcę:)

Patrz, ten człowiek jest głuchy i niemy.
Zaraz boczną ulicą na miasto wyjdziemy...

Richelieu tu przybędzie wkrótce razem z katem;
A więc nie traćmy czasu... życie twoje na tém
Zależy... wystrzał z działa jest hasłem, więc całém
Szczęściem, by nas nie było tu przed tym wystrzałem.

Didier.

Tak.

Marion.

Prędzéj!.. ocalony!.. oczom swym nie wierzę!..
To ty! przemówże do mnie... Kocham cię Didierze!

Didier.

Mówisz pani, że boczną uliczką?

Marion.

Na Boga,
Tak... ale spiesz się, spiesz się!.. to jest pewna droga!..
Widziałam, zamykano tam okna i bramy...
Być może kilka kobiet po drodze spotkamy,
Ale ciebie z pewnością wezmą za przechodnia. —
Potém wdziejesz ten ubiór na siebie... patrz... do dnia
Upłynie sporo godzin... a droga daleka...
Spiesz się!..

Didier (odtrącając nogą zawiniątko).

Cóż tak pilnego?

Marion.

Tu śmierć u drzwi czeka.

Czy słyszysz!.. Śmierć Didierze!.. Uciekajmy'..

Didier.

Na co?

Marion.

Pytasz się!.. Ależ oni tam czasu nie tracą...
A słowa twoje jak lód.

Didier.

Ludzie nieraz, pani,
Bywają jakby dziwnym szałem opętani.

Marion.

Pójdź już, pójdź!.. czas ubiega, a nam pilno w drogę...
Potém wszystko mi powiesz, wszystko słyszeć mogę...
Spieszmy!

Didier (pokazując na dozorcę).

Kto jest ten człowiek tam?

Marion.

On będzie głazem;
Przekupiony i wszyscy strażnicy z nim razem.
Czy wątpisz? Oni wszyscy przekupieni przecię.

Didier.

Pani wiesz, że o zdradę nietrudno na świecie.

Marion.

Uchodźmy! każdy odgłos, co przerywa ciszę,
Jest straszny!.. zdaje mi się, że głos tłumu słyszę...
Spieszmy się! na kolanach cię błagam, Didierze!

Didier (wskazując na śpiącego Savernego).

Po kogoś z nas dwóch przyszła, powiedz, pani, szczerze?

Marion

(pozostaje przez chwilę w niemém przerażeniu. Później na stronie, spoglądając na Savernego:)

Nie, on mnie nie mógł zdradzić.

(Głośno:)

Co znaczy ta mowa?
Jakieś się podejrzenie w sercu twojém chowa;
Co masz? powiedz!

Didier.

Nic. Czemu twa głowa spuszczona?
Wznieś ją, popatrz mi oko w oko. Tak,— to ona,
Podobieństwo zupełne.

Marion (na stronie).

Przechodzą mnie dreszcze.

(Głośno:)

Kocham cię, lecz uchodźmy!

Didier.

Popatrz na mnie jeszcze.

(Nie spuszcza z niéj oka, a pod jego wzrokiem Marion drży jak liść.)

Marion (przerażona pod spojrzeniem Didiera).

Pocałunki tamtego, czyżby widział?.. Boże!

(Głośno:)

Didierze, mów otwarcie... Nie, to być nie może!
Ty coś skrywasz przedemną... mów, ja wiedzieć muszę...
Często się podejrzenie wkrada w naszą duszę,
A potém żałujemy, żeśmy się taili
Z taką myślą, gdy przyjdzie nieszczęście w złéj chwili.
Tyś mnie o przychylności zapewniał stokrotnie
Twojéj... Czyliż te chwile przeszły bezpowrotnie?...
Czyliż mnie już nie kochasz? Byłam ci wzajemną
Wszakże? W Blois, wszak pamiętasz, rozmawiałeś ze mną.
Słowami przemawiałeś do mnie tak słodkiemi,
Żeśmy zapominali o wszystkiém na ziemi.
Odkrywałeś przedemną twą duszę stroskaną,
Nieraz mówiłam: „Gdyby go tutaj widziano
Tak przy mnie!"...Znikło jak cień... gdzież jest przeszłość [owa?..
Dziś jeszcze płomieniste twoje słyszę słowa,
Żem jest twoją miłością, żem potrzebna tobie
Jak światło dnia, że wszystko co chcę z tobą zrobię...
Sam powiedz, czym cię śmiała o cobądź poprosić?...
Tylu twoim życzeniom czyniłam zadosyć,
Ale teraz ty ustąp... Byłoby złą dobą
Upierać się... W życie, w śmierć ja pójdę za tobą,

Będę szła, kędy zechcesz, pokorna i cicha
Choćby na rusztowanie... O! on mnie odpycha!...
Zostaw mi swoją rękę, pozwól, niechaj skłonię
Do twoich kolan czoło, które ogniem płonie...
Takem znużona... siła mnie odeszła cała...
O! któżby dziś powiedział, żem się dawniéj śmiała
Tak łatwo... teraz łzy mi z oczu same płyną...
O powiedz, wyznaj szczerze, za jaką przyczyną
Tyś dla mnie ochłódł?.. przemów słowo... daj otuchę;
Pociesz mnie... I dlaczegoż to milczenie głuche?..
Przecięż trzeba powiedzieć coś... Tyś jak ze skały...
Zabij mnie raczéj... O patrz, łzy płynąć przestały,
Patrz, śmieję się i pragnę tego najgoręcéj,
Byś się śmiał także... Nie chcesz... nie kocham cię więcéj.
Ustępowałam ciągle, teraz ty, kochany,
Ustąp mi... czyż ci duszę zmroziły kajdany?..
Przemów... nazwij mnie Maryą tak jak dawniéj, szczerze...

Didier.

Maryą, czy Marion Delorme?

Marion (upadając przerażona na ziemię).

Litości, Didierze!

Didier (gwałtownie).

Pani! dobrze strzeżone są nasze więzienia,
Drzwi ich kute z żelaza, a mury z kamienia;
Jeśliś więc tutaj weszła, wyznaj prawdę Bogu
I mnie, komuś swą miłość sprzedała na progu?

Marion.

Didierze, zkąd wiesz o tém?

Didier.

Znikąd. To natchnienie
Duszy.

Marion.

Przysięgam tobie na wieczne zbawienie,
Że to dla ciebie, żeby wyrwać cię z otchłani,
Żeby uprosić katów twych.

Didier.

Dziękuję pani.
Tak niegodnie się nurzać w kale tego błota,
I być tak pozbawioną wstydu .. to sromota!

(Przechodzi wielkiemi krokami po scenie, wydając okrzyki wściekłości.)

Gdzież ten handlarz obrzydły, gdzież ta czci zagłada,
Co tak nikczemne ceny na głowę nakłada?
Gdzież ten człowiek, gdzie sędzia, odpowiedz mi, kogo
Mam szukać? niech go zmiażdżę, niech go zdepczę nogą!
Jak to!....

(Gruchocze portret w ręku i rzuca go na ziemię.)

Sędzia!.. tak, prawa spisujcie panowie,
Stosujcie je, a mniejsza jak się ciężar zowie,
Którym szali się waszéj przechyli połowa,
Czy to honor kobiety, czy mężczyzny głowa?

(Do Marion:)

Idź pani, tam do niego!

Marion.

O, słuchaj! tak twardo
Nie chciéj przemawiać do mnie, pod twoją pogardą
Drżę jak liść, jedno słowo a skonam... Didierze,
Jeżeli jakie serce gorąco a szczerze
Kochało, zdolne wszystkie męczarnie ponosić,
O, wierz mi, to jest moje, to dla ciebie!

Didier.

Dosyć —
Dosyć, mówię ci. Miłość, powiadasz? jestże to
Miłość? I ja mógłbym zrodzić się kobietą,
I ja mógłbym sprzedawać za nędzne pieniądze
Te wdzięki, co wzbudzają, potém sycą żądze.
Lecz gdyby przyszedł do mnie w nieskalanéj wierze
Człowiek głupią miłością obłąkany szczerze,
Gdybym napotkał w mojéj wędrówce miłosnéj
Serce pełne ułudzeń nieskalanéj wiosny,
I temu co w swéj wierze korzy się przedemną,
Gdybym nie śmiał mą przeszłość odsłonić nikczemną
Powiedzieć mu: „Jestem tém co kala, i mroczy,
I kłamią moje usta, i kłamią me oczy,
Miłość moja zatruwa, a dotknięcie plami,“ —
Wolałbym grób swój kopać własnemi rękami.

Marion.

Boże!

Didier.

I śmiać się mogłaś z dumą i spokojem
Z ołtarza, którym tobie stawił w sercu mojém,
A któryś ty zburzyła sama, zmiąwszy do dna
To kochające serce... Kobieto niegodna,
I cóż tobie zawinił w twéj doli złowrogiéj
Człowiek, co życie całe rzucał ci pod nogi?

Dozorca więzienia.

Czas mija.

Marion.

Tak, czas mija, i nad twoją głową
Śmierć wisi... nie mam prawa choćby jedno słowo
Wyrzec, jestem istotą nędzną i zbolałą,
Tyś mnie wyklął i zdeptał... dobrze... już się stało,
I choć mi zgniotłeś serce miłości zatratą
Swojéj, błogosławię cię, zasłużyłam na to.
Ale zbliża się owa godzina przeklęta,
Ty o niéj zapomniałeś, ale kat pamięta;
Uchodź... chwile, co płyną, biciem serca mierzę...
O! ty mi nie odmawiaj... Didierze! Didierze!
Niech nademną się pastwi twoja zemsta sroga,
Odepchnij mnie, zdepcz, zniwecz, lecz uchodź, na Boga!

Didier.

Nie! ja tylko przed tobą chcę uciec. Śmierć! do niéj
Ręce wyciągam: śmierć mnie od ciebie ochroni.

Dozorca więzienia.

Czas mija.

Marion.

Uchodź!

Didier.

Nie chcę.

Marion.

Miéj litość nademną!

Didier.

A ty miałażeś?

Marion.

Widzieć jak ręką nikczemną
Ten kat... O, nie!.. Mój Boże! wszak oni tam stoją
I czekają... Didierze! będę sługą twoją!
Czy chcesz, by ci służyła wiecznie kochająca
Jako sprzęt nędzny, który nogą się potrąca,
Ta, do któréj sam święte to wyrzekłeś słowo:
„Żono moja!....“

Didier.

Tak... żono!

(Słychać z daleka wystrzał armatni.)

To cię robi wdową!

Marion.

Didierze!

Dozorca więzienia.

Czas upłynął.

(Słychać odgłos bębna. Wchodzi prezes sądu, za nim penitenci, z pochodniami w ręku, kat z oprawcami, żołnierze i lud.)

SCENA VII.

Ciż sami, Prezes sądu, Kat, żołnierze, Lud etc.

Prezes sądu.

Już wszystko gotowe.

Marion (do Didiera).

Mówiłam ci, że przyjdzie kat po twoją głowę.

Didier.

I my gotowi także.

Prezes sądu.

Pierwszy głowę poda
Margrabia de Saverny.

(Do kata, pokazując mu Savernego śpiącego na ławce kamiennéj:)

Zbudź go!

Kat (poruszając usilnie Savernego).

Śpi jak kłoda.
Panie! wasza wielmożność!

Saverny (przecierając sobie oczy):

Niech cię piorun spali,
Sen tak dobry.

Didier.

Na chwilę tylko go przerwali.

Saverny

(na wpół przebudzony spostrzega Marion i kłania się jéj).

A... o tobie marzyłem właśnie piękna pani.

Prezes sądu.

Panowie! czyście na śmierć już przygotowani?

Didier.

Tak, panie.

Prezes sądu (do Savernego, podając mu pergamin).

Formalności jeszcze pan dokona,
Trzeba tu się podpisać.

Saverny

(bierze pergamin i przebiega go oczami).

Rzecz nieopłacona,
Sam podpisuję opis méj śmierci, to względy
Niemałe.

(Podpisuje i znowu przegląda co tam napisano:)

Panie, tam są w pisowni trzy błędy.

(Bierze pióro i poprawia.)

(Do kata:)

Ty, który mnie zbudziłeś, uśpisz mnie na nowo.

Prezes sądu

(do Didiera podając mu protokół).

Pan.

(Podaje mu pióro i pokazuje mu miejsce do podpisu:)

Tutaj!

Marion (zakrywając twarz rękoma).

Boże!

Didier (podpisując),

Z taką radością duchową
Nigdym nie podpisywał papieru żadnego.

(Straże się szykują, tłum się ciśnie.)

Saverny (do jednego z tłumu).

Zasłaniasz temu dziecku, ustąp się kolego.

Didier (do Savernego).

Bracie, gdy nas już razem obu śmierć przyzywa,
Pożegnajmy się tutaj.

(Całuje Savernego.)

Marion (biegnąc ku niemu).

A ja nieszczęśliwa!
Nie pożegnasz mnie?

Didier (wskazując na Savernego).

Myśmy przyjaźnią wzajemną
Złączeni.

Marion (składając ręce).

Jakże srodze pastwisz się nademną!
Jam o łaskę dla ciebie tak ciernistą drogę
Przebyła, a twéj łaski uzyskać nie mogę!

Didier (wybuchając płaczem, rzuca się do niéj).

O nie! nie! to mi serce rozdziera.... Mój Boże!
Jam ją za nadto kochał!... nie, to być nie może,
Ja jéj tak nie opuszczę, to zbyt wielka męka
Zachować czoło z głazu, kiedy serce pęka.
O! chodź do mnie!

(Porywa ją gwałtownie w swoje ramiona.)

Umieram, lecz ciebie kochałem
I kocham, a przyznać to jest mém szczęściem całém!

Marion.

Didierze!

(Didier całuje ją namiętnie.)

Didier.

Tak, jedyna, chodź do mnie, bo czyli
Jest z was kto, coby zdołał w téj ostatniéj chwili
Odmówić przebaczenia téj, która zbolała,
Jemu się i dla niego ciągle poświęcała?

Zbłądziłem, w serca ciebie skrzywdziłem żałobie,
Ale u progu śmierci, tu, przebaczam tobie.
Słuchajcie mnie:— Ze wszystkich kobiet, co na ziemi
Są pełnemi poświęceń i kochającemi,
Ta, któréj dziś z miłością otwieram ramiona,
Którą kocham, uwielbiam, którą czczę — to ona!
Tak, ty byłaś cierpliwa, kochająca, słodka,
I teraz w obec śmierci, co wkrótce mnie spotka,
W obec grobu, nad którym ja i on tu stoim,
Mówię: zbyt wielka miłość była grzechem twoim!
Tyś pokutą zgładziła grzech ten do ostatka.
Może ciebie w kolebce zapomniała matka
Jak mnie, a nędzni ludzie piękną cię i młodą
Powiedli na tę drogę, gdzie upadłe wiodą...
Podnieś głowę i słuchaj: W chwili kiedy ziemia
Znika jak cień i nic już wzroku nie zaciemia,
Z rusztowania, na którém gdy niewinny kona,
Święty Krzyż odkupienia roztwiera ramiona,
Duszo czysta! co nędznym tchem ziemi skażoną
Wdziałaś szatę, kochanko moja, moja żono,
W Imię Boga, w którego miłosierdzie wierzę,
Kocham cię i przebaczam ci Maryo!

Marion (tonąc we łzach).

Didierze!...

Didier.

A teraz ty z kolei przebacz, na kolana
Padam przed tobą.... przebacz!

Marion.

Boże!

Didier (klęcząc).

Ukochana!
Ja cię krwawo skrzywdziłem, i Bóg cię ogromnie
Ukarał za mnie; teraz płakać będziesz po mnie,
A ja byłem dla ciebie nieczuły i dumny,
Więc przebacz, bym wyrzutu nie poniósł do trumny.

Marion.

O!

Didier.

Rzeknij słowo, Maryo, i rękę na czole
Mém połóż; a gdy w tobie tłumi głos i wolę
Straszny ból i przez usta słowa przejść nie mogą,
Daj znak, bo z przebaczeniem twojém będzie błogo
Umierać.

(Marion kładzie mu ręce na czole. On powstaje i jeszcze raz bierze ją w swoje objęcia z niewysłowioną radością.)

Bądź mi zdrowa!

(Do straży:)

Idźmy.

Marion

(w obłąkaniu rzuca się pomiędzy niego a żołnierzy).

To zbyt sroga
Męka!.. on tak nie może umierać.... Na Boga,

Ludzie, wy na to przystać nie możecie sami!...
Nie prawdaż? na kolanach czołgam się przed wami!
Jeżeli z was któremu drga gdzie w głębi duszy
Struna, którą błaganie kobiety poruszy,
Jeżeli Bóg was na śmierć nie wyklął i życie,
Ocalcie go!

(Do ludu:)

A wy zaś, którzy mnie słyszycie,
Gdy wieczorem w rodzinne powrócicie grono,
Żeby się spotkać z siostrą, matką albo żoną,
Spytają się: dla czego w téj ostatniéj chwili
Wyście mogli przeszkodzić i nie przeszkodzili?
Nie, od niego mnie żadna nie odciągnie siła,
Nie, on nie może umrzeć, jeśli chcą, bym żyła!

Didier.

O nie, Maryo, wierzaj mi, śmierć jest pożądana
Dla mnie; zbyt trudna bowiem do zgojenia rana
Tkwi w mém sercu... Porzucę to życie tułacze!...
I lepiéj z tém. Lecz, Maryo, pomnij... patrz, ja płaczę...
Jeżeli stanie inny szczęśliwszy przy tobie,
Wspomnij o tym, co kochał ciebie i legł w grobie.

Marion.

O, nie! nie! Ty żyć musisz! czyż nieubłagani
Będą?

Didier.

Maryo! Twa rozpacz duszę moją rani.

Przygotuj się, bolesną dziś dotknięta stratą
Stokroć mnie lepiéj jeszcze kochać będziesz za to.
Wspomnienie moje tobie pozostanie świętém.
Ale żyć daléj z sercem boleścią przejętém...
Bo mniéjbym cię nie kochał, Maryo!.. pomyśl o tém:
Wiecznych udręczeń dla mnie byłabyś przedmiotem.
Wspomnienie twéj przeszłości stawiając na oczy
Sobie, żyłbym w tym bolu, co krew z serca toczy,
Byłabyś dla mnie źródłem zwątpień i rozpaczy,
Byłabyś nieszczęśliwą!... o nie!... umrzeć raczéj!

Prezes sądu (do Marion),

Kardynał tu przybędzie, trzeba, byś błagała
Pani o miłosierdzie księcia kardynała.

Marion.

Co? kardynał? tak, prawda — o! on mnie wysłucha;
Ja potrafię przemówić mu do głębi ducha,
Tak, i z ust jego wyjdzie łaska upragniona,
Bo czyż można przypuszczać?.. Nie! to myśl szalona,
By ten starzec, ten kapłan odmówił kobiecie...
On przebaczy, wszak ty mi przebaczyłeś przecię!

(Bije dziewiąta godzina. Didier daje znak milczenia. Marion słucha z przerażeniem. Po wybiciu dziewięciu uderzeń Didier opiera się na ramieniu Savernego.)

Didier (do ludu).

Wy, którzyście się tutaj tłumnie zgromadzili,
Wzywam was na świadectwo, że w ostatniéj chwili

My dwaj oto z pogodą słuchaliśmy czoła
Bicia dzwonu, który nas do wieczności woła.

(Słychać wystrzał armatni. Czarna zasłona, która zakrywała wyłom w murze upada na ziemię. Ukazuje się olbrzymia lektyka kardynała, niesiona przez dwudziestu czterech gwardzistów pieszych i otoczona przez trzydziestu halabardników z pochodniami w ręku. Lektyka jest szkarłatna i wymalowane są na niej herby książąt de Richelieu. Przenoszą ją zwolna przez głąb sceny). (Głuche odgłosy w tłumie.)

Marion

(wlokąc się na kolanach do lektyki i załamując ręce):

Na rany Chrystusowe! na zbawienia blaski,
Łaski!.. łaski! dla niego!... dla mnie!...

Głos z lektyki.

Nie ma łaski!

(Marion upada na bruk. Lektyka przechodzi przez scenę, i orszak z dwoma skazanymi na śmierć oddala się za nią. Lud tłumnie pospiesza za orszakiem.)

Marion (sama).

(Podnosi się z ziemi i czołga się na rękach, spoglądając dokoła siebie.)

Co on rzekł?... gdzież są oni!... Didierze!... Nikogo
Tutaj!... znikli jak cienie... Gdzież oni być mogą?...
To sen!...

(Lud ukazuje się tłumnie na scenie. Widać lektykę powracającą przez głąb teatru. Marion powstaje z ziemi ze strasznym krzykiem:)

Wraca!

Halabardnicy (którzy idąc z przodu, rozpędzają tłum).

Rozstąpcie się wy, co tam czekacie —

Jeden z niosących lektykę.

Hej! z drogi!—

Marion

(blada, stoi z rozczochranemi włosami i ukazuje lektykę ludowi).

Patrzcie, ile krwi w jego szkarłacie!

(Upada na bruk.)

LIZETKA.

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH

Alfreda de Musset.

OSOBY:

KSIĄŻĘ.
BERTHAUD.
MARSZAŁKOWA.
KSIĘŻNA.
LIZETKA.
SŁUŻACY.
SŁUŻĄCA.

Rzecz dzieje się w Paryżu, za czasów Ludwika XVI-go.

AKT I.

SCENA I.

Lizetka (sama).

Cóż ja mam robić, mówcie państwo moi?...
Już to los ze mną dziwne figle stroi!
Niechby kto wyjścia chciał mi wskazać drogę,
Bo sama tutaj poradzić nie mogę.
Na wsi, pod ojca mojego opieką,
Sadziłam brukiew i zbierałam mleko,
Brałam nauki od księdza plebana,
Byłam szczęśliwa, wesoła, kochana —
Bo wielbicieli miałam tam niemało,
Co mnie doprawdy nic nie kosztowało.
Ojciec dzierżawi pani marszałkowéj
Folwark, — ma woły, konie, owce, krowy, —
I tam w tym raju chleba, sera, masła
Byłabym chętnie gęsi nawet pasła.
Ale niestety, pewnego poranka
Zajeżdża po mnie dwukonna furmanka,

I każą żebym tutaj przyjechała.
Gdzie na mnie przyszłość ma czekać wspaniała.
Tu mi koszyki wdziewają łokciowe,
Stroją mnie w jedwab, pudrują mi głowę,
I mówią, żem jest panną boną.—Czyją?
Państwo nie mają dzieci, ale żyją
Tak krótko z sobą... będą dzieci z czasem...
Zwą mnie Lizetką, i z wielkim hałasem
Robią mnie wodzem pałacowéj zgrai,
Garderobianych, praczek i lokai.
I dość mi znośna dola była nowa,
Bo moja chrzestna, pani marszałkowa,
Kocha mnie, księżna dobrą jest i miłą.
A księcia w domu dotychczas nie było —
Na polowaniu był gdzieś czy na wojnie...
Więc sobie tutaj siedzimy spokojnie, —
Aż raz przyjeżdża, i na pierwsze danie
Traf—ja mu w oko wpadam niespodzianie!
I co tu robić? To dopiero dziwo!
Ma żonę piękną, dobrą i cnotliwą.
Jeszcze mu mało... to rozpustnik czysty!
Więc słodkie słówka i miłosne listy,
Wszystko to nagle jak grad na mnie spada —
Ja muszę słuchać, i rada nierada
Za jego kaprys mam nadstawić głowy.
Ot dziś mi przyniósł pierścień dyamentowy—
Taki dar dla mnie. — I cóż ja z nim zrobię?
Nie jestem księżną: ni panią bogatą,
Bym go nosiła, ot uroił sobie,
Że mnie przekupi; cóż ja wskóram na to?

Sprawa się moja coraz więcéj gmatwa;
Z tymi panami rzecz wcale niełatwa,
Bo się trzymając razem całą zgrają,
Nawet więzienie na rozkazy mają....
Gdybym wyznała wszystko szczerze pani?
Lecz to dla kobiet cierpienie najkrwawsze;
Takie wyznanie tylko serce zrani
I wygna spokój domowy na zawsze....
Mamże milczenia oblokłszy się zbroją,
Tajemnie w sercu ukryć krzywdę moją,
I sama zerwać téj intrygi nitki?
Ten dyament ładny!.. I książę niebrzydki!
Ale zawinę w papier, i co mi tam!
Wezmę, odeszlę, o resztę nie pytam.

(Siada do stolika i zabiera się do pisania listu.)

SCENA II.

Lizetka Książę.

Książę (na stronie):

Lizetka—pisze—ciekawym do kogo?...
Do mnie.—To kobiet dyplomacyą całą,
Zawsze napiszą otwarcie i śmiało
To czego wyznać nie śmią lub nie mogą —
Musi mnie kochać... tak, na moją duszę
Zrobiłem zakład i wygrać go muszę.

(Głośno:)

Lizetko? prędko dadzą już wieczerzę.
Co to? list piszesz?

Lizetka.

Tak jest.

Książę.

Pomieszana
Zdajesz się jakoś; no, wyznaj mi szczerze,
Czy do kochanka?

Lizetka.

Nie, do księcia pana.

(Podaje mu list.)

Proszę.

(Chce odejść.)

Książę (zatrzymując ją).

Chwileczkę—nie tak śpiesznie;—wszakże
Można...

(Odwija list.)

Pierścionek odsyłasz mi także?

(Czyta:)

„Książę pan mówi, że mnie kocha...“
Tak jest, i wcale nie skłamałem tobie,
Bo ja tak zawsze, co mówię, to robię.

(Czyta daléj:)

... „mówi, że mnie kocha, ale trudno mi dać wiarę temu, bo żeby kochać kogo, trzeba go poznać wprzódy; a chociaż jestem prostą tylko służącą..."
Służącą!... Bierzesz rzeczy zbyt gorąco.
Służącą! wcale nie jesteś służącą.

(Czyta daléj:)

... a chociaż jestem prostą tylko służącą, Książę pan zna mnie zbyt mało, jeżeli sądzi, że jestem interesowaną, i jeżeli mniema, że serce, które samo się nie chce ofiarować, zakupić można..."
O!... O!... zakupić!... to zbyt ostre słowo!
Prosty pierścionek... takie cacko głupie,
Które cię może zabawić chwilowo...
Przecięż nie myślę, że cię tém zakupię.
Za nadto snujesz swych podejrzeń wątek.
Któż twoją miłość opłacić jest w sile?
Na tyle wdzięków i przymiotów tyle,
Cały mój nawet nie starczy majątek.
Wszakże to rzeczy zwykłe i powszednie,
Że człowiek z sercem miłością przejętém
Chce cię tym oto obdarzyć dyamentem,
Który przy twoich pięknych oczach blednie,
Że ci go włoży na palec...

(Kładzie jéj pierścionek na palec.)

A potém
Zaciśnię kibić w przepaskę ozdobną,
I wraz ubierze nóżkę twoją drobną
W trzewiczek tkany perłami i złotem,—
Co piękność trochę wydatniejszą czyni
Powabem sztuki, która gaśnie przy niéj...

Trzebaż to karcić jak zbrodnię surowo?
Zakupić!... cofnij, proszę cię, to słowo;
Wierzaj mi, myśl to fałszywa i zdrożna.
Można zakupić pałace i włości,
Ludzi i władzę... lecz takich piękności
Żadnemi skarby zakupić nie można.
A choćbyś była mniéj piękną, kochanie,
Serce twe zawsze bez ceny zostanie.

Lizetka.

Ale...

Książę.

Nie róbże próżnego mozołu
Z drobnostki.

(Drzwi w głębi otwierają się.)

Widzisz, dano już do stołu.
A więc posłuchaj, chcę być z tobą szczery:
Jedziemy z księżną na bal do Opery,
Tam zniknę w tłumie, i nie tracąc chwili,
Tu do pałacu wrócę tylną bramą...
Moi lokaje są jakby nie byli.
Więc cię, Lizetko, zastanę tu samą.
Chwilka rozmowy wszakże się udziela
Nie dla kochanka, lecz dla przyjaciela.
Cóż?

Lizetka.

Bo...

Książę.

Rozumiem twoje położenie,
I całą twoją delikatność cenię.
Ja sam nie lubię taić się przed nikim
I kryć rozrywkę pod zdrady płaszczykiem.
Lecz trzeba umieć grać rolę w potrzebie.
Wszakże ten pałac więzieniem dla ciebie,
Bo cię tu matka jak w cieplarni chowa...
Tu nam bezpiecznie, a tam z dala czyha
Mnóztwo podejrzeń i złość ludzka licha,
Lada zboczenie potępić gotowa.
Taki świat,— walka z nim jest zbyt mozolną;
Śmiać się zeń łatwo, iść mu wbrew niewolno.
Jest on łagodny choć straszny, i można
Drwić sobie z niego, byleby z ostrożna;
Lada niezręczność, to kamień pod nogę...
Więc do widzenia...

(Odchodzi.)

SCENA III.

Lizetka (sama).

A to mi przyjemnie!
Bezczelnie kłamie i drwi sobie ze mnie.
A ja na słowo zdobyć się nie mogę,
„Będziemy sami... sami...” bardzo wierzę...
Zostawić żonę w tłumie na Operze
I wracać sobie tutaj, pokryjomu,
Miłosną schadzkę urządziwszy w domu...
Och! te zwyczaje miejskie! To nieznośnie!

Gdym była Kasią bez tych wszystkich fraszek,
Gdyby mnie taki śmiał zaczepić gaszek,
Mógłby zobaczyć zaraz, gdzie pieprz rośnie!
I co tu robić?... jestem jak na igle...
Choćbym się nawet zamknęła na rygle
W swoim pokoju, to tylko przysporzy
Złego, bo książę, choć niby łaskawy,
Mógłby się zgniewać i narobić wrzawy
I stokroć jeszcze mogłoby być gorzéj.
To pan widocznie w zachceniach uparty,
A jeszcze nie wiem jak tam znosi żarty.
Czyliż nie lepiéj czekać nań tu śmiało
I... Gwałtu, Kasiu!... co się z tobą stało?
Czyżby już miłość?... A! to klęska moja
Ostatnia... książę... Kto tam taki?

SCENA IV.

Lizetka, Berthaud.

Berthaud (wchodzi).

To ja.

Lizetka.

Co za ja?

Berthaud.

Berthaud.

Lizetka.

Czegoż chcesz?

Berthaud.

Niczego.

Lizetka.

Trzeba lokajom meldować się w sieni.

Berthaud.

A niech cię, Kasiu, wszyscy święci strzegą!
Jakaś mi piękna! aż w oczach się mieni.

Lizetka.

Dalibóg, zkądeś ja znam tego chłopca.

Berthaud.

A co za suknia!... choć walić obuchem,
Tak sztywna! Fiu! Fiu!

Lizetka.

Ta twarz mi nie obca...
Jak się zwiesz?

Berthaud.

Berthaud.— Te loczki za uchem
I te trzewiczki... A! to nie do wiary!
Muszą kosztować najmniéj trzy talary.

Lizetka.

Co się tak patrzysz na mnie? Czego szukasz
Tutaj?... To Łukasz!

Berthaud.

Tak jest, to ja, Łukasz.

Lizetka.

Zkądże przybywasz i po co?

Berthaud.

Któż to wie?

Lizetka.

Cóż? Nie odpowiesz?

Berthaud.

Zbiegłem Paryż cały,
By tu dojść, aż mi nogi podrętwiały,
I już do reszty sens straciłem w głowie.

Lizetka.

Siądź.

Berthaud.

To niegrzecznie — nie, tego nie zrobię,
Przytém mam nowe ubranie na sobie,
Mógłbym zgnieść...

Lizetka.

Prawda, strasznieś wyświeżony:
Czy dawno nasze opuściłeś strony?
I cóż tam słychać? Jak tam wszyscy moi
Się mają?...

Berthaud.

Nie wiem; ja na waszą modę
Przeszedłem, już krów na pole nie wiodę,
Bartek je pasie, a Magda je doi,
Stara Kordula pilnuje warzywa,
Tomek z Nastusią już chodzą do żniwa,
Walenty sobie dom zbudował nowy,
Antka jest mamką, a...

Lizetka.

Ojciec czy zdrowy?

Berthaud.

Co ma być słaby? Zdrów jak kogut w ryżu,
I nie dziw, na wsi praca człeka krzepi,
Jé dobrze, pije i śpi jeszcze lepiéj,
Że to...

Lizetka.

Ale ty co robisz w Paryżu?

Berthaud.

Ot w jedném słowie powiem ci to, rybko:
Kiedyś się od nas wyniosła tak szybko,
Strasznie po tobie dusza zatęskniała,
Już mnie nudziły konie, owce, stogi,
Paryż nie księżyc... a więc za pas nogi,
Wreszcie... kocham cię, to przyczyna cała.

Lizetka.

Ty, Łukaszu?

Berthaud.

Ja!— Czy to dziwowisko?
Wszak i pies, choć to zwierzę...

Lizetka.

Owszem, ale
Po co to obce przybierać nazwisko?

Berthaud.

No — jak w Paryżu, a choć się nie chwalę,
Bywam w świecie.

Lizetka.

Tak?

Berthaud.

Rozum to mój narów,
A przy rozumie nietrudno o pieniądz,
Biorę miesięcznie całe ośm talarów.

Lizetka.

Cóż za to robisz?

Berthaud.

Jestem, szczerze mieniąc,
Dependentem.

Lizetka.

Gdzie? może u regenta?

Berthaud.

Nie.

Lizetka.

Adwokata?

Berthaud.

Nie, choć dosyć blizko...
U aptekarza...

Lizetka.

To mi stanowisko!
Grunt urodzajny na wielkie talenta!
Po coś tu przyszedł?

Berthaud.

Oto w jedném słowie,
Chciałem... choć nigdy nie byłem zbyt rzutki,
Te piękne stroje zaćmiły mi w głowie...
Wolałem ciebie w twéj spódniczce krótkiéj;
Tu wszędzie hafty, stroje złotolite,
Odkryte piersi, a nogi zakryte,
Wszystko na wywrót, jak kazała moda...
A jednak — chcesz mnie?... to wnet będzie zgoda.

Lizetka.

Ciebie?

Berthaud.

Jam trochę bogatszy, to mniejsza,
Bo za to może ty trochę piękniejsza.

Lizetka.

Miałżebyś uznać mnie godną twéj ręki?

Berthaud.

Chcesz? To ja żadnych trudności nie zrobię...
Jesteś przystojną, ale Bogu dzięki
I ja też chłopak dość pokaźny sobie.
Czy to raz na mnie Magdusia wysoka
Na wsi u ojca zerkała z pod oka?
A nawet miejską mógłbym dostać pannę...
W sklepie nie jedna z przymrużoném oczkiem
Czy to po senes przyjdzie, czy po mannę,
Wdzięczy się do mnie i spogląda boczkiem.
Mam dobrą pensyę roczną i to racya;
Przytém na Nowy Rok gratyfikacya,
Cukier owsiany i lukrecya słodka...
A jeszcze także trzeba wspomnieć o tém,
Że w zeszłym roku umarła mi ciotka,
Po któréj wziąłem sto talarów złotem;
A że to była gospodyni stara,
Zostało po niéj gratów co niemiara.
Przez trzy kwadranse testament pisała,
A mnie przypadło wszystko, Bogu chwała.
To wcale nieźle, co? Brat mój Antoni
Poszedł w żołnierze, zaprószywszy czuba;

Źle mu nie życzę, niech mię Pan Bóg broni,
Lecz przyjdzie kulka, to do wójta Kuba —
I toby także pieniędzy przyniosło,
A ta żołnierka to głupie rzemiosło...
Rzecz cała, widzisz, nieźle się układa,
Jak raz dobrana byłaby z nas para...
U aptekarza jest waga i miara,
Robi lekarstwa... ale ich nie jada...
Przymioty wprawdzie wielce cenię twoje,
Jesteś rozumną, nosisz piękne stroje,
Lecz nosić, a mieć to wcale nie jedno.
Wszystko to tobie pan darował jasny;
Niech cofnie łaski, a zostaniesz biedną...
Ja mam strój jeden, ale za to własny.
Czytałem w książce raz pana Woltera,
Że choć w pieniądzach różni i honorze,
Ludzie są równi... a to prawda szczera,
Bo każdy wygrać na loteryi może
I wszyscy sobie świetną przyszłość roim...
I ot dla tego chcę być mężem twoim.

Lizetka.

Rozumnie mówisz, lecz czy mi przyrzekasz
Nie zmienić zdania?

Berthaud.

Nie — jakem aptekarz,
Nie zmienię — ręczę.

Lizetka.

Więc ja działać zacznę.
Ty zostań tutaj i miéj oko baczne
Na księcia.

Berthaud.

Dobrze.

Lizetka.

I chodź za nim wszędzie.

Berthaud.

Zgoda.

Lizetka.

A kiedy pora na to będzie
Oświadcz się o mnie.

Berthaud.

Co? tak niespodzianie?

Lizetka.

Oświadcz się tylko, ręczę, że przystanie.

Berthaud.

Lecz ty przystajesz?

Lizetka.

Tak, lecz czasu szkoda:
Idź już.

Berthaud.

Przystajesz?

Lizetka.

A słowa przed nikim!
Słowa!

Berthaud.

Przystajesz, Kasiu?

Lizetka.

Księżna młoda
Nadchodzi, idź już, lecz wara z językiem.

SCENA V.

Marszałkowa, Książę, Księżna.

Lizetka (w głębi sceny).

Książę (do księżny).

Więc nie chcesz jechać ze mną?

Księżna.

Wyznam szczerze,
Że nie.

Książę.

Dla czego?

Księżna.

Jechać... o téj porze...

Książę.

To bal królewski, sam król dziś w Operze.

Księżna.

Bal?... dla kogo?...

Książę.

Dla nas.

Księżna.

Dla ciebie może,
Ale nie dla mnie.

Marszałkowa.

Ta sprzeczka domowa
Śmieszna.
(Do Lizetki, która chce odejść:)
Lizetko, zostań, mam dwa słowa
Powiedzieć tobie.

Książę (do Marszałkowéj).

Więc w pani to budzi
Śmiech?... A ja jestem odmiennego zdania,
Bo nie wiem co tak moją żonę skłania
Unikać świata i zabaw, i ludzi,
Robić na przekór temu, co dwór czyni,
Czas swój zajmować kanwową robotą

I siedzieć tutaj jakby na pustyni,
Gdy bal u dworu, a ja proszę o to.

Księżna.

Nie chciéjże tego nazywać przekorą,
Bo się dziś czuję nawet trochę chorą.

Książę.

Znam ja wykrętne te kobiece słowa;
Wszak u was zwykle choroba gotowa
I jeszcze jaka!... proszę uniżenie...
Rzecz straszna... nerwy...

Księżna.

Nie, już się nie wzdragam,
Jeżeli wymagasz, pojadę.

Książę.

Wcale nie,
Oświadczam z góry, że nic nie wymagam.
Nie—jam nie tyran, nie chcę poświęcenia.

Marszałkowa (do księcia).

Już daj jéj pokój, dla rozweselenia
Dziś z nią wieczorem partyę rumla zrobię.

Księżna.

Czy pan pozwala?

Książę.

Pani...

(Na stronie:)

Ot masz tobie,
Wszystko przepadło, tak, na moją duszę!
Biedna Lizetka!... zmartwi się pocieszka...
Jeszcze przed wyjściem uprzedzić ją muszę...
Chyba sam dyabeł w głowie kobiet mieszka!

(Głośno:)

A więc zostańcie, a ja na bal lecę
Sam już. — Hej! Karty podać tu i świecę!
Zadowolone już panie jesteście;
Życzę, by każdéj los na przemian dawał,
Dziewięćdziesiątek i kartblanszów nawał,
Sto pikrepików, a kapot ze dwieście!

Marszałkowa.

Rumel gra piękna; król gra w rumla przecię...

Książę.

Niech gra zdrów.

Księżna.

Rumlem na dworze nie gardzą;
Królowa...

Książę.

Grajcie sobie, jeśli chcecie;
Ale się przyznam, że mnie dziwi bardzo

Ten gust do rumla; bo nawet czy warto
Mieć lat dwadzieścia i piękne nazwisko,
Majątek, drogę do dworu otwartą,
By rumlem krasić domowe ognisko?
I powiedz, po co szłaś za mnie, jeżeli
Życie w domowéj chciałaś pędzić celi?
Na co ten tytuł i dochodów krocie,
Tyle zbytkowych w tym pałacu cudów,
Karoca z pudłem wyżłobioném w złocie
I cztery konie, co zdychają z nudów,
By ciągle smutna, zatroskana, chora,
Żyć jutro jak dziś, a dzisiaj jak wczora?
Po co te wdzięki, ułuda, spojrzenia
I wyraz twarzy, co, niestety, myli,
By nie poświęcić ani jednéj chwili,
Ażeby ziścić mężowskie marzenia?
Bom i ja marzył, wyznaję w pokorze...
Ojciec nieboszczyk pysznił się na dworze
Swoją małżonką, wielbił ją dwór cały,
A hołdy dworzan ojca radowały;
A mnie, książęciu, czyliż nie przystało
By twoje wdzięki jaśniały u dworu?...
Gdym zyskał zaszczyt twojego wyboru,
Chciałem się pysznić szczęścia mego chwałą;
Ale w tém pięknem ciele dusza drzémie.
Na co ta piękność i szlachetne imię,
Jeżeli nie chcesz promienić przebojem
W twojéj piękności i szlachectwie twojém?
Pałac królewski, otwarty dla gości,
Pyszni się kobiet plejadą dzisiejszą;

Niechby cię widział w pośród tych piękności,
Na pierwszém miejscu z pięknych najpiękniejszą!
Inne życzenia były me i chęci...
Myślałem sobie... przyjmij to wyznanie:
Że kiedy Łucya mą żoną zostanie,
Dla dumy męża coś także poświęci...
Bądź zdrowa, czas się przebrać...

(Do Marszałkowéj:)

Żegnam panią.

(Wychodzi.)

SCENA VI.

Księżna, Marszałkowa, Lizetka.

Marszałkowa.

Łucyo! ty cierpisz?

Księżna.

Te słowa mnie ranią.

Marszałkowa.

Co ci jest, powiędz?

Księżna.

Smutno mi i duszno.

Marszałkowa.

Dręczysz się.

Księżna.

Czemuż nie byłam posłuszną?
Tak... trzeba było, wybacz... to myśl płocha!...

Marszałkowa.

Lizetko, odejdź.

Lizetka (odchodząc, na stronie).

Jak ona go kocha!

SCENA VII.

Marszałkowa, Księżna.

Marszałkowa.

Wypogódź czoło, podnieś piękną główkę,
Po cóż na seryo brać lekką wymówkę?

Księżna.

Nie, on ma słuszność: złą obrałam drogę.
Po co truć szczęście niezgody żarzewiem?
Chcę być posłuszną — niestety! nie mogę!
Ranię go, gniewam, czemu? Sama nie wiem.

Marszałkowa.

Kiedy się jednak przyznajesz do winy,
Nie wadziłoby poszukać przyczyny.

Księżna.

Któż mowę serca odgadnie tajemną?
Pod jéj wrażeniem my na oślep czynim;

I sama nie wiem, co się dzieje ze mną,
Ale niepokój jakiś czuję przy nim.
Nieraz się do téj pragnę skłonić roli,
Do wesołości twarz nagiąć układnie,
Być piękną, świetną,—i pomimo woli
Śmiertelna trwoga serce mi owładnie,
Drżę, kiedy razem zostajemy sami...
Wierzaj mi, matko, ktoś jest między nami.

Marszałkowa.

Niech tę obawę rozsądek pokona.
Wiesz jak twe serce i charakter cenię:
Tak piękna, młoda i już opuszczona?...
Czy wiesz co?

Księżna.

Nię wiem.

Marszałkowa.

Lecz masz podejrzenie...
Więc to kobieta... czy znasz ją?... mów przecię...

Księżna.

Nie znam, lecz jestem pewna.

Marszałkowa.

Drogie dziecię!
Odrzuć od siebie próżne niepokoje,
Wartoż dla płonnéj tak się dręczyć mary?
Bal, kilka słówek... A, to nie do wiary!

Lecz i ja znałam te zmartwienia twoje.
W tym wieku tylko trosk takich doznajem,
Silniéj czuć pięknym młodości przymiotem;
Gdy zajdziem w lata, żałujemy potém
Tych łez, przy których życie było rajem.

Księżna.

Śmiejesz się pani... Być może, za młodu
Czułaś inaczéj, lecz w mém sercu blizna
Krwawi tém silniéj, że tkwi bez powodu.

Marszałkowa.

Troska, co cięży na sercu ołowiem,
Mniéj zawsze boli, kiedy się ją wyzna.

Księżna.

Lecz ja nic nie wiem sama, cóż ci powiem?

Marszałkowa.

Choćby to kaprys był prosty... mój Boże,
Wszak przez nie także cierpi dusza nasza!
Wyznaj mi szczerze.— I cóż cię odstrasza?
Mój wiek, czy tytuł, czy nieufność może?
No... powiedz, jaka duszę twoją rani
Boleść?...

Księżna.

Znam dobrze twoje serce, pani,
Ale nie mogę mówić.

Marszałkowa.

Konająca
Matka mi ciebie zwierzyła pod strażę,
Więc gdy niepokój duszę twą zamąca,
Wyznaj mi szczerze wszystko—ja tak każę.

Księżna.

Z wdzięcznością w sercu to wspomnienie żywię,
Lecz żadna mówić nie zmusi mnie władza...
Wiem, że go kocham i cierpię straszliwie.

Marszałkowa.

Lecz, drogie dziecię...
(Do Lizetki, która wchodzi:)
Co cię tu sprowadza?

SCENA VIII.

Lizetka, Marszałkowa, Księżna.

Lizetka (do księżny).

Modniarka suknię przyniosła balową.

Księżna.

Nie... innym razem.

Marszałkowa.

A, na moje słowo,
Idźże i przymierz, wszak to rzecz niezdrożna,
Bawią nas stroje, gdy jesteśmy młodzi,

Sukni balowéj odrzucać nie można,
Z suknią myśl czasem na inny tór wchodzi...
Ale ty bledniesz?... Cóż się stało?... Czyli?

Księżna.

Nie... ta kobieta... jéj widok.. w téj chwili...

Marszałkowa.

To... to Lizetka, porzuć myśli płoche,
Pójdź ze mną, trzeba upiększyć się trochę.
Piękność się zawsze podoba, kochanie;
Odwagi... pójdźmy.

Księżna (wstaje).

A więc niech się stanie,
Jak chcesz, nie będę sprzeczała się o to.
Przypomniałaś mi, że jestem sierotą.
Zwierzę ci myśli, co się w głowie roją,
I troski moje, i bezsenne noce,
A ty zrozumiesz to serce sieroce,
Co szuka matki, gdy straciło swoją.

AKT II.

SCENA I.

Berthaud (sam).

Kasia kazała mi czekać na księcia,
Ale już dłużéj wytrzymać nie mogę.
I proszę, jakie ma ciężkie zajęcia?
On dłużéj trzewik przymierzał na nogę,
Niż ja perukę — na głowę. — Do licha!
Zuch kto do ładu trafi w tym rwetesie:
Krawiec fryzyera, lokaj krawca spycha,
Ten frak strzepuje, ten pończochy niesie,
Róż i bielidło, a na wszystkie strony
Cały już pokój pudrem zaprószony.
Piękne rzemiosło! Toż to książę przecię,
Męczy się, poci, jak gdyby konował;
Gdybym przed ojcem raz się tak spudrował,
Tożby mi pudru posypał po grzbiecie!
Nie, mnie fantazya nię przystała taka,
Trawić godzinę na wybranie fraka;
Ja się tak długo przed lustrem nie błaźnię,
A przecięż wcale wyglądam pokaźnie;

Ale to wszystko musi mieć swą porę,
A przygotować potrzeba perorę;
Więc jak się tylko pokaże tu w sali,
Powiem mu: „Jaśnie oświecony panie,
Kasia...” nie Kasia... to Bozkie skaranie!
Wszak tu ją przecię Lizetką przezwali.
A więc: „Lizetka przychodzi wraz ze mną...”
Nie... nie przychodzi... coś nie idzie dobrze,
Jak tu powiedzieć, że jest mi wzajemną?
Więc daléj: „Jaśnie oświecony...” Zróbże,
Co chcesz, ani rusz, wszystko poszło z lichem!
A tak się gładko składało pod strychem,
Zdawało mi się, że na niego patrzę...
Wszakże te rzeczy słyszałem w teatrze,
Więc zbiorę myśli w natężeniu całém
I tu powtórzę, to co tam słyszałem.
Więc: „Książę panie, wszak wiesz dobrze o tém,
Że miłość ludzi w rycerzów przetwarza,
A honor pierwszym rycerza przymiotem.”
To nie przystoi coś na aptekarza...
„Namiętność, która narody pożarła...”
Tfy!... ani słowa nie może wyjść z gardła.

(Słychać dzwonek.)

Ktoś tam zadzwonił.

(Wchodzi Lizetka.)

Kasia!... Bogu chwała!

SCENA II.

Berthaud, Lizetka (niesie suknię na ręku).

Lizetka.

Co ty tu robisz?

Berthaud.

A wszakżeś kazała
Czekać, więc czekam, i nie wiem co daléj.

Lizetka.

To dobrze, ale nie czekaj w téj sali,
Bo jaki lokaj jeszcze cię ofuknie.

Berthaud.

Cóż to tak niesiesz, Kasiu?

Lizetka.

Księżny suknię.

Berthaud.

A bogdajże was! Tfy!... to nie do wiary,
Ciągle tych sukień bez końca i miary.

Lizetka.

Ktoś idzie, książę pewnie.

Berthaud.

A to brawo!

Zaraz mu powiem.

Lizetka.

Ale czy posłucha?

Berthaud.

Mam już perorę piękną.

Lizetka.

To rzecz krucha,
Byleś się tylko nie spotkał z odprawą.

Berthaud.

Takiéj perory nie znajdziesz ze świecą...
Prawda, żem może zapomniał jéj nieco.

Lizetka.

Więc ja odchodzę, a co bądź się zdarzy...

SCENA III.

Książę, Lizetka, Berthaud.

Książę (ubrany balowo, do Lizetki).

Cóż to? uciekasz przedemną, kochanie?
No, mówże szczerze, czy mi tak do twarzy?

Lizetka.

Prześlicznie.

Berthaud.

Jaśnie oświecony panie...

Książę.

Cóż to za człowiek?

Berthaud (kłaniając się).

Jaśnie oświecony
Panie, racz...

Książę.

Precz ztąd! Po co te gawrony
Wpuszczają?... Precz ztąd!

Berthaud (kłaniając się).

Jaśnie...

Książę.

Idź precz!

Berthaud.

Ale...

Książę.

Dopókiż tego? Mówię: precz, cymbale!

Berthaud.

Ścielę się do stóp jaśnie księcia pana.

(Odchodzi kłaniając się.)

SCENA IV.

Książę, Lizetka.

Książę.

A ty chodź tutaj.

Lizetka.

Pani mnie wołała.

Książę.

A przecięż przy niéj zgraja młodszych cała.
Dziś ona na mnie trochę zegniewana,
Jak myślisz, cóż się z naszą schadzką teraz
Stanie?

Lizetka.

Książę pan chciał sam.

Książę.

I jeszcze raz
Ci ją naznaczam...

Lizetka.

Bo to...

Książę.

Nie ma: bo to...
Teraz tam z matką roztaczają lament,
Zajęte obie plotkarską robotą;

Ty idź, ja przejdę przez ich appartament,
Będę zły, kwaśny i w humorze gniewnym,
Lecz jak usłyszą turkot méj karety
Odjeżdżającéj, jestem tego pewnym,
Że uspokoją się wraz, bo kobiety
Jak chorągiewki na dachu; niezłomnie
Wierzę w to, księżna jest zazdrosną o mnie,
Nie ufa całéj balowéj czeredzie,
Nie chciała jechać, lecz za mną pojedzie.

Lizetka.

Książę pan raczy...

Książę.

Tak, idę o głowę,
Przygotowania tam pewno już czyni,
Wybierze jakie domino różowe,
I kibić spiąwszy złotolitym sznurem,
Pojedzie szukać, zakryta kapturem,
Złego, co blizko się tu kryje przy niéj.
Wolno jéj. Jestem uniżonym sługą...
Wiesz, że na balu nie zostanę długo,
Wrócę tu wkrótce, nie troszcząc się o nią,
A ty tu czekaj na mnie... Ale dzwonią
Na ciebie, idź już.

(Książę i Lizetka wychodzą.)

SCENA V.

Berthaud (sam).

O hańbo! sromoto!

Słyszałem wszystko! Ten książę! Więc po to
Chciała, bym mu się oświadczył! Zdrajczyni!...
A ja miłośnie tak gruchałem przy niéj,
Takem perorę ułożył, i w lubém
Natchnieniu... A ta zdradza mnie przed ślubem!...
Chce, żebym z księciem kochał ją do wspólki!...
Chociem aptekarz, nie chcę téj pigułki!
Pójdę do księżny... tak, pójdę... i powiem:
„Pani!...“ Nie, tak źle, to trzeba inaczéj...
A więc tak: „Księżna pani mi wybaczy...“
I to nie... w głowie myśl ciąży ołowiem,
Chciałbym coś zrobić, lecz ni to ni owo...
Najlepiéj może panią marszałkową
O tém uprzedzić... tak... toby się zdało
Najtrafniéj... ona idzie... A więc śmiało!

SCENA VI.

Marszałkowa, Berthaud.

Berthaud.

Pani...

Marszałkowa.

Pan czego?

Berthaud.

Niech pani wybaczy...

Że...

Marszałkowa.

Ale co pan tu robisz w téj sali?

Berthaud.

Chciałem...

Marszałkowa.

I cóż pan chciałeś?

Berthaud.

Pani raczy

Wybaczyć, że ja...

Marszałkowa.

Niech pan się oddali.

Berthaud.

Ale ja chciałem...

Marszałkowa.

Proszę wyjść ztąd.

Berthaud.

Bo to

Chciałem... (Na stronie:) Pal licho i z taką robotą!
Dziwni to ludzie! (Głośno:) Chciałem...

Marszałkowa (pokazując mu drzwi).

Bardzo proszę.

Berthaud (kłaniając się).

Idę.

(Na stronie:)

Tu wszyscy ogłuchli po trosze,
Wrócę tam pod strych, i w stosowną porę
Przynajmniéj sobie przepowiem perorę.

SCENA VII.

Marszałkowa (sama).

Księżna zazdrosna, już nie mą wątpienia;
Syn mój widocznie nie dość ją ocenia.
Zdawałoby się przyczyna tak błaha,
Lizetka... muszę pomówić z nią szczerzéj...
Bo choć się Łucya niby jeszcze waha
I w opuszczenie to swoje nie wierzy,
Zazdrość jéj serce swym jadem zatruła.
Ona tak piękna, tak dobra i czuła!
O, ci mężczyzni!... tak... chwilka słabości
Szeroko może klęsk rozewrzeć bramę...
Ale nim złe się na dobre zagości,
Muszę stanowczo położyć mu tamę.

SCENA VIII.

Marszałkowa, Lizetka.

Marszałkowa.

Lizetko, gdzie to tak pospieszasz?

Lizetka.

Pani...

Marszałkowa.

I cóż?

Lizetka.

Bo księżny już ubranie głowy
Skończone, teraz po domino dla niéj
Idę.

Marszałkowa.

Więc na bal chce jechać maskowy?

Lizetka.

Tak sądzę.

Marszałkowa.

Proszę, jak pozory mylą;
A syn mój?

Lizetka.

Książę wyjechał przed chwilą!

Marszałkowa.

Sam?

Lizetka.

Sam.

Marszałkowa.

I księżna zaraz za nim jedzie?

Lizetka.

Nie wiem, bo jakoś nam się dziś nie wiedzie;
Ot w samych sukniach, mówiąc pani szczerze,
Dziesięć odrzuci, nim jedną wybierze.
To też za swoje ma tam służba cała
I mnie po pierwszy raz w życiu złajała.

Marszałkowa.

To źle, źle bardzo, że tracisz jéj względy;
Tak dobrą panią uszanować warto.
Każ się zastąpić jakiéj innéj.

Lizetka (otwierając drzwi w głębi).

Marto!

Marszałkowa.

Ale powiedz jéj, niech przejdzie tamtędy.

(Marta ukazuje się we drzwiach. Lizetka mówi do niéj kilka słów po cichu. Marta odchodzi.)

Marszałkowa.

Kasiu, choć córką nie jesteś szlachecką,
Jam cię trzymała do chrztu; przez staranie
Moje, dostałaś lepsze wychowanie;
Jesteś tu przy mnie jakby trzecie dziecko.
Teraz mów, czy mnie kochasz?

Lizetka.

O, najszczerzéj!

Marszałkowa.

Mamże ci wierzyć?

Lizetka.

Niechaj pani wierzy,
Bo święta prawda.

Marszałkowa.

I gdyby zrządziło
Niebo, żebyś się znalazła w potrzebie
Przedemną prawdę utaić niemiłą,
Coby na przykrość naraziła ciebie,
Czybyś skłamała?

Lizetka.

Ręczę pani, że nie.

Marszałkowa.

Lecz przecięż... z musu...

Lizetka.

Nie, kłamstwem się brzydzę.

Marszałkowa.

Zkądże ten brylant, co u ciebie widzę
Na palcu?

Lizetka.

Boże!

Marszałkowa.

No i cóż? milczenie?
Strzeż się, to winy twojéj nie umniejszy.
Rzadko się kamień nadarzy piękniejszy.

Lizetka.

Ten brylant mój jest.

Marszałkowa.

Więc go, moja panno,
Sama kupiłaś?

Lizetka.

Nie.

Marszałkowa.

Znać w tobie trwogę.
Kasiu, a kłamstwo jest rzeczą naganną.

Lizetka.

Kłamać nie umiem, ale milczeć mogę—
Gdy ważny powód do milczenia skłania,
Nie jest to jeszcze brak uszanowania.

Marszałkowa.

Lizetka może bronić się milczeniem,
Lecz Kasia winna odpowiadać szczerze.

Lizetka.

Zwą mnie Lizetką.

Marszałkowa.

Tak, i teraz wierzę,
Żeś postradała serce wraz z imieniem.

Lizetka.

Wierzaj mi, pani, cała wstydem pałam,
Serce chce mówić, lecz...

Marszałkowa.

Mówić się wzbrania.

Lizetka.

O nie! nie zdolna jestem do kłamania!
Ten brylant...

Marszałkowa.

I cóż?

Lizetka (upadając na kolana).

Od niego dostałam.

Marszałkowa.

A więc to syn mój... tak, wiedziałam o tém,
I lepiéj, żeś to wyznała przedemną...
I ty go kochasz... dobrze... lecz cóż potém?

Lizetka.

Nic.

Marszałkowa.

Bo nie wątpię—jesteś mu wzajemną.
Czyś twoje serce wybadała ściśle,
Że całą prawdę tak wyjawiasz śmiało?

Lizetka.

Mówię jak umiem, lecz czynię co myślę.

Marszałkowa.

Ale czyż tobie kochać go przystało?
Choćby się zdrady wam udała sztuka,
Znajdzież on w tobie co w kochance szuka?

Lizetka.

Wyznałam pani wszystko, i w téj chwili
Jeszcze ma duma przed tobą się chyli,
I poniżenie wycierpi w pokorze,
Ale pogardy twojéj znieść nie zdoła,
A więc ten zarzut zdrady strząsam z czoła!

Marszałkowa.

Tak, to uwłacza Kasi na honorze.

Lizetka.

I czemużby nie? Wszakże na téj ziemi
Słońce oświeca i rosy kropelki,
Dla Bożych stworzeń świat jest dosyć wielki,
A Bóg ma pieczę i nad najlichszemi.

Marszałkowa.

Może, Lizetko, ta mowa zbyt śmiała?

Lizetka.

I czemuż próżnéj mam ulegać trwodze?
Powtarzam to, com od ojca słyszała,
Kiedy pogardę spotkał na swéj drodze.
Wszakże to prosty włościanin nie książę.
Dobrze, gdy honor z szlachectwem się wiąże,
Lecz ten jedyny skarb ubogich ludzi,
Niechaj pogardy w bogatszych nie budzi.

Marszałkowa.

Powtarzam tobie, że mówisz zbyt śmiało.
I stać się może...

Lizetka.

A choćby się stało...
Choćbym wróciła do rodzinnéj wioski,
Tam dla mnie miejsce jest w chacie ojcowskiéj,
Prawda, przyznaję, wahałam się chwilę,
Bo tyle łaski i dobrodziejstw tyle,
Tak szczerze ceni dusza ma zbolała,
Żem chciała skłamać... alem nie skłamała.
Kocham cię, pani, i modlę się co dnia
Za ciebie, wszelką przyjmuję przestrogę,
Ale pogardy twojéj znieść nie mogę,
Niech wprzód się dowiem, jaka moja zbrodnia.

Marszałkowa.

Samaś przed chwilą zrobiła wyznanie.

Lizetka.

Że on mnie kocha, że to muszę znosić,
Ze mi dał prezent, czyliż jestem w stanie
Przeszkodzić temu?... Cożem winna?

Marszałkowa.

Dosyć.
Nie chcę twych zwierzeń, czasu na nie szkoda,
Wszystkie przechwałki chciéj schować na potém,
Tylko przed księżną ani słowa o tém.
Mówisz, że syn mój ciebie kocha — zgoda,—
Lecz się ztąd wydal, to plotki pokona;
I tak przynajmniéj możesz mieć nadzieję,
Że twoja cnota, tu nie dość ceniona,
Tam w swym prawdziwym blasku zajaśnieje.

Lizetka.

Ale ja księcia nie kochałam wcale!

Marszałkowa.

Co? ty Lizetko? Prawdziwie to dziwo!

Lizetka.

I żadne słowo...

Marszałkowa.

Mam cierpliwość, ale
Tyle kłamstw...

Lizetka.

I ja dość jestem cierpliwą...
Więc mnie za szczerość ztąd pani odgania
Tak, bez pociechy, bez pożałowania?

(Marszałkowa ma się ku wyjściu.)

Z tym chłodem, co tak srodze serce rani,
Z kamienną twarzą, z wejrzeniem lodowém,
Nawet mnie jedném nie pocieszysz słowem,
Jedném skinieniem?... A mój ojciec, pani,
Co cię tak kochał i szanował długo,
Czyż i on cierpieć ma z nieswojéj winy?...
Kasia, to dziecko poczciwéj rodziny,
Kasia, co wierną była tobie sługą.
Ach! pomyśl tylko, kiedy stanie ona
Pod ojca dachem smutna, zrozpaczona,
Sromnie wygnana, okryta bezcześcią:
Jakąż to serce mu przejmie boleścią?
Za cożem, za co tak skarana srodze,
Że możny magnat, że pan milionowy
Garścią pieniędzy i pięknemi słowy
Chciał mię stargować i kupić po drodze—
A kiedy hańby chcę odeprzeć znamię,
To matka jego mówi mi, że kłamię!—
Dobrze więc, z prawdą będę już ostrożniéj...
To prawość wasza, wy wielcy i możni,
Gdy złe zrobicie, przy was będzie wiara,

Byleście uszy na jęki zatkali,
A niechaj przez was zdeptana ofiara
Ucieknie płakać i rozpaczać daléj.

Marszałkowa.

Po co się troską tak dręczyć surową?
Pomówim o tém jutro... do widzenia.
(Wychodzi.)

SCENA IX.

Lizetka (sama).

Jutro!... już poszła... jéj ostatnie słowo
Było bez gniewu... Może też ocenia
Me przywiązanie, i nie wierząc sobie,
Boleje w duszy... Ale co ja zrobię?
Jutro!... Nie! nigdy!...
Rana rozjątrzona
Za nadto krwawi... Choćby nawet ona
Chciała przez litość... Dziś mi trzeba w drogę,
Jam tu zbyteczna i zostać nie mogę.

SCENA X.

Lizetka, Księżna
(w dominie z odchylonym kapturem i maską w ręku).

Księżna.

Już na spoczynek poszła widzę mama?
A ja... Lizetko, co tu robisz sama?

Lizetka.

Widząc, że pani kończy tam ubranie,
Czekam aż będę potrzebną.

Księżna.

Kochanie,
Jesteś mi bardzo potrzebną; w istocie
Byłam cierpiąca na nerwy, i może
Ostrém cię słówkiem drasnęłam, niebożę;
Nawet niesłusznie, bo przecież... Niech to cię
Jednak nie martwi; wiesz jak ciebie cenię,
Masz moją rękę i puść w zapomnienie
Chwilę kaprysu...

Lizetka (całując rękę księżny).

O pani!

Księżna.

Tak, szczerze
Najlepiéj. Książę dziś jest na Operze,
Ja sama chciałam zwiedzić maskaradę,
Widzieć co robi, lecz jakoś mi trudno:
Jestem dziś strasznie posępną i nudną;
Więc się ubrałam, ale nie pojadę.
Ty pojedź za mnie.

Lizetka.

Ja?

Księżna.

Tak, będzie lepiéj,
Weź to domino i maskę, bo one
Mi ciężą...

(Oddaje jéj maskę i domino.)

Śledź go, w którą poszedł stronę;
Jeśli sam będzie, albo cię zaczepi,
Mów z nim ostrożnie, by nie poznał ciebie;
Lecz jeśli jakie bóztwo nań łaskawe,
Z tych, co królują na Opery niebie...
Rozumiesz... Słuchaj i zdaj mi tu sprawę.

Lizetka.

Więc pani...

Księżna.

Niech cię nie pozna po głosie...
No, ale jedź już i wracaj.

(Wychodzi.)

SCENA XI.

Lizetka (sama).

O losie!
Mam teraz jechać na bal... ta Opera
Ją niepokoi... Myślałam przez chwilę
Wyznać jéj wszystko; ale cierpień tyle
Zadawać sercu, co się mnie otwiera,—
Nie... niepodobna. Niech o niczém ona
Nie wie; a tamta wszakże się przekona,

Gdy jutro skoro błyśnie światło ranne,
Będę gotowa i wraz...

SCENA XII.

Lizetka, Berthaud.

Berthaud (ceremonialnie).

Witam pannę.

Lizetka.

To ty Łukaszu! czy wiadomość nowa
Jaka?

Berthaud.

Nie, jadę, bądź mi panna zdrowa.

Lizetka.

Co znaczy wyraz ten tragiczny twarzy?

Berthaud.

Nic.

Lizetka.

Ależ?

Berthaud.

Ognia nie tykaj, bo parzy.

Lizetka.

Ale cóż podróż tę spowodowało?

Berthaud.

Co?

Lizetką.

Zkąd te gniewy?

Berthaud.

Panna pytasz o to?
Widziałem!

Lizetka.

I cóż?

Berthaud.

Twoją zbrodnię całą!

Lizetka.

Oszalał!

Berthaud.

Zdradę twoją!... O sromoto!
Potworze! wężu!... Tutaj mi przysięga,
A tam!...

Lizetka.

Co? Nawet i ten niedołęga!...
Wszystko się na mnie spiknęło niebogę!
Płakałam tyle, że już śmiać się mogę.

(Śmieje się.)

Berthaud (patetycznie).

Niecnota kazi, lecz szyderstwo bluźni!

Lizetka (dając mu domino).

No, weź to głupcze.

Berthaud.

Ja mam się przebierać?

Lizetka.

Nie ty, ale ja, więc słuchaj, a nie radź,
Pójdź!

Berthaud.

Gdzie?

Lizetka.

Powiem ci.

Berthaud.

Gdzie?

Lizetka.

Dowiesz się później.

(Wychodzą.)

SCENA XIII.

Księżna, Marszałkowa.

Księżna.

Tak, ją posłałam, i to lepiéj zda się.
Sama nie mogę. Wszakże lubisz Kasię?

Marszałkowa.

Tak, bez wątpienia.

Księżna.

To dziewczę ciekawe,
Dowie się i mnie o wszystkiém zda sprawę.
Tak lub nie, raz już chcę coś wiedzieć przecię;
To podejrzenie ciągle za mną goni...
Ot dziś, coś sobie upatrzyłam do niéj,
I złajałam ją za nic — biednę dziecię!
Nie prawdaż pani? to źle z naszéj strony,
Że pod wrażeniem rozterki domowéj,
Lub chcąc się pozbyć myśli naprzykrzonéj,
Do sług to biednych wypuszczamy głowy?

Marszałkowa.

Czy nic ci nie mówiła?

Księżna.

Ani słowa.

Marszałkowa.

Nie przepraszała?

Księżna.

Za nie swoje winy?
Żem do podejrzeń niesłusznych gotowa,
Ubliżyła jéj bez żadnéj przyczyny?
Bo żałość w sercu tłumić chcę daremnie,
Nie uspokoi mnie nic, nie przekona;
Między mną a nim jest jakby zasłona,
Co jego serce odgradza odemnie,
Każąc nam drogą postępować wsteczną;
Czuję się nudną i bezużyteczną,
Widzę się brzydką...

Marszałkowa.

Ty! skromność cię mami

Księżna.

A on! wierzaj mi, nie sądzę z pozoru,
Jakaż różnica jest pomiędzy nami!
Stworzon do blasku, do świata, do dworu,
Ten wdzięk, którego każdy mu zazdrości,
Choć nie dorówna jego szlachetności;
A przytém dowcip i uprzejmość rzadka...
Wszak w tém przynajmniéj nie łudzę się wcale?

Marszałkowa.

Prawda, i ja go takim widzę, ale
Tyś jego żona.

Księżna.

I cóż?

Marszałkowa.

A ja matka.

Księżna.

Gdybyśmy same tak go tylko znały!
Lecz te przymioty świat w nim wielbi cały—
Czyż na to patrzeć mogę ze spokojem,
Jak on w salonach króluje na przedzie?
Jak między młodych tych szaleńców rojem
On zawsze pierwszy, on zawsze rej wiedzie,
Promienny nowych tryumfów nadzieją
Wśród kobiet, co być pięknemi umieją?...
Upośledzona jakże jestem srodze
Przy nim, ja, obraz tylko smutku niemy,
Ja, cień bez światła! i na jednéj drodze
Czuję, że razem zdążać nie możemy.

Marszałkowa.

To są zmartwienia tylko urojone.

Księżna.

Tak jest, lecz zawsze dla mnie drogie one,
Jakiś mnie dziwny urok do nich wiąże.
Kiedy w klasztorze przełożona do mnie
Rzekła: „że mężem mym ma zostać książę,"
Spokojnie wieść tę zniosłam i przytomnie;
Potém w Paryżu, w weselnéj godzinie,
Z równym spokojem ślubne wdziałam szaty,
Widząc, że mąż mój młody i bogaty,

I że z nim życie gładkim torem spłynie.
Ludzie, myślałam, z szczęścia robią dziwo,
Jednak tak łatwo jest zostać szczęśliwą!
Rok jeden blizko trwał ten sen mój miły;
A mąż mój, pierwszy budził się stopniowo,
I gdy się oczy jego otworzyły,
Dawną miłością rozgorzał światową,
I w wir się rzucił jak dworak i książę,
A ja poczułam, że za nim nie zdążę—
Wówczas zadrżałam pierwszym niepokojem
I widmo straszne stanęło przedemną,
Świat... z całą swoją aureolą ciemną,
Z całym swych uciech i ułudzeń rojem!
Widziałam wszystko drżąca i zbolała,
W duszy niepewność pierwszy raz zadrżała,
W osamotnienia poczułam się zimnie,
Dziwne zazdrości rwały mną porywy,
Bo mąż mój wszędzie był wesół, szczęśliwy,
Poszukiwany, byleby nie przy mnie...
I tkwiło w sercu uznanie złowieszcze,
Że znikło szczęście, a ja kocham jeszcze.

Marszałkowa.

Łucyo!

Księżna.

Tak, kocham. W pierwszéj życia wiośnie
Wyraz ten: miłość, jeszcze dla nas niemy,
To skarb nieznany, a my o nim śniemy,
Że w sercu z laty dojrzewa i rośnie

Przysięgą ślubu utwierdzony świętą.
Niestety! kochać, to zwątpić na zawsze
O sobie, wiecznie czuć się odepchniętą,
To boleść, próżnia i męki najkrwawsze.

Marszałkowa.

Chcesz być kochaną? Ależ moje dziecię,
To rzecz dla ciebie najłatwiejsza w świecie.
Sądzisz, że syn mój prawych uczuć zdroje
Odrzucił, goniąc za światową wrzawą;
Lecz w tém, wierzaj mi, winniście oboje:
On swą młodością, ty płonną obawą.
Ta droga uciech powabna i gładka,
Ale i na niéj przesyt go nie minie;
Bo kocha ciebie i ciebie jedynie...
A ufaj temu, co ci mówi matka.

(Całuje ją w czoło.)

Już późno, przyszlę tobie Martę, może
Chcesz spocząć?

Księżna.

O nie! sama zostać wolę.

Marszałkowa.

Więc do widzenia.

(Wychodzi.)

SCENA XIV.

Księżna (sama).

Czekać tu! mój Boże,

Czekać i czuwać!... taką już mi dolę
Niebo przeznacza.

(Spogląda na kandelabry:)

Jak te światła płoną
Smutnie... dziś strasznie czuję się znużoną.

(Siada.)

Kasia nie wraca... Czy się zbliżył do niéj!
Czy... A, doprawdy dziwne są te bale
Z tym ich powabem! nie rozumiem wcale
Jaką zabawę mogą tam mieć oni!
Zmienić twarz i głos, bać się, że spostrzegą,
Albo usłyszą... to już milczeć lepiéj
Jeżeli mowa zła... ci ludzie ślepi!...
Czego tam szukać chodzą?... Nieznanego—
Złudzenie ciągłe, wieczne... Sen mnie morzy
I myśl ucieka w jakiś wir daleki;
Sprobuję trochę czytać.

(Bierze książkę i kładzie otwartą na stole.)

Jeszcze gorzéj;
To romans. Same kleją się powieki.

(Bierze do ręki zegarek.)

Czekać mi straszno! A w koło milczenie
I czas się wlecze.

(Otwiera kopertę i spogląda na wskazówkę:)

Téj maleńkiéj igły
Mogę bieg zmienić, lecz czasu nie zmienię,
Bo on dla ludzkiéj woli niedościgły.

(Zasypia.)

SCENA XV.

Księżna (uśpiona), **Książę.**

Książę (wchodząc).

Doprawdy, rzecz to upokarzająca!
Jakto? na balu własna mnie służąca
Śmie przyjść zaczepiać?... Czy to tylko ona?
Ona z pewnością... to historya cała!
Pomiędzy nami schadzka umówiona,
Pewny, że będzie tu na mnie czekała,
Przychodzę na bal, i widzę z nienacka
Jak z kimś wieczerza własna moja schadzka!
I ten gap oto... aż sam wstydem płonę,
Z nakrytą głową, rumiany od wina,
Zuchwale ze mną rozmowę zaczyna,
Prosząc, ażebym dał mu ją za żonę!
Ale sam sobie nawarzyłem biedy...
No, jak mnie jeszcze przytrafi się kiedy
Coś podobnego... Co to?... Moja żona
Tutaj... śpi?... Pójdźmy.

(Chce wyjść i zatrzymuje się)

Dalibógże ona
Śliczna... To chyba wkrótce już nad rankiem
Będzie... Nie dosyć szczęście moje cenię.
Szkoda, żem mężem! gdybym był kochankiem,
Mógłbym za senne pragnąć ujść marzenie.
Trzyma coś w ręku... zegarek... i po co?
Do snu zegarek?... i z szkiełkiem otwartém...
Zkądże jéj przyszło czuwać późną nocą?

(Spogląda na zegarek, który księżna trzyma w ręku.)
Bo to doprawdy już późno nie żartem
Czuwać!... Dla czego na łóżku nie spocznie?
Co za myśl!... Wiem już... To ten bal widocznie
Ją niepokoił... ani wątpić o tém...
Czekała póki nie przyjdę z powrotem
I sen ją zmorzył... tak... to zazdrość może...
Czemu zazdrosna?... Bo kocha. Mój Boże,
Potrzebaż nocy wypowiadać wojnę,
Głupieć do reszty pod nieznośną maską
I bawić lalki koronkami strojne,
Nędznym dowcipem i rozmową płaską,
Mieszać się z Kasiów i Łukaszów zgrają,
Gdy wdzięk i miłość w domu nas czekają?
Jakaż ślepota, jaka myśl szalona
Rzucać to, co nam dumą i pociechą,
By gdzieś daleko zwodne gonić echo
Szczęścia, co tu nam otwiera ramiona!...
Biedna! została sama z swoim żalem.
Czyliż nie lepiéj byłoby i godniéj
Zostać tu?... Lecz nie... ja uciekam od niéj,
Żeby się zrobić Łukasza rywalem.
Prawdziwie świat ten dziwny i pocieszny,
Wszystkich nas w obłąd wprowadza szalony:
Nie wolno nawet kochać własnéj żony,
Kto chce szczęśliwym zostać, będzie śmieszny.
(W téj chwili księżna budzi się i słucha, udając, że śpi.)
Czyliż mam życie pędzić w jarzmie takiém,
Ja wódz téj całéj rozszalałéj młodzi,
Co im króluję modą, haftem, frakiem?

Mam być ich echem, gdy o szczęście chodzi?
Nie, nigdy szczerość nie może być zdrożna:
Rzućmy te wpływy, co nas w obłąd wiodły.
Nienawiść w sercu śmiało taić można,
Lecz ten, co miłość ukrywa... jest podły...
Gdybym rzekł do nich: „Precz z modą światową,
Na bok ta cała udawania praca,
Wstyd mnie z niéj zbudził i miłość powraca...”
Czyżby śmiał który odpowiedzieć słowo?
I wśród strojnego dworskiego krużganka,
Gdybym ją tuląc do mojego łona,
Zawołał głośno: „Spojrzyjcie! To ona!
To moja żona, siostra i kochanka,
Uchylcie czoła, zawistni i ślepi
Jam już u nóg jéj...”

(Klęka, Księżna powstaje, Marszałkowa ukazuje się w głębi.)

Księżna.

Przy sercu!

Książę.

Aniele!
Więc nie śpisz?

Księżna.

Byłoż lepiéj spać?

Książę.

Zbyt wiele
Może mówiłem.

Marszałkowa.

Byłoż milczeć lepiéj?

Książę.

Sam własne swoje obliczyłem winy,
Lecz teraz tego nie żałuję wcale.
(Słychać za kulisami śmiech.)
Tam znów co?

Księżna.

Kasia.

Książę.

A, to doskonale.
Wiesz, że odjeżdża?

Księżna.

Z jakiejże przyczyny?

Książę.

Wychodzi za mąż; jéj przyszły był przy niéj
Na balu... sądzę, że rozsądnie czyni.
Otoż i ona.

SCENA XVI.

Marszałkowa, Książę, Księżna, Lizetka, Berthaud.

Marszałkowa (do Lizetki).

Co słyszę! kochanie,

Jakto? nie prosząc mnie o pozwolenie
Odjeżdżasz?

Lizetka.

Przyszłam właśnie o nie prosić.

Marszałkowa.

Więc to pan?

Berthaud.

A ja.

Książę (do Lizetki).

Ziszczone marzenie.

Lizetka.

Poczciwy człowiek, a dla mnie to dosyć.

Księżna.

No, ja przeszkody nie widzę w tém żadnéj.

Marszałkowa (do Berthaud'a).

Więc kawalerstwo przykrzy się?

Berthaud.

Na licho!

Lizetka.

Cicho!

Berthaud.

Kiedy mnie pani pyta.

Lizetka.

Cicho!

Księżna (do Lizetki).

Brzydki twój przyszły.

Lizetka (do księżny).

Dla mnie dosyć ładny.

Książę (do Berthaud'a).

A więc mój panie, chętka ciebie bodzie
Zerwać ten piękny kwiat w naszym ogrodzie?
Ja ci wyraźnie oświadczam: to zdrada,
Tak, jesteś zdrajcą!

Berthaud (do Lizetki).

Ma dowcip nielada.

Książę (do Berthaud'a).

Jak tam wieczerza? Bo przy mnie okrągle
Zjadłeś całego indyka z sałatą.

Berthaud.

Już...

Lizetka.

Cicho!

Berthaud.

Tutaj trzeba milczeć ciągle,
Lecz sobie w domu powetuję za to.

Lizetka (do Marszałkowéj).

Więc zdaniem pani śmieszny wybór robię?

Marszałkowa.

Już cię rozumiem i słowom twym wierzę,
I choć ten wyjazd zasmuca mnie szczerze,
Tak to nagrodzić postaram się tobie,
Żeby w rodzinne kiedy wrócisz strony,
Twój ojciec z ciebie był zadowolony.
(Wskazując na Berthaud'a:)
Zaś co do niego...

Lizetka.

Kazałaś mi pani
Wynaleźć pozór.

Książę.

Więc mamy małżeństwo!
(Do Berthaud'a:)
No, kochaj żonę i bądź dobrym dla niéj—
Najrozsądniejsze to jeszcze szaleństwo.

PODCZAS BALU.

OBRAZEK W JEDNYM AKCIE WIERSZEM

Edwarda Pailleron'a.

OSOBY:

ANIELA.
ŁUCYA.

(Mały salonik. Drzwi podwójne w głębi. Kątowe okna z prawéj i lewéj strony. Dwoje przeciwległych drzwi bocznych. Stół na środku, fotele, krzesła, kanapa, puf pomiędzy stołem a ścianą z lewéj strony.)

(Aniela i Łucya, wchodzą drzwiami w głębi w ubraniu balowém. Mają narzucone na głowy welony koronkowe. Każda z nich trzyma w ręku lichtarz i świecę zapaloną, i obie po zamianie pierwszych wyrazów stawiają lichtarze na stoliku; z wejściem ich scena dotychczas ciemna oświeca się. Z po za kulis dochodzą dźwięki muzyki.)

Aniela, Łucya.

Aniela (smutnie).

Nieszczęście!

Łucya (z ożywieniem).

Powiedz raczéj zbrodnia, moja duszko!
Serce rwie się do balu, a tu kładź się w łóżko.

Aniela.

Mówią, żem jest zbyt blada i bale mnie nużą.

Łucya.

A mnie, że się rumienię, gdy tańczę za dużo.

Aniela.

Panna młoda błagała o chwileczkę małą
Matki dla mnie...

Łucya.

Ja, ojca... na nic się nie zdało.
Zwykle, gdy chcę, by jaką obdarzył mnie łaską.
Uścisnę go i ot już... Dziś zrobiłam fiasco.

(Słychać odgłos muzyki.)

Tam się bawią, a my tu na dolę... wygnańczą
Skazane... i cóż robić?

Aniela.

Spać.

Łucya (z żywém poruszeniem).

Spać!.. gdy tam tańczą,
Gdy tém echem pragnienie rozbudza się moje,
Gdy we mnie wre zabawa, kwiaty, światła, stroje,
Taniec! ach! galopada!...

Aniela.

I polka mazurka...

Łucya.

I grzeczności tych panów do paciorków sznurka

Tak podobne... „Pani...“ punkt.. „Jakiż skwar!“ punkt drugi.
I ów walc na dwa tempa zwity w wieniec długi
Przez salon...

Aniela.

A kotylion!

Łucya.

I z jakiéj tu racyi
Odsyłać nas na sucho, nawet bez kolacyi!

Aniela.

Ten bal był bardzo piękny.

Łucya.

Tak, prawdziwie cudny,
I w całéj téj małżeńskiéj ceremonii nudnéj
To była jedna chwila... bo i panna młoda...
Iść za starego wdowca... dalibóg, to szkoda!

Aniela.

Nie tak stary.

Łucya.

Lecz brzydki; panna młoda z cicha
Westchnie patrząc na niego, znów spojrzy, znów wzdycha,
Aż żal było... Co do mnie, w złą czy dobrą porę
Wcale płakać nie będę, gdy męża wybiorę.

Aniela.

Kto wie?

Łucya.

Czegobądź doznam, radości czy żalu,
To wiem, że mnie tak wcześnie nie wyprawią z balu.
Źle być panną, tak, wierz mi: za mąż pójść już woléj!
Cóż ty na to?

Aniela (łagodnie).

Ja pójdę, jak wypadnie koléj
Na mnie.

Łucya (naśladując ją).

Koléj wypadnie... moja ty ofiaro!..
No, przyznaj mi się tutaj, tylko z dobrą wiarą,
Jakiego pragniesz męża?

Aniela.

Chcę, ażeby do mnie
Wzdychał, ale to długo, tak długo ogromnie!
Żeby pilnie ubiegał się o moje względy,
By ciągle pisał listy, by mnie śledził wszędy,
By nie wyglądał, jakby jaki dusz wydzierca,
Ale patrzał z daleka...

Łucya.

Z palpitacyą serca...
Brunet czy blondyn?

Aniela.

Brunet.

Łucya.

Ja wezmę z ochotą
Blondyna.

Aniela.

Blady...

Łucya.

Czémże ma być?

Aniela.

Mniejsza o to.

Łucya.

Ja zaś chcę generała.

Aniela.

Co też tobie w głowie!
Straszliwie starzy wszyscy ci generałowie.

Łucya.

Lecz za to jak kochają!

Aniela.

A przytém despoci.

Łucya.

Nie dla żon, dla nich zawsze są pełni dobroci.
Mój wuj, jakiż to człowiek wojennego ducha!
Gwiazd, jak nabił, a żony jak gołąbek słucha.

I czy też nie największą to pociechą naszą,
Że przed nami drżą tacy, którzy innych straszą?
A przytém i najbrzydszy piękny jest wojskowo.
Pomyśl tylko: te szlify, pióropusz nad głową;
A ci ich adjutanci w sposób nieustanny
Uwijają się przy nich jak garderobianny;
Kapela i sztandary z frendzlami srebrnemi,
I wystrzały armatnie gdy ich grzebią w ziemi!

Aniela.

Zwaryowałaś prawdziwie! A mnie kusi nie to:
Chciałabym, żeby przyszły mój mąż był poetą,
I w wierszach idealnych...

Łucya.

Strojny lauru listkiem...

Aniela.

Opiewał miłość, niebo, świat...

Łucya.

A przedewszystkiém
Ciebie... Ja wolę rewię, tam trąbi tak ładnie
Kapela.

Aniela.

Zaś wieczorem, kiedy mrok zapadnie
Szlibyśmy ręka w rękę przez leśne manowce.

Łucya.

I be... be... be... beczelibyście jak dwie owce.

Twój los nudny, poeta twój ma płuca chore;
Jak już nie generała, to ministra biorę.

Aniela.

Minister trwa tak krótko...

Łucya.

No, ale trwa przecię...
To dyplomatę.

Aniela.

Człowiek najnudniejszy w świecie!

Łucya.

Bo widzisz, ja chcę kogoś, coby, moja droga,
Był w znaczeniu sędziego...

Aniela.

Aj! aj!

Łucya.

Ale toga,
Piękna rzecz!

Aniela.

I powiedzieć, że żadna z nas oto
Nie wie, kto będzie ową wybraną istotą,
Co wcieli razem w sobie sny naszego ducha
I słodkie słowo „kocham“ szepnie nam do ucha,

Co przed nami na przyszłość nową drogę utrze,
Jawiąc się, któż to zgadnie, jutro lub pojutrze!...
Gdy serca nasze przed tym ideałem kłonim
Zaledwie nam w marzeniu roić wolno o nim
I śnić przy woni kwiatów i przy ptasząt śpiewie...
Ten przyjaciel i ten pan... któż on?.. żadna nie wie,
To okropnie!

(Muzyka ucicha.)

Łucya.

Jeżeli mam w kim znaleźć pana,
To lepiéj, że ta przyszłość jeszcze mi nie znana.
Nie wiem za kogo pójdę, ale jest osoba,
Co mi się wcale, ale wcale nie podoba,
I z takim się nie zbłąkam na ślubny manowiec...
To jest, wiesz, ten pan młody dzisiejszy, ten... wdowiec.

Aniela.

Zdaje się być łagodnym.

Łucya.

Tak jak wszyscy starzy.
Jaki nos! jakie rysy! jaki wyraz twarzy!
Jeszcze się ufryzował, a wiesz, że to lubię...
Niby to już fryzura konieczna przy ślubie!
A ta szyja czerwona!, niby u indyka!
Potknie się, i przeprasza, i znów się potyka,
I wciąż się kłania świekrze pod miarą i wagą!
Boi się jéj, pamiętasz, gdy pan mer z powagą

Wyrzekł: „żona mężowi winna być posłuszną,“
Nastała cisza, w sali zrobiło się duszno,
Pan młody stał, jak gdyby zamarła w nim dusza,
A mój wuj szepnął: „Będziesz śpiewać Tadeusza!”

Aniela.

Takie jest prawo; zresztą w miłości otucha,
Kto kocha, ten i słucha.

Łucya.

Niechaj pan mąż słucha!
Kobieta, kiedy kocha, pragnie być kochaną,
Jéj nic do tego, co tam w prawie napisano,
Ona upodobaniom tylko daje ucho.
Przecięż i panna młoda wyrzekła: „tak“ sucho,
I wiedziała co mówi; a on rzekł: „tak, panie!“
„Tak, panie,“ jakby płakał!

Aniela.

Bo był w dziwnym stanie
Wzruszenia.

Łucya.

Z czego? przecię sam chciał; trudna rada,
Toż jest wdowcem, więc wiedział jak mówić wypada.

Aniela.

Bo widzisz, na tém słowie waga leży cała,
Nie wiem, czybyś je sama śmieléj powiedziała?

Łucya.

Ja!.. rzekłabym: „tak,“ głośno, żeby usłyszeli
Wszyscy, bez zająknienia, ręczę ci; jeżeli
Chcesz, możemy sprobować.

Aniela.

I po co?

Łucya.

A po to...
Ot tak sobie... na żarty... wiesz, z wielką ochotą
Zrobię to; ot masz, ten stół pośrodku umieszczę,
Nakryty, tutaj krzesła, i nie wiem co jeszcze...

(Szuka wokoło siebie i porusza różne sprzęty.)

Dwa fotele i książka... ten salon zasobny
We wszystko... trzeba biustu...

(Zdejmuje z kominka biust Minerwy i stawia go na słupku przy wielkim stole:)

Nie bardzo podobny...
Minerwa... ale biust ten tak często się zmienia...

(Wskazuje na fotele przy stole.)

Tu narzeczona... to ty... ot tak, od niechcenia...
A.. pan mer...

(Wskazuje na puf stojący między stolikiem a ścianą:)

tam... wybornie... ten puf merem będzie,
Przepaszemy go szarfą, to władzy narzędzie...

(Okręca szarfę około pufa.)

Albo nie... to ja będę merem swego chowu...

(Zdejmuje szarfę z pufa, odsuwa go, przepasuje się sama i siada na fotelu przy stole.)

Aniela.

Ale jak kto tu wejdzie?

Łucya.

Kto ma wejść? cóż znowu?

(Przybierając głos męzki:)

Panno... hum! hum!

(Poprawia koronkę, która się zaczepiła o stołek.)

Masz tobie! głupia ta koronka!

(Znowu zgrubiałym głosem:)

Czy chcesz pana tra ta ta przyjąć za małżonka?

(Chwila milczenia.)

No, mów.

Aniela.

Nie śmiem.

Łucya.

Mów śmiało, nikt cię tu nie słucha.

Aniela (cicho).

Tak, panie.

Łucya.

Maszże tobie! tracisz widzę ducha!

To nie tak, czekaj oto, wezmę miejsce twoje...

(Aniela siada za stolikiem, a Łucya przechodzi przed stół.)

Odważnie, nie bójże się, wszak ja się nie boję,
Zobaczysz.

(W miarę jak mówi, czyni stosowne gesta.)

A więc najprzód przy tém pierwszém słowie
Spuszczam oczy i słucham, co on daléj powie.
Niechaj swoją oracyę wygada wzorową.
Skończył, ja od niechcenia skłonię mu się głową
I odpowiem, lecz wprzódy moja ty kochana
Spytaj się...

Aniela (udając męzki głos).

Panno?..

Łucya (spuszczając oczy).

Ot tak.

Aniela.

Czy chcesz przyjąć pana
Tra ta ta za małżonka?

Łucya (schyla lekko głowę i podnosi ją zaraz wysoko).

Tak, panie!

Aniela.

Za śmiało.

Łucya.

Tak to nie *nie*, więc trzeba z pewnością to całą
Wypowiedzieć, i to mnie nie obchodzi wiele,
Jeśli gdzie się zalęknę, to chyba *w kościele.*

Aniela (zmieniając nagle ton).

Te podwoje otwarte, a widne z daleka,
Ten Bóg, co na wchodzących u ołtarza czeka,
Ten miarowy dźwięk dzwonów, co w powietrzu rośnie,
Organy pod sklepieniem szemrzące żałośnie,
I słodkich religijnych śpiewów dźwięk uroczy,
Który łzę skruchy z serca sprowadza na oczy,
Krzyżujące się ciemne smugi na sklepieniu,
I światła, co jak gwiazdy błyskają w półcieniu,
I głuchy szmer modlitwy, co w powietrzu tonie,
I odgłosy zachwytu, i kadzideł wonie,
Wszystko to myśli nasze mgłą przepełnia łzawą.
A ów tłum cały, który ciśnie się pod nawą
I śledzi czy przychodzę z radością, czy z żalem...
To straszne... można umrzeć...

Łucya.

Byle nie przed balem.
Toż nie wszystkich ogarnia ta trwoga śmiertelna;
Coś nas tam podtrzymuje... a suknia weselna!...

Aniela.

Nie: sam wstęp do świątyni tak strachu przysporzy,
Żebym się wejść lękała...

Łucya.

Toż wychodzić gorzéj...
Wejść to nic, na ramieniu poważnego dziadzi
Oparta, dążym śmiało, i wszyscy nam radzi.
Uroda i strój cały dobrze nam się darzy,
Albo li też sądzimy, że nam tak do twarzy.

Aniela.

Lecz ołtarz... tak daleko, a tak pełno wszędzie
Ludzi...

Łucya.

No, no, spróbujmy, to najlepiéj będzie..
Daj mi rękę...

(Bierze ją za rękę.)

Ja jestem dziadzią, dzwonią dzwony,
Bum! bum! bum! słyszysz?

Aniela (oglądając się wkoło siebie, niby wystraszona).

Ale ten lud zgromadzony...

Łucya.

Co ci szkodzi? masz welon, to od twojéj woli
Zależy, spuść go...

(Urządza jéj na głowie welon jakby do ślubu.)

No, chodź.

(Aniela postępuje szybko parę kroków.)

Ale idź powoli.

Tak niby od niechcenia, w jedwabie spowita
Jak królowa.

(Puszcza jéj rękę i postępuje sama przed nią parę kroków.)

Niechże się napatrzą do syta.

(Aniela idzie za nią, naśladując jéj chód.)

Wybornie! widzisz sama, wejść z łatwością całą
Przyjdzie.

(Muzyka ustaje.)

Ale wyjść za to, kiedy się płakało,
Gdy się w tył odrzuciła już ślubna zasłona,
Gdy włosy rozrzucone, twarz zarumieniona,
Kiedy z mężem pod rękę iść musimy sami
I cały ten tłum ludzi zjada nas oczami,
I ciśnie się wokoło chwytając jak w kleszcze;
A w zakrystyi, to może stokroć gorzéj jeszcze.
Źle być smutną, wesołą gorzéj, z każdéj strony
Ktoś zaczepia, winszuje, i na różne tony
Prawi nam komplimenta, wskazówki i rady,
Ci tak, a tamci owak, wszystkim zaś z zasady
Odpowiadaj, a ten się śmieje, tamten wzdycha,
Ci głośno chwalą, tamci obmawiają z cicha,
I matka, która płacze, albo też wesołą
Udaje, a kapelusz spada jéj na czoło,
I całują, całują, całują bez przerwy...
Nadewszystko ci starzy... to działa na nerwy..
I mówią tobie „pani" z dodatkiem nazwiska,
I powietrze jest duszne, i coś w piersiach ściska...

Ślub się odbył, teraz się w wesele zamienia...
Nawet słudzy... wierzaj mi, to nie do zniesienia!

Aniela.

Tak jest, słusznie z nas każda dnia tego się straszy,
Gdy ludzie chcą w miłości przeszukiwać naszéj
I uwagi nad nami nieproszone czynią,
Jak gdyby serce było roztworzoną skrzynią.
Brać ślub w pustyni, mniejszym byłoby kłopotem ..

Łucya.

Brakłoby tam muzyki!

(Orkiestra gra walca.)

Słyszysz?

Aniela.

Co mi po tém?

Łucya.

Walc.

Aniela.

Niech tam sobie będzie!

Łucya.

Jak te dźwięki płoną
Weselem!... Powalcujmy!..

(Porywa za kibić Anielę, która się lekko wzbrania.)

Aniela.

Nie... jestem znużoną.

Łucya (nalegając).

Gdybyś była tam w sali, nie czułabyś wcale
Znużenia,—no, powalcuj ze mną... generale!

Aniela.

Nie.

Łucya (pociągając ją).

Dwa albo trzy zwroty.

Aniela (poddając się).

To prawdziwa zmora!

Łucya (walcując).

A to znów co? czy jesteś na podagrę chora?
La! la! la! la!... No widzisz, skrzydła tobie rosną,
Jakbyś chciała ulecieć z tą nutą radosną!
Dziwny wir, jakiś zawrót serca nam weseli,
Czuć go muszą ptaszęta... lub tylko anieli,
Kiedy razem ku niebu lot kierują chyży...
Unosim się w powietrzu... wyżéj... coraz wyżéj...

Aniela (nie przestając walcować).

Dosyć już...

Łucya (j. w.).

Jeszcze trochę.

Aniela (j. w.).

Ale...

Łucya.

Nie ma ale!
Co? pan generał ziewa? to źle generale!

Aniela (uwalniając się z jéj objęć i padając na kanapę).

Już dłużéj niepodobna... umieram z gorąca!

Łucya.

A jabym tańcowała ciągle.

Aniela (powstając i biorąc świecę ze stołu).

Jestem śpiąca.

Łucya.

Która godzina? Walc mi w uszach jeszcze skacze...
Nie ma tutaj zegara... przez okno zobaczę.

(Podchodzi do okna i podnosi firankę.)

No, no...

Aniela (idąc także ku oknu).

Co to?

Łucya.

Czy widzisz? widnokręgu końce
Już się czerwienią; patrzaj, wszak to wschodzi słońce.

Aniela (ziewając).

Wolę, żem nie jest panną młodą, tylko drużką...

Łucya.

Dobranoc dzieciąteczko, lu, lu, kładź się w łóżko.

(Całuje ją.)

Aniela (oddając jéj pocałunek).

Dobranoc!

Łucya (biorąc świecę ze stołu i idąc do drzwi na lewo).

Już na niebie dzień na dobre gości!
Czas spać.

Aniela (stając we drzwiach wpół otwartych).

Śnij o małżeństwie.

Łucya (stając również we drzwiach i posyłając jéj pocałunek od ust).

A ty o miłości.

(Wychodzą. Słychać zamierające dźwięki muzyki. Zasłona spada).

MIZANTROP.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH WIERSZEM

(1666)

z Jana Poquelin'a Molière'a.

OSOBY.

ALCEST, kochanek Celimeny.
FILINT, przyjaciel Alcesta.
ORONT, kochanek Celimeny.
CELIMENA, kochanka Alcesta.
ELIANTA, krewna Celimeny.
ARSYNOE, przyjaciołka Celimeny.
AKAST, KLITANDER, } panowie dworscy.
BASK, służący Celimeny.
DUBOIS, służący Alcesta.
Żołnierz ze straży miejskiéj.

Rzecz dzieje się w Paryżu, w mieszkaniu Celimeny.

AKT I.

SCENA I.

Filint, Alcest.

Filint.

Co ci jest?

Alcest.

Daj mi pokój!

Filint.

Nie bądźże uparty;
Powiedz, czy to dziwactwo jakieś, czy też żarty?

Alcest.

Daj mi pokój, bo mnie to i jątrzy i nudzi.

Filint.

Ależ przecię bez gniewu można słuchać ludzi.

Alcest.

Chcę się gniewać, a słuchać nie mam wcale chęci.

Filint.

Nic a nic nie rozumiem co się tutaj święci,
I choć dla przyjaciela zawsze-m jest gotowy...

Alcest (powstając gwałtownie z krzesła).

Przyjaciela!... Wybijże raz sobie to z głowy.
Może mi się to nieraz dotychczas zdawało,
Ale dzisiaj, gdy prawdę zobaczyłem całą,
Już ci się mnie na nowo wyzyskać nie uda,
Bo wiem, że w tobie tylko jest fałsz i obłuda.

Filint.

Jakichże to win strasznych cięży na mnie brzemię?

Alcest.

Powinienbyś ze wstydu schować się pod ziemię:
To, coś zrobił, godności ludzkiéj jest zatratą;
Każdy człowiek uczciwy oburzy się na to.
Jakto! ściskasz człowieka bez żadnéj pobudki,
Jesteś dla niego czuły, przyjemny, milutki,
Robisz mu komplimenta i słodkie wymówki,
Co chwila go całujesz, ot tak, z dubeltówki,
A kiedy cię się pytam, jak się ów pan zowie,
Ledwie jego nazwisko zachowałeś w głowie!
Wyszedł, i ty już w swoim ostygłeś zapale,
I mówisz, że on ciebie nie obchodzi wcale.
Jestto rzeczą niegodną, podłą i nikczemną
Poniżać się do tego stopnia. Gdyby ze mną
Mogła się kiedy zdarzyć nieprzystojność taka,
Poszedłbym się z rozpaczy powiesić u haka.

Filint.

No... wieszać się od razu nie mam znów ochoty.
Nie widzę w tym postępku tak wielkiéj sromoty.
Wybacz, że w lot wyroku tego nie pochwycę,
Bo nie ma tu powodu iść na szubienicę.

Alcest.

Nie lubię żartów, zwłaszcza mówionych w złéj wierze.

Filint.

Lecz czegoż chcesz odemnie? powiedzże mi szczerze!

Alcest.

Chcę, by człowiek żył prawdą, do stu paraluszy,
I mówił wprost i jawnie to, co ma na duszy.

Filint.

Ludzie często grzeczności chcą nam świadczyć; przeto
Trzeba im się odwdzięczać tą samą monetą,
Spłacając, żeby z nimi trzymać się do miary,
Przysięgami przysięgi, ofiarą ofiary.

Alcest.

A ja nie mogę ścierpieć téj twojéj metody,
Którą przybrali wszyscy zwolennicy mody!
I przyznam się, że budzą wstręt najwyższy we mnie
Tacy, co się starają uśmiechać przyjemnie,
Co sypiąc próżne słowa w bezrozumnéj gwarze,
Ciągle pocałunkami obśliniają twarze,

I równają, swą grzeczność wysilając całą,
Statecznego człowieka z lada świszczypałą.
I cóż za korzyść mają ci światowcy wasi,
Że się każdy przymila, i liże, i łasi,
I pochlebia, i chwali, i soli, i pieprzy,
Kiedy to ma od niego błazen pierwszy lepszy?
Wierzaj mi: prawy umysł i dusza podniosła
Nie potrafi się chwycić takiego rzemiosła,
I żadne nas rozczulić nie mogą pochwały,
Jeżeli je wraz z nami posiada świat cały.
Szacunek wypowiadać nie da się tą drogą:
Kto ceni równo wszystkich, nie ceni nikogo.
Więc kiedy ty, mój panie, czynisz tak jak oni,
Wybacz, ale nie mogę iść z tobą dłoń w dłoni;
Odmawiam się pochwałom, które, zdaniem twojém,
Winny wszystkie zasługi równym mierzyć krojem.
Chcę, żeby mnie ceniono; słowo dla mnie świętém;
A ten, co wszystkich kocha, nabawia mnie wstrętem.

Filint.

Ależ trudno, mój drogi; świat nie jest pustynią,
I chcąc żyć z ludźmi, czyńmy to, co inni czynią.

Alcest.

Otoż nie: mnie to wszystko i męczy i drażni;
Wszystkie te udawania kłamanéj przyjaźni
Nużą mnie. Jabym pragnął, aby w dobréj wierze
Każdy, co ma na sercu, wypowiadał szczerze,
A nie krył pod obłudą krzywdzącą a płaską
Rzeczywistego chłodu komplimentów maską.

Filint.

W wielu razach, mój drogi, ta szczerość wspaniała
Śmieszną, szkodliwą nawet ludziomby się stała.
A choć może twój honor na to się obruszy,
Trudno, żebym odkrywał, co mam w głębi duszy.
Byłożby to przystojném, by bez żadnéj tamy
Każdemu wypowiadać, co o nim trzymamy?
A gdy mnie co w kim razi, lub żywo dotyka,
Mamże mu z tém wprost w oczy sypnąć z pantałyka?

Alcest.

Tak.

Filint.

Więcbyś ty Emilii powiedział, że sztuka
Malowania nikogo już w niéj nie oszuka,
I że pod blanszem zmarszczki widać?

Alcest.

Bez wątpienia.

Filint.

Przestrzegłbyś Dorylasa, że jego zachcenia
Rycerskie i puszenie się zasługą cudzą,
Wszystkich już w końcu gorszą i śmieszą i nudzą?

Alcest.

Ani chybi...

Filint.

Żartujesz!

Alcest.

O, nie! mówię szczerze,
I nie myślę nikogo oszczędzać w téj mierze;
Bo cała ta pochlebców i oszustów zgraja,
Tylko żółć burzy we mnie i nerwy rozstraja.
Humor się mój wciąż jątrzy i natura wzdryga,
Kiedy widzę, że wszędzie fałsz, podła intryga,
Obrzydliwe pochlebstwo, nieprzydatne na nic,
Niesprawiedliwość, zdrada, nikczemność bez granic.
To mnie wścieka; wolałbym obelgi najkrwawsze,
I chciałbym z rodem ludzkim zerwać raz na zawsze.

Filint.

A ja ci już mówiłem, i jeszcze powtórzę:
Trzeba coś pozostawić i ludzkiéj naturze.
Trudno, aby surowość mogła rządzić wszędy;
Lepiéj wyrozumiałym być na cudze błędy.
I cnota wiele ustępstw musi mieć na względzie.
Rozum, co wszystko gani, sam może być w błędzie.
Nieeh się każdy w swych sądach o łagodność stara;
Słuszne umiarkowanie, to prawdziwa miara.
Ta zatwardziałéj cnoty w dawnych wiekach władza,
Już się z czasem dzisiejszym nic a nic nie zgadza;
Doskonałości w ludziach wymagać nie można;
Należy się do innych stosować z ostrożna.
A kto chce świat poprawiać, o tym każdy powie,
Że mu się wszystkie klepki pomieszały w głowie.
Wiem ja, tak dobrze jak ty, że te ludzkie sprawy
Wymagałyby nieraz koniecznéj poprawy,

Że lepiéj, gdyby może poszły innym torem,
Lecz nie wybucham gniewem za lada pozorem.
Biorę ludzi tak jak są, czy wielcy czy mali;
Nie chcę wcale, żeby się do mnie stosowali.
Pal ich sęk! A ten spokój, z którym wszystko robię,
Lepszy może od żółci, co się burzy w tobie.

Alcest.

Lecz ten spokój, którym się przechwalasz, mój panie,
Czyliż go nic zakłócić już nie będzie w stanie?
Jeśli z tobą przyjaciel postąpi nieszczerze,
Jeżeli kto ci zdradą majątek zabierze,
Lub na dobrém imieniu pokrzywdzi cię twojém,
Czyliż zdołasz to wszystko wycierpieć z spokojem?

Filint.

Tak; znam te niedostatki i sam o nich myślę.
One z ludzką naturą połączone ściśle.
A jednak, chciéj mi wierzyć, mówię ci najszczerzéj,
Kiedy widzę oszustów, zdrajców i szalbierzy,
Sprawia mi to wrażenie toż samo bez mała,
Jakby wilk na mnie napadł, lub żmija kąsała.

Alcest.

Jakto? dałbym się zdradzać i okradać marnie,
A ja w zamian nie mógłbym?... Niech to swąd ogarnie
Brak mi słów, by odeprzeć tę wymowę lichą!

Filint.

Lecz po co się tu gniewać? Lepiéj siedzieć cicho.

Wymyślać przeciwnikom jest to czasu stratą;
Woléj dokładnie proces przeprowadzić za to.

Alcest.

Ja nie wierzę w procesa i w prawne dowody.

Filint.

Ale któż ma za ciebie dochodzić twéj szkody?

Alcest.

Kto? Porządek i słuszność, co praw moich strzegą.

Filint.

Więc żadnego nie myślisz odwiedzić sędziego?

Alcest.

Nie... Sprawa moja słuszna, to już dla mnie dosyć.

Filint.

Lecz w najsłuszniejszéj sprawie trzeba sędziów prosić,
Bo oni...

Alcest.

Ani myślę; nie uczynię kroku,
Mam słuszność, albo nie mam.

Fillint.

Więc czekasz wyroku
Tak spokojnie?...

Alcest.

Ani drgnę.

Filint.

Przeciwnicy twoi
Są sprawni i rzecz stoi na ostrzu.

Alcest.

Niech stoi!

Filint.

Upiększą swe dowody.

Alcest.

Niechaj je upiększą!

Filint.

Ależ znów...

Alcest.

Przegram proces z rozkoszą największą.

Filint.

Bądźże...

Alcest.

Nie chcę niczyjéj zlecać się opiece.
Zobaczę, czy bezczelni oni tak dalece
I czy są w złości swojéj tak zapamiętali,
By najjawniejsze prawa bezkarnie łamali.

Filint.

Co za człowiek!

Alcest.

I chciałbym, mój panie łaskawy,
Przegrać z kretesem proces dla słuszności sprawy.

Filint.

Kłoby słyszał, że taką bawisz się nadzieją,
Śmiałby się do rozpuku.

Alcest.

Dobrze, niech się śmieją.

Filint.

Mniejsza o to; jak pragniesz, sprawę swą poprowadź,
Lecz tę prawość, którą chcesz tak wszędzie stosować,
Tę prawość, którą wstępnym przeprowadzasz bojem,
Czyliż zdołasz odnaleźć choćby w sercu swojém?
I czyliż własnym błędom nie będziesz życzliwszy,
Gdy się z rodzajem ludzkim na śmierć pokłóciwszy,
Mimo téj nienawiści, wyszukałeś przecię
Przedmiot uczuć miłosnych w tym zepsutym świecie?
A co na pierwszym względzie tu jeszcze położę,
To wybór twéj kochanki, najdziwniejszy może.
Chociaż szczera Elianta ku tobie się skłania,
Choć Arsynoe także warta jest kochania,
Mimo téj surowości, która u niej w cenie,
Tyś jawnie serce twoje oddał Celimenie,

W któréj chęć kokieteryi i złośliwość razem
Obyczajów dzisiejszych najlepszym obrazem.
Dla czegoż więc w potępień ogólnych zapale,
Ją sądzisz tak łagodnie i wyrozumiale?
Zechciéj więc szczere twoje wyjawić tu zdanie:
Czyliż wad jéj nie widzisz, lub nie zważasz na nie?

Alcest.

Rzeczywiście ja kocham Celimenę; ale
Wierzaj mi, że mnie miłość nie zaślepia wcale.
Pierwszy widzę jéj wszystkie wady, i na słowo
Możesz mi ufać, że je potępiam surowo.
Wiem, wiem, że jest kokietką i trochę obłudną;
Lecz dziwną jakąś słabość mam do niéj, to trudno.
Chociaż tych wad ją trapi litania cała,
Ona mi się do serca wkraść jednak umiała.
Ma wdzięk jakiś uroczy, a ufać w to mogę,
Że ta miłość na dobrą sprowadzi ją drogę.

Filint.

Będzie to dziw niemały, przyznam ci się szczerze...
I wierzysz w Celimeny wzajemność?

Alcest.

Tak, wierzę.
Nie kochałbym jéj pewnie, gdyby tak nie było.

Filint.

Lecz jeżeli cię ona z równą kocha siłą,
Czemuż jesteś zazdrosnym i lękasz się zmiany?

Alcest.

Bo ten, co kocha, chce być wyłącznie kochany,
I dziś właśnie me kroki zwróciłem w tę stronę,
By jéj wyrazić miłość, którą do niéj płonę.

Filint.

A dla mnie ta jéj miłość byłaby mniéj pewną,
Wolałbym szczerze kochać Eliantę, jéj krewną.
U niéj dusza szlachetna, serce jak na dłoni,
I rozsądniéjbyś zrobił, skłaniając się do niéj.

Alcest.

Tak, téj miłości nieraz rozsądek mój przeczy;
Lecz miłość a rozsądek, to dwie sprzeczne rzeczy.

Filint.

Lękam się, że nadzieja, która ciebie mami,
Mogłaby..

SCENA II.

Oront, Alcest, Filint.

Oront (podchodząc do Alcesta).

Mówiono mi, że za sprawunkami
Celimena z Eliantą bawią gdzieś na mieście.
Lecz skoro tu panowie, jak widzę, jesteście,
Przychodzę, aby z wami wraz pogawędziwszy,
Oświadczyć, że mam dla nich szacunek najwyższy,
I że, co jest od dawna życzeń moich celem,

Pragnę być obu panów szczerym przyjacielem.
Bo serce moje, czułe na przymioty cudze,
Chce należny hołd oddać prawdziwéj zasłudze,
I wyższość umysłową, jak trzeba, ocenia.
Przyjaciel taki, jak ja, nie do pogardzenia,
Nie prawdaż?

(Podczas tego, co mówi Oront, Alcest pogrążony jest w dumaniu i zdaje się nie słyszeć, co do niego mówią; zwraca uwagę dopiero na następujące słowa:)

Celem słów mych jest pańska osoba.

Alcest.

Ja?

Oront.

Tak jest, pan. Czy się to panu nie podoba?

Alcest.

Owszem; lecz ze zdziwieniem słyszę to niemałém,
Tyle bowiem zaszczytu się nie spodziewałem.

Oront.

Tak jest, i z wielką mogę zaznaczyć pociechą,
Że co tutaj wyrzekłem, to ogółu echo.

Alcest.

Panie...

Oront.

A jeśli szczere mam zrobić wyznanie,
To ja nad wszystkich innych ciebie cenię, panie.

Alcest.

Lecz, panie..

Oront.

Jeśli kłamię, niech mnie piorun spali!
W nadziei, że ta przyjaźń lepiéj się ustali
I że porozumienie między nami blizkiém,
Pozwól pan, że to stwierdzę serdecznym uściskiem.
Oto jest moja ręka; szczerze bowiem stoję
O przyjaźń pańską...

Alcest.

Panie...

Oront.

Pan cofasz dłoń swoję?

Alcest.

To wielki dla mnie zaszczyt, ale wyznam szczerze,
Że przyjaźń tak serc gwałtem w arendę nie bierze,
I ci, którzy jéj nazwę nad światowe kładą
Związki, według mnie, grzeszą co najmniéj przesadą.
Przyjaźń znaczy pokochać kogoś całą duszą.
Przyjaciele od dawna znać się dobrze muszą.
Gdyby się charaktery nasze nie zgadzały,
Mielibyśmy do siebie żal potém niemały.

Oront.

Tą prawdziwie rozsądną i rozważną mową
Pan mię zobowiązujesz bardziéj, daję słowo.

A więc czasowi wyrok oddajmy w téj sprawie,
Zaś teraz na usługi pańskie się tu stawię.
Jeśli dworskiego życia urok pana nęci,
To król, mając me dobre usługi w pamięci
I widząc, że w służeniu mu moja otucha,
Względny jest na me prośby i chętnie ich słucha.
Zechciéj więc mną rozrządzać, mój szanowny panie.
A na dowód, że wielce dbam o jego zdanie
I że mi jego względy tak na sercu leżą,
Przyniosłem tutaj sonet napisany świeżo
I pragnąłbym od pana oceny najszczerszéj.

Alcest.

Złym, panie, jestem sędzią w ocenianiu wierszy,
Więc nie mogę...

Oront.

Dla czego?

Alcest.

Bo mam wprawy mało,
A zwykle jestem szczerym więcéj niż przystało.

Oront.

Ja zaś, szanowny panie, we wszystkiém mu wierzę,
I gniewałbym się, gdybyś nie postąpił szczerze;
Chcę, byś pan bez ogródki dał wyrok w tym względzie.

Alcest.

Kiedy pan chcesz koniecznie tego, niech tak będzie.

Oront.

Sonet... bo to jest sonet; *Nadzieja*... to pani,
Co nadzieją odpłaca moją miłość dla niéj...
Nadzieja... tu brak może poetycznéj siły,
Bom chciał napisać wierszyk, swą prostotą miły.

Alcest.

Zobaczymy.

Oront.

Nadzieja... Nie chcę z góry wnosić,
Czy styl się wyda czysty i poprawny dosyć
I czy się z wdzięcznym strofki oddzielają zwrotem.

Alcest.

Czytaj pan; zobaczymy.

Oront.

Zresztą, wiedz pan o tém,
Żem się w kwadrans uporał z tą całą robotą.

Alcest.

Czy w kwadrans, czy w godzinę, to już mniejsza o to.

Oront (czyta).

Nadzieja nam życie słodzi
I odpycha troski precz,
Lecz, Filido, smutna rzecz,
Kiedy nic się z niéj nie rodzi.

Dałaś nadziei zadatek,
Ale na więcéj cię stać.
By tylko nadzieję dać,
Po co ponosić wydatek?

Filint.

To dopiero uczucie wyrażone dzielnie!

Alcest (do ucha Filintowi).

Jakże możesz to głupstwo chwalić tak bezczelnie?!

Oront (czyta daléj).

Jeślim skazany koniecznie,
Ażebym tak czekał wiecznie,
To śmierć tylko mą egidą,
Bo wierzaj, piękna Filido,
Kto uprawia wciąż nadzieję,
Ten na rozpacz się nadzieje.

Filint.

Jak się te rymy wiążą dobitnie a jasno!

Alcest (na stronie).

Rymy! Niech cię siarczyste pioruny zatrzasną!
Bodajeś rymnął na nos, pochlebco bez cześci!

Filint.

Ileż cudnych piękności ten wiersz w sobie mieści!

Alcest (na stronie).

Truteń!

Oront (do Filinta).

Pan mi pochlebiasz, a wierzaj, że we mnie...

Filint.

Nie, nie pochlebiam wcale.

Alcest (na stronie).

Jakże łże nikczemnie!

Oront (do Alcesta).

Więc ponieważ mi dobrze szczerość pańska znana,
Chciałbym się teraz prawdy dowiedzieć od pana.

Alcest.

Widzisz pan, to najczulszą zwykle naszą stroną:
Każdy z nas chciałby może, żeby go chwalono;
Lecz niedawno jednemu z mych niby-przyjaciół,
Który się na pisanie lichych wierszy zaciął,
Mówiłem, że należy, według mego zdania,
Opierać się pokusie wielkiéj rymowania,
Że to doprawdy, panie, nie arcy ciekawe
Podawać ogółowi taką lichą strawę,
A kto w pisaniu wierszy jest nadto gorący,
Ten może się na śmieszność narazić niechcący.

Oront.

Więc pan chcesz tu powiedzieć, że ja nie mam wcale
Racyi, by...

Alcest.

Nie, ja tego nie mówiłem; ale
Powiedziałem tamtemu, aby nie lazł w pychę,
Że wielką jest śmiesznością pisać wiersze liche,
I że choćby kto zalet posiadał niemało,
To jedno na obmowęby go wystawiało.

Oront.

Więc pan sądzisz, że pisząc wiersze, ja źle czynię?

Alcest.

Nie mówię tego... Co ci po téj pisaninie?
Mówiłem jemu daléj: „To liche rzemiosło,
Iluż to ludzi przy niém na głupców urosło!"

Oront.

Więc i ja mam tém zostać, czém tamci zostali?

Alcest.

Nie, ja nie mówię tego; lecz mówiłem daléj:
„Zkąd cię do rymowania taka chętka skrobie?
I między wierszokletów na co łazić tobie?
Jeśli komu koniecznie na życie już trzeba,
To niechaj głupią książkę drukuje dla chleba;
Ale ty się nie dawaj opętać téj chętce,
Co ci każe wiersz mierny uklecić na prędce,
I nie kładź na tę szalę, bo ci nie przystoi,
Swojego położenia i wziętości swojéj,
Jak nie jeden, co próżno męczy się i trudzi,

By potém w druku stać się pośmiewiskiem ludzi."
W taki sposób mu rady udzielałem zdrowe.

Oront.

Dobrze już, zrozumiałem całą pańską mowę;
Lecz nie mógłżebym wiedzieć, jakie tam są wady?

Alcest.

Wiersz ten cały jest wadą, mówiąc bez przesady.
Złych wzorów pan się jąłeś, to naganna szkoła;
I wyrażeniom pańskim brak natury zgoła.
Co to jest naprzykład:

„Nadzieja odpycha troski precz;
Lecz, Filido, smutna rzecz,
Kiedy nic za nią nie chodzi.
Albo:
Dałaś nadziei zadatek;
Po co ponosić wydatek?
Albo nareszcie:
Kto uprawia wciąż nadzieję
Ten na rozpacz się nadzieje."

Czyli pośród wyrażeń naciągniętych tylu
Jest choćby ślad natury i prostoty stylu?
Przenośnie, dwuznaczniki, to istna trucizna.
Czyliż tak mówią ludzie, niechaj pan sam przyzna.
Ten wiek nasz wszystko w kwiaty poetyczne krasi,
Stokroć lepiéj ojcowie przemawiali nasi;
O ileż prościéj w cetno utrafia naturze
Starodawna piosenka, którą tu powtórzę:

Gdyby król mi rzekł:
„Dobry z ciebie człek,
Rozstań się z twą Małgorzatą,
Dam ci Paryż za to;—"
Powiedziałbym: „Królu panie,
Daj mi zmiłowanie;
Chociaż Paryż piękne miasto,
Wolę z moją żyć niewiastą."

Rym tu jest niebogaty i wiersz nie wybredny,
Ale więcéj jest sensu w téj piosence jednéj,
Niżeli w górnolotnych skokach na Parnasie,
Bo tu prosta natura mówi szczerze zasię.

Gdyby król mi rzekł:
„Dobry z ciebie człek,
Rozstań się z twą Małgorzatą,
Dam ci Paryż za to;—"
Powiedziałbym: „Królu panie,
Daj mi zmiłowanie;
Chociaż Paryż piękne miasto,
Wolę z moją żyć niewiastą."

W taki sposób człek prosty miłość swoją ceni.

(Do Filinta, który się śmieje:)

A pan chciéj śmieszki swoje schować do kieszeni,
Bo tę poezyę prostą wolę do stu biesów
Od wszystkich napuszonych a modnych frazesów.

Oront.

A ja mówię, że wiersze bardzo dobre robię.

Alcest.

Może pan masz i słuszność powiadać to sobie,
Lecz pod tym względem zdania nasze się nie zbiegą,
I wybacz, że nie dzielę przekonania twego.

Oront.

Wielu wiersz mój chwaliło, choć się tém nie chlubię.

Alcest.

Bo oni lubią kłamać, a ja prawdę lubię.

Oront.

Czyliż pan masz przywiléj na rozum, mój panie?

Alcest.

Tak, byłbym rozumniejszy, gdybym zmienił zdanie.

Oront.

Obejdę się bez pochwał i zachęt w tym względzie.

Alcest.

Już tak być musi, skoro inaczéj nie będzie.

Oront.

Ciekawym, czyby panu z tą fantazyą całą
Napisać jakie lepsze wiersze się udało?

Alcest.

Mógłbym równie złe rymy uklecić bez sromu,
Alebym ich już pewno nie czytał nikomu.

Oront.

Widzę teraz, że z pana strasznie dumna sztuka.

Alcest.

Niechaj sobie pochlebców pan gdzieindziéj szuka.

Oront.

Proszę ciebie, mój mości, bądź w mowie ostrożny.

Alcest.

Mówię tak, jak przystało, mój jaśnie wielmożny.

Filint (stając pomiędzy nimi).

Lecz, panowie, czyż tutaj jest do kłótni pole?

Oront.

Masz pan zupełną słuszność, już ustąpić wolę.

(Do Alcesta:)

Do widzenia... zaszczytu było dla mnie wiele...

Alcest.

A, mój szanowny panie, do nóżek się ścielę.

SCENA III.

Filint, Alcest.

Filint.

No i cóż? pięknieś rzeczy wykierował oto,

Zajechałeś daleko z tą twoją szczerotą.
Oront jest z tych, co kiedy chcą, to wiele mogą.

Alcest.

Pal go licho!

Filint.

Lecz pozwól ..

Alcest.

Nie chcę znać nikogo.

Filint.

To już nadto.

Alcest.

Pozostaw.

Filint.

Ale...

Alcest.

Tym przedmiotem
Nie zajmuj mnie.

Filint.

Bo...

Alcest.

Bądź zdrów.

Filint.

Widzisz...

Alcest.

Co mi po tém?

Filint.

Posłuchaj...

Alcest.

Idźże sobie z tą swoją chorobą
Nawracania!

Filint.

Chcesz, nie chcesz, ja pójdę za tobą.

AKT II.

SCENA I.

Alcest, Celimena.

Alcest.

Jeżeli mam być szczery, to wyznam, że sposób
Zachowania się pani względem różnych osób
Jątrzy mnie, burzy, gniewa, i na moją duszę,
Jeśli tak daléj pójdzie, zerwać z panią muszę.
Mówiąc pani inaczéj, kłamałbym szkaradnie;
Pierwéj bowiem czy później zerwać nam wypadnie.
Choćbym ci to przysięgał i po tysiąc razy,
Nie potrafiłbym takiéj przebaczyć urazy.

Celimena.

Widzę, że niespodziankę czyniąc mi przyjemną,
Pan mnie tu odprowadzasz, by się kłócić ze mną.

Alcest.

Nie kłócę się, lecz nieraz już mnie to ukłóło,
Że z lada kim rozmowę rozpoczynasz czułą,

I przyjmujesz na równi z takim, co cię kocha,
Tych, których do romansów chętka bierze płocha.

Celimena.

Czyż jestem winna temu, że moja osoba
Takiemu lub owemu czasem się podoba?
A gdy się chęć miłości w sercu wzbudzi czyjém,
Mamże go za to karcić i odpędzać kijem?

Alcest.

Tu nie kija potrzeba, lecz rozwagi nieco,
By nie zachęcać wszystkich, którzy na lep lecą.
Wiem, że zrobić się brzydką nie jest w twojéj sile,
Ale twych wielbicieli przyjmujesz tak mile,
Że się co chwila tworzy nowych zastęp cały.
Rozmowa twa przyciąga, gdy wdzięki zjednały,
A ty każdego darząc zwodniczą nadzieją,
Wszystkich ich uszczęśliwiać potrafisz koleją.
Gdybyś nie używała téj podbójczéj siły,
Tłumy twych wielbicieli jużby się zmniejszyły.
I wybacz, pani, że ci zapytanie robię:
Jakież wielkie przymioty ma ten Klitandr w sobie,
I co w nim cię tak bardzo zajmuje i bawi,
Że go często przyjmujesz od innych łaskawiéj?
Czy tém krajowi oddał lub tobie usługi,
Że ma na małym palcu paznogieć tak długi?
Czy też w nim cenisz jako wykwintności cudo
Żółtą perukę w barwę wpadającą rudą?
Czy ciebie nęcą fałdy rurkowane świeżo,
Lub te wstążki, co na nim jak na pawiu leżą?

Albo też szarawarów ta barwa wspaniała,
Nad któremi koronka rozwiesza się biała?
Lub mowa przesadzona, albo śmiech niemiły,
Zjednały w tobie serce i miłość wzbudziły?

Celimena.

Niesłusznie podejrzenie z serca twego rwie się.
Wszak muszę go oszczędzać w ważnym interesie:
Wiesz, że mam proces, że go pilnować wypada,
A on zna się z sędziami i wpływ ma nielada.

Alcest.

Lepiéj już przegrać proces idąc prawą drogą,
Aniżeli zazdrością udręczać mnie srogą.

Celimena.

Pan o świat cały już być zazdrosnym zaczyna.

Alcest.

Bo świat cały cię kocha, czy to moja wina?

Celimena.

Ale czyliż nie lepiéj, wyznaj mi pan szczerze,
Że przyjmuję te wszystkie hołdy w równéj mierze?
I słuszniejszyby była wycieczka ta cała,
Gdybym jednego z pośród wielu wyróżniała.

Alcest.

Mówisz, żeś mi życzliwa, to mnie właśnie drażni;
Bo jakież mam dowody téj pani przyjaźni?

Celimena.

Wiesz pan, że ciebie kocham, czyliż to nie dosyć?

Alcest.

Ale o téj miłości z czegoż ja mam wnosić?

Celimena.

Sądzę, że gdym ci raz to oświadczyła, panie,
Powinnoby ci starczyć to szczere wyznanie.

Alcest.

Ale kto mi zaręczyć może, iż za chwilę,
Nie wyrzekniesz do innych słów tych równie mile?

Celimena.

A to już jest doprawdy kompliment nielada!
Czyliż w ten sposób mówić z kobietą wypada?
Kiedy się pan obawiasz, żem zdradzać gotowa
I zdradzam cię co chwila, cofam moje słowa,
Niech własne podejrzenia serce twoje ranią,
Nie ja.

Alcest.

Czemuż, u licha, ja tak kocham panią?
Gdybym mógł serce moje odzyskać na nowo,
Najszczęśliwszym na świecie byłbym, daję słowo.
Głęboko się ta miłość wkorzeniła we mnie,
Wszystkie siły przeciw niéj wytężam daremnie,
Bóg mi jednak téj wielkiéj odmówił pociechy
I sprawia, że cię kocham tak, za moje grzechy.

Celimena.

Znam dobrze twoją miłość i wdzięcznam ci za nią.

Alcest.

A miłość ta tak silna, że zapewniam panią,
Niechaj z całego świata ludzie się tu zbiegą,
To nie znajdziesz człowieka tak zakochanego.

Celimena.

Lecz metoda miłości pańskiéj jest naganną,
Bo pragniesz mi jéj dowieść kłótnią nieustanną;
Zły humor, to już do niéj dodatek niezbędny,
I nigdym nie widziała miłości tak zrzędnéj.

Alcest.

Sądzę, że to wyłącznie zależy od pani,
Więc zapomnijmy o tém, co mi serce rani;
Bo pragnąłbym zupełnie ufać twemu słowu...

SCENA II.

Celimena, Alcest, Bask.

Celimena.

Co to?

Bask.

Pan Akast przyszedł.

Celimena.

Niech wejdzie.

(Bask wychodzi.)

SCENA III.

Celimena, Alcest.

Alcest.

Ot znowu!
Z panią sam na sam zostać nie można ni chwili,
Żeby się drudzy zaraz tu nie przynęcili.
Wszak mogłaś mu przyjęcia odmówić bez sromu,
I kazać mu powiedzieć, że cię nie ma w domu.

Celimena.

Czyliż pan chcesz, by na mnie poszedł robić plotki?

Alcest.

Lecz cóż panią obchodzi ten piękniunio słodki?

Celimena.

Onby mi nie przebaczył nigdy, gdyby potém
Jakim dziwnym sposobem dowiedział się o tém.

Alcest.

A niech się i rozgniewa, co to pani szkodzi?

Celimena.

Pan wiesz, jak niebezpieczni ci wietrznicy młodzi,

Co to niby niewiele są warci z pozoru,
A mają jednak ucho łaskawe u dworu.
Nie zwykli w swych obmowach oszczędzać nikogo,
A mogą wiele szkodzić, choć pomódz nie mogą.
Więc każdy, kto na świecie choć cokolwiek znaczy,
Powinien nie narażać sobie tych krzykaczy.

Alcest.

Już ja wiem, pani zawsze umie znaleźć sposób,
Ażeby sobie zjednać jak najwięcéj osób,
Które się poświęcają na twoje usługi.

SCENA IV.

Celimena, Alcest, Bask.

Bask (wchodząc).

Pan Klitandr jest tam także.

Alcest.

Masz tobie!... już drugi.

(Zabiera się do wyjścia.)

Celimena.

Gdzie pan biegniesz?

Alcest.

Odchodzę.

Celimena.

Zostań.

Alcest.

Nie, nie, muszę
Odejść.

Celimena.

Chcę, żebyś został.

Alcest.

Lęcz na moją duszę,
Po cóż mam pozostawać w towarzystwie ludzi,
Których głupia rozmowa jątrzy mnie i nudzi?

Celimena.

Chcę! mówię: chcę!

Alcest.

Nie mogę,—wszystkie te ich żarty
Nieznośne mi.

Celimena.

To idź już, kiedyś tak uparty.

SCENA V.

Elianta, Filint, Akast, Klitander, Alcest, Celimena, Bask.

Elianta (do Celimeny).

Jak widzisz, nachodzimy ciebie całą zgrają.
Czy dano ci znać?

Celimena.

Dano — niech państwo siadają.

(Bask przysuwa krzesła i wychodzi.)

(Do Alcesta:)

No, cóż? pan nie wyszedłeś?

Alcest.

Bo chcę tu przytomnie
Dowiedzieć się, czy do nich skłaniasz się czy do mnie?

Celimena.

Milcz pan.

Alcest.

Wzajemność pani choć raz już ocenię.

Celimena.

Oszalał!

Alcest.

Takie moje jest postanowienie.

Celimena.

To nadto!

Alcest.

Wybierz pani.

Celimena.

Nie chcę dłużéj znosić...

Alcest.

Ani ja... mam téj całéj niepewności dosyć.

Klitander.

Wracam z Luwru, gdziem spędził poranek dzisiejszy.
Czy wie pani? ten Kleon coraz jest śmieszniejszy;
Dziwna, że go najbliżsi nawet nie przestrzegą,
Iż ludzie najswobodniéj drwinki stroją z niego.

Celimena.

Prawda, tak się maluje, że aż twarz ma siną,
I wszystkim się narzuca z arrogancką miną,
Sztywny, jakby umyślnie wciąż w tył się wyginał;
Prawdę mówiąc, szczególny z niego oryginał.

Akast.

Gdy o oryginałach mówić tu wypada,
To Damon do téj nazwy ma prawo nielada:
Dziś mnie spotkał i trzymał godzinę na słońcu,
Wciąż mi prawiąc trzy-po-trzy, ażem osłabł w końcu.

Celimena.

Dziwny z niego gaduła! a rzec można śmiele,
Że nigdy nic nie powie, chociaż mówi wiele;
Zdrowego zdania o czém nie znaleźć w nim śladu;
Ot tak, słyszy się słowa bez sensu i ładu.

Elianta (do Filinta).

Tu się obmowa widzę coraz bardziéj krzepi,
A bliźni pewno na tém wyjdą nienajlepiéj.

Klitander.

A cóż Tymant?... to także sztuczka okazała...

Celimena.

Ten człowiek tajemniczy na nerwy mi działa,
Wciąż stroi różne miny, jak gdyby w te tropy
Za tém, co powie, drżały losy Europy.
Rozmawiasz z kim, on z chmurném zbliża się obliczem,
By ci sekret powiedzieć, a sekret jest niczém.
Niby przestróg mu z góry dawanych wciąż słucha,
Nawet „dzień dobry" cicho mówi ci do ucha.

Akast.

A Gerald?

Celimena.

Najnudniejsza na świecie istota!
My wszyscy dla Geralda, to istna hołota,
Tylko z dygnitarzami zażyłość go wiąże,
A w ustach jego ciągle księżniczka lub książę.
Herb dla niego jest wszystkiém, w herbach cały tonie,
W rozmowie jego ciągle powozy, psy, konie,
Wprost „ty" mówi każdemu, narzuca swe zdanie,
A mógłby zachorować, gdyby wyrzekł „panie."

Klitander.

Wszak Beliza jest jego wielką przyjaciółką?

Celimena.

Ta nieznośna Beliza! to także jest ziółko!

Ginę, gdy tu przychodzi bawić mnie rozmową;
Można umrzeć, nim z ust jéj dobędzie się słowo.
Chcieć się zabawić przy niéj, pusta czasu strata;
Najciekawszą rozmowę wraz lodem przygniata.
Próbowałam, by raz ją już rozruszać przecię,
Rozmawiać z nią o rzeczach najzwyklejszych w świecie
Próżno, ciepło czy zimno, czy deszcz, czy pogoda,
Nic jéj do pogawędki przedmiotu nie poda.
A gorzéj, że z nią zawsze strata czasu duża,
Bo swoje odwiedziny nad miarę przedłuża,
I można się ziewaniem zamęczyć na pewno,
Tak siedzi nieruchoma i martwa jak drewno.

Akast.

A Adrast?

Celimena.

Temu ciągle na świecie za ciasno,
On jakby napęczniały jest miłością własną.
Mówi, że się u dworu na nim nie poznali;
A z każdego nie kontent, na wszystkich się żali,
I choćby się godności jak grad nań sypały,
On twierdzi, że na niego spiknął się świat cały.

Klitander.

A Kleon, proszę pani, jakąż dziwną władzą
Sprawia to, że u niego wszyscy się gromadzą?

Celimena.

Tą władzą kuchnia tylko; ludzie całą zgrają
Nie jego, ale jego kuchnię odwiedzają.

Elianta.

Prawda, że stół u niego to aż spojrzeć miło.

Celimena.

Ciekawa jestem bardzo, gdyby tak nie było,
Czy do przyjaźni z ludźmi miałby równe prawo?
Najniesmaczniejszą bowiem on sam jest potrawą.

Filint.

Może pani mieć będzie trochę więcéj względu
Dla Damisa?

Celimena.

Tak, on jest z mych przyjaciół rzędu.

Filint.

I zacnością się swoją wyróżnia śród tłumu.

Celimena.

Słusznie, lecz chce mieć zawsze za wiele rozumu,
Przytém sztywny ogromnie, z miną zacofaną,
Radby, żeby wciąż z jego dowcipów się śmiano.
Odkąd mu wlazł ćwiek w głowę o własnéj zasłudze,
Stał się głuchym i niemym na przymioty cudze.
Dla niego żadne książki zalet mieć nie mogą,
Nie pochwali nikogo, nie uzna nikogo,

Wszędzie tylko zła strona znajduje w nim echo;
Mówi, że śmiech i podziw tylko głupców cechą,
Że w dziełach rozsławionych zwykle myśli próżnia
I że nagana mądrych od głupców wyróżnia.
Głównym celem uwielbień własna dlań osoba,
Więc rozmowa z drugimi mu się nie podoba;
A założywszy ręce i z powagą siadłszy,
Słuchając mimochodem, z góry na świat patrzy.

Klitander (do Celimeny).

Opisała go pani dokładnie i jasno.

Akast.

Jakbym jego sylwetkę miał przed sobą własną.

Alcest.

Brawo! pozwólcie sobie, szanowni panowie.
Widzę, że tutaj każdy ulega obmowie;
Lez ci, którym dobrego słowa dać nie warto,
Niech się jeno ukażą, to z dłonią otwartą
Każdy do nich pospieszy, i z wielkiém weselem
Serdecznym się ich będzie mienił przyjacielem.

Klitander.

Lecz jeżeli ta mowa prawość pańską rani,
To zechciéj przedewszystkiem zwrócić się do pani.

Alcest.

Owszem, do panów mówię; ta pani jeżeli
Obmawia, to dla tego, by się goście śmieli.

Humor jéj satyryczny jest zbyt wybujały,
Bo zachętą dla niego są panów pochwały,
I w swoich złośliwościach nie szłaby wciąż daléj,
Gdybyście jéj panowie nie przyklaskiwali.
Bo przyczyny wad naszych niech każdy w tém szuka:
Jeśli one wzrastają, to pochlebców sztuka.

Filint.

Lecz po co te wymówki? wszakże się zastanów,
Czy nie surowiéj jeszcze sam sądzisz tych panów?

Celimena.

Humor pana Alcesta stale go nakłania,
By był ciągle od innych przeciwnego zdania;
To jest jego zasadą, a zawsze i wszędzie
Ten w nim duch sprzeciwieństwa na jaw się dobędzie.
Nigdy na cudze zdanie zgodzić się nie raczy:
Pan mówisz tak, pan Alcest odpowie inaczéj.
Zdaje mu się, że z ludźmi żyć w zgodzie nie można,
A przytakiwać innym rzecz dla niego zdrożna.
To już się pokazuje w najdrobniejszéj rzeczy:
Nieraz byle zaprzeczać, sam sobie zaprzeczy,
I gotów to, co wyrzekł, w każdém cofnąć słowie,
Jeśli kto inny zdanie podobne wypowie.

Alcest.

Możesz pani bezpiecznie mówić na mnie daléj,
Bo ci panowie będą twą stronę trzymali.

Filint.

Ależ to szczera prawda, iż cobądź kto powie,
Już z góry zaprzecznie rodzi się w twéj głowie,
I czy surowe będzie zdanie czy łaskawsze,
Pochwałę czy naganę ty potępisz zawsze.

Alcest.

Bo jakiekolwiek zdanie wyrzeczone będzie,
To ludzie nigdy racyi nie mają w tym względzie;
Cały ich bowiem bliźnich systemat obrończy
Bezczelną się pochwałą lub oszczerstwem kończy.

Celimena.

Ależ...

Alcest.

Nie, wierz mi pani, że ja na tę drogę
Zabawy cudzym kosztem wejść nigdy nie mogę.
Zachowanie tych panów samo się ocenia:
Chwalą w tobie to, co jest godném potępienia.

Klitander.

A ja w pani dotychczas, może się i mylę,
Nie dopatrzyłem dotąd wad straszliwych tyle.

Akast.

Ja widzę w pani wdzięków i dowcipu wiele,
Ale wad nie dostrzegam, przyznaję to śmiele.

Alcest.

Ja zaś widzę je dobrze, nie dopiero teraz,
Wypowiadałem pani już to bowiem nieraz.
Kto kocha, ten nie schlebia według mego zdania
I szczerość prawdziwego jest miarą kochania.
Gdybym zaś był kobietą, pogardzałbym zgrają
Tych wszystkich, co mi tylko ciągle pochlebiają,
I co chcąc coś skorzystać na miłości szali,
Wciąż kadzą moim wadom, chociażby je znali.

Celimena.

Więc, według pana zdania, miłości zasada
W tém leży, by dręczyć tę, któréj się hołd składa?
I tém się jéj dowodzi uznania i cześci,
Jeśli jéj się wymyśla ciągle co się zmieści?

Elianta.

„Miłość się kształci według odmiennego wzoru,
„Prawdziwie zakochani szczycą się z wyboru.
„Sąd w ich uczuciu leży, a to im się chwali,
„Bo widzą wszystko dobre w tém, co ukochali.
„Kto raz kochał prawdziwie, ten nie wątpi o tém,
„Że w ukochanéj wada staje się przymiotem;
„Zbyt blada jako jaśmin wydaje się białą.
„Czarna rośnie w ich oczach w brunetkę wspaniałą,
„Chuda ma wiotką kibić liliowego kwiatu,
„Otyła kwitnie w kształty pełne majestatu,
„Ta, która na domycie się żałuje ręki,
„Jest pięknością niedbałą, ufną w swoje wdzięki,

„Olbrzymka jest boginią i królową ludów,
„Karlica jest skróceniem jasnych świata cudów,
„Dumna ma swoją wartość królowania godną,
„Oszustka jest rozumną, a głupia łagodną,
„Gadulska swym dowcipem sprawia nam wesele,
„Małomówna skromności ma tylko zbyt wiele.
„To jest prawdziwa miłość, i w taki to sposób
„Uszlachetniamy wady ukochanych osób" *).

Alcest.

A ja twierdzę, że...

Celimena.

Lepiéj zmieńmy treść rozmowy,
Może panowie salon mój zwiedzicie nowy?
Nie odchodzicie?

Klitander.

O, nie!

Akast.

Przynajmniéj w téj chwili.

Alcest (do Celimeny).

Lękasz się, by sam na sam nas nie zostawili;
A ja pani oświadczam tu z sercem na dłoni,
Że się nie ruszę, póki nie odejdą oni.

---

*) Wiersze oznaczone cudzysłowami są żywcem wzięte z Lukrecyusza, którego przekładu Molière dokonał był w całkowitości, następnie jednak spalił go.

Akast.

Ja już do tych wykwintnych grzeczności przywykłszy,
Zostanę, aż się moja obecność nie sprzykrzy.

Klitander.

Co do mnie, chcę wieczorem stawić się na dworze,
Lecz żadnéj pilnéj sprawy nie mam o téj porze.

Celimena (do Alcesta).

Panie, to chyba żarty.

Alcest.

Ja żartów nie robię:
Chcę wiedzieć, kogo pani zachowa przy sobie.

SCENA VI.

Alcest, Celimena, Elianta, Akast, Filint, Klitander, Bask.

Bask (wchodząc, do Alcesta).

Jakiś człowiek, co w ręku duży papier niesie,
Pragnie się widzieć z panem w pilnym interesie.

Alcest.

Ja nie mam interesów, idź, powiedz mu o tém.

Bask.

On ma na sobie mundur wyszywany złotem
I poły haftowane.

Celimena.

Sprzeczać się daremnie:
Dowiedz się pan kto to jest.

SCENA VII.

Alcest, Celimena, Elianta, Akast, Filint, Klitander, Żołnierz ze straży marszałkowskiéj.

Alcest (idąc naprzeciwko żołnierzowi).

Co pan chcesz odemnie?
Proszę bliżéj.

Żołnierz.

Mam panu powiedzieć dwa słowa.

Alcest.

Wszystko jedno, może być głośną ta rozmowa.

Żołnierz.

Od sądów marszałkowskich mam tu przykazanie,
Byś się raczył przed nimi zaraz stawić, panie.

Alcest.

Ja?

Żołnierz.

Tak, pan.

Alcest.

Na pomyłkę to chyba zakrawa.

Filint (do Alcesta).

Wcale nie, to z Orontem twoja śmieszna sprawa.

Celimena (do Filinta).

Jakto? co?

Filint.

Mają z sobą rachuneczek mały
O wiersze, które jemu się nie podobały.
Panowie marszałkowie chcą zagodzić sprawę.

Alcest.

A ja odrzucam to ich wdanie się łaskawe.

Filint.

Tak, ale to jest rozkaz, więc nie ma sposobu.

Alcest.

Jak można na tym punkcie pogodzić nas obu?
Czyż pomimo powagi marszałkowskiéj całéj,
Mam chwalić wiersze, co mi się nie podobały?
Jeszcze raz do tej strasznéj przyznam się tu zbrodni:
To są liche wierszydła.

Filint.

Sądź trochę łagodniéj.

Alcest.

Trudno: co złe, na dobre już się nie przemienia.

Filint.

Ale miejże troszeczkę choć wyrozumienia;
Pójdź ze mną.

Alcest.

Dobrze, pójdę, gdy chcesz tego; ale
Tych głupich wierszy za nic w świecie nie pochwalę.

Filint.

Więc pójdźmy.

Alcest.

Chyba rozkaz da mi król wszechwładny,
Żebym pochwalił wiersze bez wartości żadnéj;
Inaczéj, a tém zdaniem przy wszystkich się szczycę,
Skazałbym ich autora wprost na szubienicę.
(Do Klitandra i Akasta, którzy się śmieją:)
A znów nie wiem, z czego się panowie śmiejecie,
Bo to wcale nie śmieszne.

Celimena (do Alcesta).

Idźże już pan przecię.

Alcest.

Idę więc, niechaj panią bawią swą rozmową;
Ale wrócę i dyskurs rozpocznę na nowo.

AKT III.

SCENA I.

Klitander, Akast.

Klitander.

Chodzisz, drogi markizie, z podniesioną głową,
I wszystko ci się jakoś przedstawia różowo;
Więc pomówmy raz szczerze, niech i ja ocenię,
Co ci sprawia serdeczne to zadowolenie?

Akast.

Rozpatrując się w sobie, mogę wyrzec śmiele,
Że powodów do zmartwień mam bardzo niewiele.
Jestem młody, bogaty i pochodzę z domu,
Co w szlachectwie ustąpić nie zdoła nikomu,
I choć o wywyższenie mało starań czynię,
Żadna mnie jeśli zechcę godność nie ominie.
Odwaga, co w nas głównym winna być przymiotem,
Nie zawodzi mnie nigdy; sam przecież wiesz o tém,
Że kiedy mi się zdarzy sprawa honorowa,
To niełatwo się w pochwę szpada moja chowa.

Mam rozum, i nie brak mi wytrawnego zdania,
Mogę sądzić o wszystkiém bez przygotowania.
Nieraz miejsce na scenie gdy zajmę widoczne *)
I bacznie grę artystów rozpatrywać pocznę,
To jak mi się podoba coś i krzyknę brawo,
Wszystkie ręce do góry podnoszą się żwawo.
Jestem zgrabny, przystojny, mam urodę wszelką,
Bo zęby jak śnieg białe i nogę niewielką;
Strój mój zawsze gustowny, wyznam nawet szczerze,
Że nikt ze mną o lepsze nie pójdzie w téj mierze.
Szacunek dobrych ludzi otacza mnie wszędy,
Mam łaski u płci pięknéj i u dworu względy,
A i w każdéj się znaleźć potrafię potrzebie...
Któżby w takich warunkach nie był kontent z siebie?

Klitander.

Tak, lecz jeśli u kobiet wszędzie jesteś w cenie,
Po cóż się tu zalecasz próżno Celimenie?

Akast.

Téj wyrozumiałości nie mam ani trochy,
Bym mógł i chciał kobiece darmo znosić fochy.
Niechaj sobie zwyczajni ludzie całą zgrają
Do serc nieczułych naszych piękności wzdychają
I codziennie odmowę od nich słysząc świeżą,
Mdleją na ich spojrzenie i u nóg ich leżą;

---

*) Za czasów Molièra młodzi paniczowie dworscy zasiadali z obu boków na scenie przed kulisami. Miejsca te były w modzie i wielce poszukiwane.

Niechaj wierzą, że stałość tworzy czasem cuda
I że w końcu wzajemność wyżebrać się uda;
Lecz tacy ludzie jak ja, mój markizie drogi,
Nie rzucają na kredyt miłości pod nogi.
My wierzymy w to, żeśmy wszystkich kobiet godni,
Niech będzie najpiękniejszą, jam nie gorszy od niéj:
Tak jest, jeżeli serca pożąda ode mnie,
To niech mi równą miarą odpłaca wzajemnie,
I podąża wraz ze mną w sentymentów drogę,
Bo na wspólny koszt tylko ja się kochać mogę.

Klitander.

A więc sądzisz, markizie, że ona ci rada?

Akast.

Mam do tego, markizie, powody nielada.

Klitander.

Może ci zdanie moje nieprzyjemném będzie;
Ale mniemam, że sobie pochlebiasz w tym względzie.

Akast.

Tak, tak, pochlebiam sobie, to rzecz niewątpliwa.

Klitander.

Lecz o jéj wzajemności cóż cię przekonywa?

Akast.

Nic... at! Łudzę się tylko.

Klitander.

Lecz możesz bez przeszkody
Powiedzieć mi...

Akast.

Mylę się.

Klitander.

Jakie masz dowody?

Akast.

Jestem ślepy widocznie.

Klitander.

Mówże szczerze ze mną...
Czyliż wyznała kiedy, że ci jest wzajemną?

Akast.

Gdzież tam!... nie, nigdy w świecie.

Klitander.

Nie bądźże uparty;
Powiedz...

Akast.

Ach! odrzuca mnie!

Klitander.

Lecz po cóż te żarty?
Czyż ci wyznała miłość głośno albo z cicha?

Akast.

Nie: ona ciebie kocha, ona mnie odpycha,
Iskrą nawet nadziei darzyć mnie nie raczy,
I wierz mi, że się wkrótce powieszę z rozpaczy.

Klitander.

To trudno, nie chcę sprzeczać się z tobą na nowo;
Ot lepiéj zobopólną związżmy się umową,
Że który z nas na pewno już się znajdzie w prawie
Sądzić, iż jego miłość przyjęta łaskawie,
Ten będzie się mógł daléj zalecać bez trwogi,
A zaś drugi spokojnie ustąpi mu z drogi.

Akast.

Wiesz, kochany markizie, to wyborna rada,
I jak raz mi ta próba do serca przypada;
Więc...

SCENA II.

Celimena, Akast, Klitander.

Celimena (wchodząc).

Panowie tu jeszcze?

Klitander.

Wiedzeni tą samą
Miłością, my...

Celimena (wyglądając przez okno).

Kareta stanęła przed bramą;
Któżby to?

SCENA III.

Celimena, Akast, Klitander, Bask.

Bask.

Arsynoe odwiedzić przybyła
Panią.

Celimena.

A toż dopiero niespodzianka miła!

Bask.

Tam z panią Eliantą rozmawiają sobie.

Celimena.

Przyjeżdża, kto ją prosił? co ja tu z nią zrobię?

Akast.

To niby nabożnisia na sposób dzisiejszy,
Kiedy tymczasem w gruncie...

Celimena.

Fałsz najwierutniejszy!
Okrywając się mianem cnotliwéj kobiety,
Chciałaby złowić kogo, bez skutku, niestety!
Więc spogląda z zawiścią i złością tajoną

Na te, które otacza wielbicieli grono,
I gniewa się na Niebo, na losy, na ludzi,
Że jéj ułudna minka nikogo nie złudzi.
W sercu do świata ciągle kryjąc zawiść płaską,
Osłania swą samotność świętoszkowstwa maską,
I gdy kochanków wdzięki jéj ściągnąć nie mogą,
Powiada, że to grzechem jest wyróżniać kogo.
A jednak mieć kochanka jéj by się przydało,
I nawet do Alcesta czuje słabość małą,
I nie mogąc z nim stworzyć miłosnego stadła,
Powiada sobie w duszy, żem go jéj ukradła.
Że zaś jest to kobieta zawzięta ogromnie,
W gruncie serca nienawiść wielką czuje do mnie,
Tém bardziéj, że nie może mnie zaczepić o to;
U niéj impertynencya miesza się z głupotą.
I...

SCENA IV.

Arsynoe, Celimena, Klitander, Akast.

Celimena (podbiegając do Arsynoi).

Jakiż traf szczęśliwy sprowadza tu panią!
Doprawdy zatęskniłam się już prawie za nią.

Arsynoe.

Kilka słów tylko z panią mam do pomówienia.

Celimena.

Prawdziwie odgadujesz pani me życzenia.

(Akast i Klitander wychodzą śmiejąc się.)

SCENA V.

Arsynoe, Celimena.

Arsynoe.

Dobrze, że nam swobodne zostawili pole.

Celimena.

Może pani usiądzie?

Arsynoe.

Dziękuję, stać wolę.
Czuję się w obowiązku wyznać pani szczerze,
Iż przyjaźń, mojém zdaniem, leży w dobréj wierze,
Z którą życzliwym naszym udzielamy radę.
A że na pierwszém miejscu zawsze honor kładę,
Więc tuszę, iż życzliwość nadaje mi prawo
Trudzić panią jéj własną honorową sprawą.
Wczoraj byłam w poważnym domu, a tam cała
Rozmowa ogólnie się do pani zwracała;
I choćbyś miała nawet być tém obrażoną,
Muszę przyznać, że wcale cię tam nie chwalono.
Ten tłum ludzi, co się tu przemienia co chwila,
I wiecznie się na hołdy dla ciebie wysila,
I ta twoja uprzejmość, która wszystkich nęci,
Stały się tam przedmiotem ogólnéj niechęci.
Wprawdzie ja, tak jak zawsze bronić cię gotowa,
Starałam się odeprzeć te ich ostre słowa,
Mówiąc, że się nie trzeba uwodzić pozorem
I ręcząc za twój honor mym własnym honorem,—

Ale wiadomo pani, jak świat to ocenia.
Są rzeczy niepodobne do wytłómaczenia,
I trzeba było wyznać choćby przez połowę,
Że to powietrze, w którém żyjesz, jest niezdrowe.
Bo wszystko sobie ludzie tłómaczą opacznie,
A plotka nie spoczywa, jak raz krążyć zacznie;
Więc ostrożność do pewnych ustępstw panią skłania,
Ażeby złagodniały te surowe zdania.
Nie śmiem myśleć, niech Bóg mnie od tego uchowa,
By o obrazie cnoty była tutaj mowa;
Lecz trzeba się oglądać na opinię ludzi,
U których cień najmniejszy podejrzenie budzi.
Sądzę więc, że rozsądek pani doświadczony
Wszystko, com tu wyrzekła, weźmie z dobréj strony,
I że moja przestroga pożytek przyniesie,
Bo przecięż mówię tylko w pani interesie.

Celimena.

I owszem, wiem, że przyjaźń przez panią jedynie
Przemawia; więc i ja też to samo uczynię.
Strzeżesz mego honoru, i ja także mogę
Strzedz twojego, nawzajem dając ci przestrogę.
Szczeréj przyjaźni przykład dałaś mi gotowy,
Powtarzając te wszystkie plotki i obmowy;
Piękny wzór naśladując, ja toż samo zrobię
I doniosę ci szczerze, co mówią o tobie.
Niedawno w pewnym domu, niech cię to nie dziwi,
Gdzie byli sami ludzie zacni i poczciwi,
Rozbierano cnot ludzkich zadania i cele,
A i o tobie, pani, rozmawiano wiele.

Znaleźli się dziwacy tam, którzy, rzecz zdrożna,
Mówili, jako wzoru brać z ciebie nie można.
Mówili, że powagi ten pozór wspaniały,
Ciągle brzmiące w twych ustach cnotliwe morały,
Oburzanie się twoje w sposób tak gorący,
Gdy lada dziewczę powie naiwność niechcący,
Słodko-kwaśne przestrogi, jakich w każdéj chwili
Udzielasz ludziom, którzy nic nie zawinili,
I system surowości twój ogólnie znany,
Stały się tam przedmiotem powszechnéj nagany.
Po co ta mina szorstka (powtarzam ich zdania),
I uroczysty nastrój, którym się osłania,
I odmawianie modlitw z wielką czasu stratą,
Gdy nie płaci służącym a bije ich za to?
Z dewotkami w pobożnéj brata się naradzie,
A jest skrycie kokietką i blansz na twarz kładzie,
Każe nagość przykrywać na obrazach, ale
Nagości rzeczywistéj nie lęka się wcale.
Ja, naturalnie biorąc wciąż pani obronę,
Mówiłam, że to wszystko plotki są zmyślone;
Ale czeredą na mnie uderzyli całą
Twierdząc, żeby się pani ogromnie przydało,
Gdyby sąd twój o innych był bardziéj łaskawy,
A za to, byś o swoje troszczyła się sprawy;
Że trzeba wiernie naprzód ważyć każde słowo,
Nim się innych potępi niesłuszną obmową,
I że nie zawsze dobrze to jakoś wypada
Widzieć źdźbło w swojém oku, belkę u sąsiada;
Że kto zapragnie ludzi poprawiać łaskawie,
Ten wpierw myśleć powinien o własnéj poprawie,

I że się najwłaściwiéj zajmą tą potrzebą
Ci, którym obowiązek ten zleciło Niebo.
Sądzę więc, że rozsądek pani doświadczony,
Wszystko, com tu wyrzekła, weźmie z dobréj strony,
I że moja przestroga pożytek przyniesie,
Bo przecięż mówię tylko w pani interesie.

Arsynoe.

Wiem, że prawda jest zwykle dla ludzi dotkliwą;
Lecz nie myślałam tego nigdy, jako żywo,
Że ci moja przestroga będzie tak niemiłą,
I że cię to, jak widać, do serca zraniło.

Celimena.

Owszem, gdyby na świecie szczerość była znana,
Przydałaby się bardzo taka zdań zamiana;
Ludzieby się przynajmniéj nauczyli od niéj,
Sądzić siebie surowiéj a drugich łagodniéj.
Wierzaj mi pani, jeśli to dogadza tobie,
Możemy porozmawiać daléj w tym sposobie,
I powtórzyć dokładnie, jasno a przytomnie,
Com słyszała o pani, coś słyszała o mnie.

Arsynoe.

Ja nic złego o pani rzec się nie ośmielę;
A we mnie do nagany będzie bardzo wiele.

Celimena.

Wszystko się źle i dobrze na świecie ocenia,
To zależy od wieku i usposobienia.

Jest pora do miłostek, i pora, ażeby
Niepokalaną cnotą stroić się z potrzeby.
Zwykle takie pochopy w sercu naszém rosną,
Gdyśmy się pożegnali z pierwszą życia wiosną.
Ta surowość od wielu rozczarowań broni.
Nie powiem, bym się kiedyś nie uciekła do niéj;
Ale wiek ma swe prawa, a rzecz znów nie zdrożna,
Użyć swych lat dwudziestu, kiedy tylko można.

Arsynoe.

Ten przywiléj zbyt wielką radość w pani iści.
Bardzo przemijające są wieku korzyści;
Nie warto, byś tak szumnie je tu ogłaszała.
Między nami różnica lat jest bardzo mała,
I nie pojmuję nawet, co się stało tobie,
Że pragniesz mi dokuczyć w tak dziwnym sposobie?

Celimena.

A i ja nie rozumiem, z jakowéj przyczyny
Pani wciąż we mnie nowe wyszukujesz winy.
Czyżem się wzbogaciła twéj młodości stratą?
A żeś osamotniona, cóż ja wskóram na to?
Jeśli tak już się dzieje, że moja osoba
Ludziom żądnym miłości może się podoba,
I oświadczenia do mnie wbrew twéj woli płyną,—
To już trudno, nie moją tak się dzieje winą.
A że nie pragnę pani wzbogacać się stratą,
Możesz ich sobie zabrać, gdy się zgodzą na to.

Arsynoe.

I któż tak bardzo o tych wielbicieli stoi,
Którzy miłości własnéj dogadzają twojéj?
Wiem, pani, jakim kosztem oni pod twą władzą
Gromadzić się i potém przytrzymywać dadzą.
Czyliż mniemasz, iż świat ma zawiązane oczy
I wierzy, że ich jedna sam twój wdzięk uroczy,
Że prawa miłość rządzi tą kochanków zgrają,
I że dla twych cnot tylko ciebie pożądają?
Takim lichym podstępom już dziś nie przystało
Świat cały otumaniać. Znam kobiet niemało
Zdobnych w pyszne przymioty i duszy i ciała,
Chociaż ich nie oblega ta hałastra cała.
Ztąd wynik, że chcąc naszéj wykwintnéj młodzieży
Podobać się, coś wzajem poświęcić należy,
Że sam blask pięknych oczu nie zwabi nikogo
I że takie miłości opłaca się drogo.
A więc daremnie próżność twoja się nadyma,
Że w swych więzach tych kilka serc zwietrzałych trzyma.
To jest zwycięztwo bardzo wątpliwéj natury,
I nie powód, by za to patrzeć na nas z góry.
Każdą kobietę tacy z łatwością oblegą.
Możnaby to dokazać bez trudu żadnego
I dowieść tobie, pani, że zawsze i wszędzie
Ta, która chce kochanków, łatwo ich zdobędzie.

Celimena.

I owszem, życzę, by się pani poszczęściło.
Podbijaj jak chcesz serca wdzięków twoich siłą,
A jeśli...

Arsynoe.

Lepiéj niech się skończy ta rozmowa.
Można dojść za daleko od słowa do słowa,
I byłabym już dawno pożegnała panią,
Lecz méj karety nie ma; muszę czekać na nią.

Celimena.

Niech się pani nie spieszy; bo mieć tu ją w gości,
To dla mnie, chciéj mi wierzyć, wiele przyjemności.
Wszak zbytnich ceremonij nie robimy obie,
A że pochlebiać wcale tu nie myślę sobie,
Śmiem sądzić, że z Alcestem, co się właśnie jawi,
Rozmowa pani pójdzie przyjemniéj i żwawiéj.

SCENA VI.

Alcest, Celimena, Arsynoe.

Celimena.

W samą porę się tutaj zjawiłeś, Alceście;
Mam bowiem kilka listów rozesłać po mieście,
Więc muszę odejść, chociaż przykrość mi to czyni,
Pani wybaczy, jeśli zastąpisz mnie przy niéj.

SCENA VII.

Alcest, Arsynoe.

Arsynoe.

Celimena, jak widzę, pozbyć się mnie rada;
A że tu na karetę czekać mi wypada,

Zrobiła mi przysługę wyjściem niespodzianém,
Nastręczając sposobność pomówienia z panem.
Pomiędzy tymi, którzy sercem i rozumem
Niewątpliwie górują ponad zwykłym tłumem,
Pan trzymasz jedno z pierwszych miejsc bez zaprzeczenia;
Zalety pańskie każdy należnie ocenia.
Ja sama, niech to pana bynajmniéj nie dziwi,
Chciałabym, by dwór pana cenił sprawiedliwiéj.
Słusznie możesz się skarżyć, że jeden lub drugi
Z dworzan więcéj ma szczęścia, chociaż mniéj zasługi.

Alcest.

Ja, pani? Ależ ręczę jak najuroczyściéj,
Że państwo ze mnie żadnych nie miało korzyści;
Nie zdam się na nic, mówię to z głębi sumienia,
A więc nie mam praw żadnych do wynagrodzenia.

Arsynoe.

Jednak ci, których łaska u dworu jest znana,
Czyliż tych zasług więcéj świadczyli od pana?
Sposobność je nastręcza w pokoju lub wojnie,
A zalety, któremi odznaczasz się hojnie,
Mogłyby...

Alcest.

Ależ, pani, wierzaj mi, nikogo
Te rzekome zalety obchodzić nie mogą,
I nie jest dziwném wcale, że dwór się nie trudzi,
By wydobywać na jaw skryte cnoty ludzi.

Arsynoe.

Cnota promieni na jaw już z istoty swojéj,
A wiem, że wielu ceni pana, jak przystoi;
Mnie saméj już niejedna rozmowa jest znana,
W któréj wpływowi ludzie wciąż chwalili pana.

Alcest.

Proszę pani, to dzisiaj przykład nie jedyny,
Że dobrzy ludzie lubią chwalić bez przyczyny.
Takie pochlebne zdania po ulicach biegą,
A słusznie czy niesłusznie, chwalą dziś każdego.
By sobie zjednać ludzi, świat byle co plecie.
Już i lokaja mego chwalono w gazecie.

Arsynoe.

A jabym chciała, żeby właśnie dla odznaki
Dwór panu mógł powierzyć ważny urząd jaki,
I gdybyś pan chciał tylko wyrzec tutaj słowo,
Dopomódz mu w tym względzie byłabym gotową.
Znam wielu ludzi możnych, co byliby w stanie
Spełnić na moje prośby to łatwe zadanie.

Alcest.

A cóżbym, proszę pani, ja robił na dworze?
Nie jestem tego godzien wyznaję w pokorze.
Trudno, pani, już we mnie jest natura taka,
Że ja się w żaden sposób nie zdam na dworaka.
Nie umiem, cudzą na się przybierając skórę,
Zręcznemi środeczkami wybijać się w górę.

Moim przymiotem szczerość; z niéj głównie się chlubię,
I pochlebstwami ludzi ujmować nie lubię.
Kto, jak ja, prosty w sercu, a w słowach swych szczery,
Ten już dzisiaj na świecie nie zrobi karyery.
Prawda, że chcąc na siebie pańskie zwrócić oko,
Można kwitnąć na dworze i urość wysoko,
Lecz kto tego nie czyni, ma pociechę za to,
Że się powszednią głupców nie cieszy zapłatą,
Że przed lada-kim karku nie uchyla błogo,
Że nie musi wychwalać wierszy lada-kogo,
Że w obec pań wpływowych z wdziękiem się nie kłoni
I steranym markizom nie podaje dłoni.

Arsynoe.

Więc odkładając na bok rozmowę w téj mierze,
O twych sercowych sprawach pomówmy tu szczerze.
Bo sam pan przyznaj, czyliś nie zasłużył na to,
By się twa miłość lepszą cieszyła zapłatą,
By ciebie odróżniano w wielbicieli tłumie?
Ta, którą ukochałeś, cenić cię nie umie.

Alcest.

Ale osoba, któréj oziębłość cię drażni,
Wszakże od dawna, pani, jest z tobą w przyjaźni?

Arsynoe.

Tak jest; pomimo tego, czuję jako żywo,
Że bardzo względem pana jest niesprawiedliwą,
I wiedząc, jak nad tobą silną jest jéj władza,
Oburzam się, że ciebie tak niegodnie zdradza.

Alcest.

Nie wiem, czy się w jéj sercu czarna zdrada chowa;
Lecz dla zakochanego przykre są te słowa.

Arsynoe.

Choć moją przyjaciołką jest, niesłusznie rości
Prawo do takiéj zacnéj jak pańska miłości,
Któréj ta lekkomyślność nawet nie wyziębi.

Alcest.

Powtarzam pani: nie wiem, co w serca jéj głębi,
Lecz lepiéjbyś zrobiła, śmiało to rzec mogę,
Zachowując przy sobie tę smutną przestrogę.

Arsynoe.

Gdy pan wszystko z wdzięcznością tak przyjmujesz od niéj,
Milczeć można; to stokroć łatwiéj i dogodniéj.

Alcest.

Owszem, ja szczerość pani jak należy cenię;
Lecz w takich razach zawsze najgorsze zwątpienie,
I pragnąłbym, nim miłość od serca odtrącę,
Posiąść jakie dowody przekonywające.

Arsynoe.

Jeśli pan pragniesz tego szczerze, jak śmiem wnosić,
To tym żądaniom łatwo uczynić zadosyć.

Od razu mogę na jaw wyprowadzić zdradę
Téj pani. Że do domu teraz właśnie jadę,
Chciéj pan pojechać ze mną. Według twéj metody,
Jawne jéj niewierności złożę ci dowody;
A wówczas, rozpatrzywszy te miłosne grzechy,
Może przy innéj szukać zapragniesz pociechy.

AKT IV.

SCENA I.

Elianta, Filint.

Filint.

Nie, nie widziałem nigdy, by człowiek był w stanie
Tak twardo i bezwzględnie wygłaszać swe zdanie.
Próżno się ci panowie silili z wymową,
By choć w części osłabił naganę surową.
Odpierając zarzuty ich z dziwnym spokojem,
Jak głaz nieporuszony obstawał przy swojém.
„O! nie, panowie, mówił, nie, to być nie może;
„Na wszystko ja się zgodzę, lecz na to, broń Boże.
„W czémże go ma obrażać ten sąd mój najszczerszy?
„Czyż to hańbą dla niego nie pisać złych wierszy?
„Można być, zdobiąc umysł niejedną zaletą,
„Bardzo zacnym człowiekiem, a złym wierszokletą.
„Honoru to mu ujmy nie przynosi żadnéj.
„Przyznaję, że to człowiek grzeczny i układny,
„Że przed nim się otwiera horyzont najszerszy,
„Że ma jaki chce talent, byle nie do wierszy.

„Pochwalę, jeśli trzeba, jego strój wzorowy,
„Znawstwo koni i broni, tańców i wymowy:
„Tylko co do tych rymów wstrzymam moje zdanie.
„A jeżeli kto lepszych pisać nie jest w stanie,
„Ten powinien w milczeniu zamknąć się głębokiém.
„Chyba, że sąd, na rymy skaże go wyrokiem."
Nareszcie, gdy zerwania wszystko było blizkiém;
Zaledwie już zdołano z największym naciskiem
Wymódz przecięż od niego tę poprawkę małą:
„Bardzo mi przykro, panie, że się tak już stało,
„I dla miłości twojéj chciałbym z duszy całéj,
„Aby mi się te wiersze lepiéj podobały."
Z niemałym to od niego dobyto frasunkiem,
I ów spór się nareszcie skończył pocałunkiem.

Elianta.

Tak, szczególny to człowiek i dziwak nielada,
Ale mi to dziwactwo do serca przypada,
I chociaż w swoich zdaniach wydaje się zrzędny,
Jest coś heroicznego w szczerości bezwzględnéj.
W naszym zepsutym wieku rzadka to jest cnota,
I chciałabym, by szerzéj świat jéj otwarł wrota.

Filint.

Ja przeciwnie, dziwię się temu niepomału;
Nie rozumiem takiego szczerości zapału.
Bo kto o zdaniu świata tak niewiele tuszy,
Niech nie daje miłości przystępu do duszy;
Témbardziéj, że, jak wszyscy dobrze wiedzą o tém,
Téj miłości jest twoja kuzynka przedmiotem.

Elianta.

To dowodzi, że miłość nasza się ocenia
Nie według serc sympatyi i usposobienia,
I błądzą ci, którzy chcą sądzić na ten sposób
Głębokie serc uczucia i skłonności osób.

Filint.

Ależ ona, czyliż go miłuje wzajemnie?

Elianta.

Tu już zbyt wiele może pan żądasz ode mnie.
Nawet przypuszczeń żadnych w tym względzie nie robię
Gdyż ona sama o tém sprawy nie zda sobie.
Może bez świadomości miłuje go stale,
Albo myśli, że kocha, a nie kocha wcale.

Filint.

Co bądź jest w niéj, czy miłość szczera, czy udanie,
Ten związek źródłem zmartwień dla niego się stanie,
I gdyby tylko zechciał słuchać mego zdania,
Znalazłby przedmiot stokroć godniejszy kochania;
Bo stłumiwszy tę miłość, którą płonie dla niéj,
Mógłby może współczucie w tobie znaleźć, pani.

Elianta.

Ja udawać nie lubię; owszem stale wierzę,
Że trzeba w takich razach postępować szczerze.
Nie pragnę, by w uczuciach jego zaszła zmiana.
Jestem jéj przyjaciółką, i zapewniam pana,

Że gdyby wpływ mieć mogły dobre chęci moje,
Jużby się dawno ślubem złączyli oboje.
Lecz gdyby w swych tryumfach zatopiona cała
Obojętnie tę jego miłość przyjmowała,
A wyróżniając gacha z tych, co na lep biegą,
Odtrąciła serdeczne wynurzenia jego
I ofiarę małżeństwa odrzuciła dumnie,—
Możeby mógł pociechę jeszcze znaleźć u mnie.

Filint.

Trudno, pani, choćby się tak, jak mówisz, stało.
Wiem, że jesteś szlachetną i wyrozumiałą.
Możesz go nawet spytać, że z uznaniem całém
To, co słyszę od ciebie, sam mu powtarzałem.
Lecz gdyby przy korzystnéj jakiéj losów zmianie
Celimena przyjęła to jego wyznanie,
To dozwól, Opatrzności uznając w tém dzieło,
Że ja pożądam szczęścia, co go ominęło,
I nie chciéj dłużéj trapić zwątpień niepokojem
Serca, które wyłącznie i stale jest twojém.

Elianta.

Chyba żarty, Filincie?

Filint.

Nie, pani; bo jawna
Miłość dla ciebie w sercu mojém tkwi od dawna.
Wyczekiwałem tylko, by w sposobnéj dobie,
Uczucie, którém pałam, szczerze wyznać tobie.

SCENA II.

Alcest, Elianta, Filint.

Alcest.

O, pani! po pociechę do ciebie przychodzę:
Masz przed sobą człowieka zdradzonego srodze.

Elianta.

Cóż znowu? Cóż się panu tak strasznego stało?

Alcest.

Ledwie mogę to duszą ogarnąć zbolałą,—
I nie więcéjbym cierpiał, gdyby wszystkie siły
Swoje piekielne gromy na mnie wymierzyły.
Brak mi słów... Już się stało... To miłości mojéj
Zaguba!...

Elianta.

Ale niechże się pan uspokoi.

Alcest.

I jakże to być może, by w tak piękném ciele
Mieściło się przewrotnéj niewiary tak wiele?!

Elianta.

No, ale cóż się stało?

Alcest.

Przewrót niespodziany!

Tak, pani, jam zdradzony, jam zamordowany!
Celimena!... chciéj zmierzyć otchłań méj boleści...
Celimena mnie zdradza bez wiary i cześci!

Elianta.

Może też podejrzenie niesłuszne cię łudzi?

Filint.

Trudno znów tak od razu chcieć potępiać ludzi,
I trzeba się przekonać jasno, a przytomnię.

Alcest (do Filinta).

Proszę cię, mój łaskawco, nie wtrącaj się do mnie.
(Do Elianty:)
Pani sama się taką zadziwisz niecnotą.
Mam jéj list własnoręczny tu, w kieszeni oto.
Tak, list jéj do Oronta, w którym jasno stoi
Cały dowód jéj zdrady, a niełaski mojéj,—
Do Oronta, którego w zbiegowisku całém
Mych rywali ja sam się najmniéj obawiałem.

Filint.

Listy, które do różnych pisujemy osób,
Tłómaczyć sobie można w zły lub dobry sposób.

Alcest (do Filinta).

Raz jeszcze memu panu uwagę uczynię,
Abyś się sobą tylko zajmował jedynie.

Elianta.

Ależ trzeba to wszystko zbadać ze spokojem.

Alcest.

Pani! na zdaniu tylko chcę polegać twojém:
Ty jedna sprawić możesz wpływu twego siłą,
Aby się biedne serce to uspokoiło;
Tobie jednéj na krewnéj pomścić się przystało
Za krzywdę, którą miłość wynagradza stałą.
Tak! pomścij mnie! Wszak sama ją potępiasz, pani...

Elianta.

Pomścić! lecz jak?

Alcest.

Przyjmując serce moje w dani.
Niech czuje, jaka straszna ciąży nad nią wina!
To jest zemsta prawdziwa i zemsta jedyna.
Niech się widomą karą dla zdrajczyni stanie
Wdzięczność moja bez granic, szczere przywiązanie
I miłość, twych rozkazów ciągle słuchać rada,
Którą tu u stóp twoich sługa twój dziś składa.

Elianta.

Pojmuję, jakie ona zadała ci męki,
I wdzięczna wielce jestem za ofiarę ręki.
Lecz może miłość w duszy nie zagasła twojéj
I to pragnienie zemsty szybko się ukoi.
Krzywda od téj, co naszych uczuć jest przedmiotem,
Nastręcza tysiąc planów, zaniedbanych potém.

Na nic tutaj nie przyda się rozumowanie.
Ukochana, choć winna, niewinną się stanie.
Chcemy mścić się, a wszystko wybaczymy w końcu;
Bo gniew zakochanego to jest lód na słońcu.

Alcest.

O! nie, pani. Zbyt ciężką zadała mi ranę;
Zrywam z nią, i na wieki obcym jéj zostanę.
By uznać znów jéj władzę, nic mnie już nie skłoni.
Sambym pogardzał sobą, gdybym wrócił do niéj.
Otoż i ona. Widok jéj gniew we mnie dwoi.
Niech świadomość jéj winy oraz zemsty mojéj
Zarumieni ją wstydem! Niechaj wie, że całém
Sercem już pod twych wdzięków władzę się poddałem!

(Wchodzi Celimena; Elianta, Filint wychodzą.)

SCENA III.

Celimena, Alcest.

Alcest (na stronie).

Nieba! czyliż mą duszę ukoję zbolałą?

Celimena (do Alcesta).

Dalibóg nie rozumiem, co się panu stało?
Co te westchnienia pańskie przytłumione znaczą?
I ów wzrok, dziką jakąś ziejący rozpaczą?

Alcest.

To znaczy, że najgorsze na świecie szkarady

Ohydniejszéj niż twoja nie wymyślą zdrady,
I że chyba za karę Niebo ludziom zsyła
Taką, któraby tobie równą w złości była.

Celimena.

Brawo! Daléj pan słodką swą wymowę prowadź.

Alcest.

To nie pora do śmiechu; nie myślę żartować.
Owszem rumienić tylko pani się przystoi,
Bo niezbite dowody mam już zdrady twojéj.
Niby to odpłacałaś mą miłość wzajemnie,
A jednak słusznie tkwiło podejrzenie we mnie.
Naprożno mi robiłaś ułudną nadzieję:
Przeczuwałem nieszczęście, którém dziś boleję.
Gdyś na mnie siłę ułud wytężała całą,
O twéj niewierze serce wciąż mnie ostrzegało.
Lecz nie myśl, by ci zdradzać tak bezkarnie dano
I że bez zemsty krzywdy moje pozostaną.
Wiem dobrze, że nad sercem trudno trzymać straże,
I że nikt wzajemności gwałtem nie nakaże;
Wiem, że miłość swobodą lubuje się błogą,
I że do niéj przymusić nie można nikogo.
Więcbym się nie dziwował uczuć twoich zmianie,
Gdybyś chciała, niegodne rzuciwszy udanie,
Uwiadomić mnie szczerze o téj prawdzie smutnéj,
Tylko mógłbym na los mój żalić się okrutny.
Lecz dać mi czarę złudzeń wysączyć aż do dna,
To już podstęp haniebny i zdrada niegodna.

Za taką serca ranę ludzie mszczą się wszędy.
Więc niech cię gniewu mego nie dziwią zapędy.
Tak! pomścić się na tobie powinienem srodze,
Bo już nie władam sobą, od zmysłów odchodzę.
Takim strasznym w pierś moją uderzyłaś grotem,
Że wściekłość mnie porywa na samą myśl o tém.
Nawet przed sobą samym uczuwam już trwogę,
I nie odpowiem za to, co uczynić mogę.

Celimena.

W taki się dziwny sposób pan odzywasz do mnie,
Jak gdybyś już naprawdę mówił nieprzytomnie.

Alcest.

Tak jest, rozum i spokój już ode mnie stronią,
Odkąd truciznę wlałaś mi powabną dłonią,
I odkąd zaślepiony w tobie sercem całém,
Na nieszczęście, twe zdradne wdzięki ukochałem.

Celimena.

Lecz dajże się rozejrzeć w tym dziwnym słów tłumie.
Gdzież zdrada?

Alcest.

Jakże serce twe udawać umie!
Ale wnet się wykryje twa niewiara cała.
Patrz: przed tobą list oto, coś sama pisała.
Sama treść tego pisma obwinia cię, zdrożna.
Jest to świadek, którego wyprzeć się nie można.

Celimena.

Więc ten list jest powodem twego oburzenia?

Alcest.

Czyliż możesz nań patrzeć bez zarumienienia?

Celimena.

Jeszcze tu do rumieńców nie widzę przyczyny!

Alcest.

A więc zdradliwie własnéj wypierasz się winy;
Wypierasz się swojego pisma i pieczęci?

Celimena.

Wcale nie; wypierać się żadnéj nie mam chęci.
To ja ten list pisałam.

Alcest.

A więc oczywiście
Zdradziłaś mnie. Wszak tego dowody są w liście!

Celimena.

Doprawdy, dziwny sposób masz rozumowania.

Alcest.

A więc i to do szczerych wyznań cię nie skłania?
Wszak ten list do Oronta? A osnowa cała
Dowodzi, żeś mnie ciągle dla niego zdradzała.

Celimena.

Do Oronta? Któż ci rzekł, że ten list do niego?

Alcest.

Tacy, co mnie od zdrady i zawodów strzegą.
Lecz choćby do innego ten list był pisany,
Czyliż mniéj krwawe zada sercu memu rany,
A ty czyż niewinniejszą stać się możesz przeto?

Celimena.

A może ta osoba właśnie jest kobietą.
Więc po cóż takie skargi i ów gniew zawzięty?

Alcest.

A! tego już za nadto! Znów nowe wykręty!
Nie mogłem się spodziewać takiéj nowéj zmiany,
I teraz już zupełnie jestem przekonany.
Powiedz, jak śmiesz na takie ważyć się podstępy?
Czyliż sądzisz, iż umysł mój tak bardzo tępy,
Że przyjmie najpochopniéj tę wymówkę nową
I widocznemu kłamstwu uwierzy na słowo?
Powiedz sama, jak można i pomyśleć o tém,
Że tych wszystkich czułości kobieta przedmiotem?
I na dowód, że słusznie na ciebie się żalę,
Chciéj posłuchać...

Celimena.

A mnie się nie podoba wcale

Słuchać; bo twoja mowa szorstka i zuchwała
Wszelką już cierpliwości méj miarę przebrała.

Alcest.

Unosić się tu nie ma powodu; lecz raczéj
Chciéj mi pani wyjaśnić to wszystko inaczéj.

Celimena.

O! nie; postanowiłam już milczeć niezłomnie,
I nic mnie nie obchodzi, co pan myślisz o mnie.

Alcest.

Rzeknij słowo, choć słówko jedyne, niestety!
Powiedz, wszakże pisałaś ten list do kobiety?
Wszak tak?

Celimena.

Nie: do Oronta ten list napisałam.
Ja dla niego uczuciem niewygasłém pałam.
Miły mi wielce jego rozum i osoba;
Szaleję za nim, gdy się to panu podoba;
I co chcesz, o téj sprawie już sobie prorokuj,
Lecz odczep się ode mnie i daj mi raz pokój.

Alcest (na stronie).

I jakże tu postąpić w tym razie, mój Boże?
Czyż być upokorzenie równe memu może?
Mam dowód, że z jéj strony oczywista zdrada;
Chcę się użalić, ona wraz na mnie napada;

Rozjątrza moją boleść, puszy się tym chłystkiem,
Każe we wszystko wierzyć i chwali się wszystkiém.
A serce me tak słabe, że jeszcze nikczemnie
Kładę głowę pod jarzmo, chociaż krew wre we mnie;
Napowrót się w niewolę pragnę zaprządz twardą,
I nie zdołam niewiary odepchnąć pogardą.

(Do Celimeny:)

Jakże umiesz, powabów okrywszy się zbroją,
Na swoją korzyść słabość wyzyskiwać moją
I sprawiać, aby rosła w coraz nowe siły
Ta miłość, którą oczy twoje zapaliły!
Przez litość! chciéj taktykę przecięż przybrać inną
I próbuj udowodnić, że nie jesteś winną.
Niechaj ten list nieszczęsny sprawy już nie gmatwa!
Zaufać słowom twoim, to rzecz dla mnie łatwa.
Chciéj się raz wytłómaczyć szczerze, czy nieszczerze;
Powiedz, żeś jest niewinną, a pewnie uwierzę.

Celimena.

Prawdziwie, z tą szaloną mową swoją całą
Nie warteś serca, które ciebie pokochało.
I cóż zdoła wywołać taki przymus we mnie,
Bym do podejścia miała uciec się nikczemnie?
Gdybym kochała kogo, czemużbym w téj dobie
Nie miała szczerze tego wypowiedzieć tobie?
Więc we mnie nie pokładasz tyle dobréj wiary,
Aby uznać, iż czyste są moje zamiary,
I wyznanie miłości, coś zdołał wyprosić,
Jeszcze tobie rękojmi przedstawia nie dosyć?
A jednak, jeśli serce kobiety się skłania

Do uczynienia komu takiego wyznania,
Jeżeli tak postąpi z własną swoją stratą,
Honor bowiem płci pięknéj nie pozwala na to,—
Powiedz sam, czémże będzie kochanek, co przecię
Pozwala sobie wątpić o takiéj kobiecie,
Nie licząc się z słowami, co tylko z ostrożna,
Po długiéj z sobą walce wypowiedzieć można?
Ta nieufność miłości może sprawić zgubę:
Nie zasługujesz nawet, by cię brać w rachubę.
Głupią jestem doprawdy, że jeszcze choć mała
Cząstka współczucia w sercu dla ciebie została;
I winnabym, wybrawszy kogo z twych rywalów,
Nastręczyć tobie powód słuszniejszy do żalów.

Alcest.

Dziwna słabość dla ciebie w mém sercu się chowa.
Być może, że mi kłamią te miodowe słowa,
Lecz trudno, przeznaczenia swego nikt nie minie:
A mnie jest przeznaczoném kochać cię jedynie;
Więc czyś miłości szczeréj godna, czy niegodna,
Chcę już cierpliwość moją wysączyć aż do dna.

Celimena.

Nie! ty nie umiesz kochać, jak kochać przystoi!

Alcest.

Ach! cóż wyrównać zdoła téj miłości mojéj!
Ja cię do tego stopnia miłuję, że robię
W sercu mojém życzenia wprost przeciwne tobie:
Chciałbym, by twe tryumfy rozwiały się z dymem,

By los dla ciebie został okrutnym ojczymem,
By szczęście się nie plotło do dni twoich wątku,
Byś nie miała szlachectwa, wdzięków, ni majątku,
Ażeby serce moje swéj miłości siłą
Niesprawiedliwość losu ci wynagrodziło,
I żebyś odwdzięczając miłość mą wzajemnie,
Wiedziała, że to wszystko zyskujesz ode mnie.

Celimena.

Doprawdy, że twych życzeń prospekt wcale miły!
Lecz niech Bóg broni, żeby się kiedy ziściły!...
Ale patrz... to twój Dubois w podróżnym ubiorze?

SCENA IV.

Celimena, Alcest, Dubois.

Alcest (do Dubois).

Co to? czy się wybierasz w podróż o téj porze?
Co ci jest?

Dubois.

Panie...

Alcest.

No, cóż?

Dubois.

Nie wiem, co się stanie...

Alcest.

Jakto?

Dubois.

A tak, widocznie źle już z nami, panie.

Alcest.

Źle?

Dubois.

Mogęż głośno mówić?

Alcest,

Możesz.

Dubois.

Bo to właśnie...

Może kto podsłuchuje?

Alcest.

Niech cię piorun trzaśnie!

Mówże!

Dubois.

Tak... ale trudno... świat przecię szeroki...

Alcest.

Będziesz ty gadał?!

Dubois.

Trzeba uciekać bez zwłoki!

Alcest.

Dla czego?

Dubois.

A... żeby się nie poszkapić sprośnie.

Alcest.

Kto? co? jak?

Dubois.

Uciekajmy, panie, gdzie pieprz rośnie!

Alcest.

Co ty pleciesz bez sensu? jakbyś był w obłędzie?

Dubois.

Plotę, że trzeba zmykać, aż się kurzyć będzie.

Alcest.

Mówże mi tutaj zaraz jasno i wyraźnie,
Jeśli nie chcesz, bym tobie dał nauczkę, błaźnie!

Dubois.

A oto... przyszedł do nas, może przed godziną,
Człowiek czarno ubrany i z ponurą miną,
I przyniósł z sobą papier zabazgrany cały,
Na którym jakieś znaki i pieczęcie stały.
Może to procesowy jest dokument jaki...
Bo sam dyabełby poznał wszystkie te zygzaki.

Alcest.

Wiem, ośle, że do pisma oczy ci nie służą.
Ale cóż ma wspólnego ten papier z podróżą?

Dubois.

Bo gdym się zastanawiał nad tém mi nieznaném
Pismem, przyszedł pan jakiś, który często z panem
Tu bywa i tak nieraz siedzi nawet długo;
A że mnie znał i wiedział, żem jest dobrym sługą,
Rzekł do mnie, a to dobrze utkwiło mi w głowie,
Żeby... Tylko jak ten pan u licha się zowie?...

Alcest.

Gadaj, łotrze, bo pamięć napędzę ci batem!

Dubois.

To jest jeden z przyjaciół pańskich, wszak dość na tém.
I mówił, że tu dla nas zostać niebezpiecznie,
I że trzeba się, panie, wynosić koniecznie.

Alcest.

Lecz z jakiego powodu, ty barania głowo?

Dubois.

On tylko mi powiedział, że napisze słowo
Do pana, i napisał nie wiem co w tym liście,
Lecz kazał mi go panu wręczyć osobiście.

(Zaczyna szukać listu.)

Alcest.

Dajże prędzéj!

Celimena.

Doprawdy, żem bardzo ciekawa,
Co to jest.

Alcest.

Zaraz cała wyjaśni się sprawa.
(Do Dubois:)
No, gdzież ten list, ciemięgo? Daszże go raz przecię?

Dubois (przeszukawszy wszystkie kieszenie).

Musiałem go zostawić w pańskim gabinecie.

Alcest.

Ha! łotrze! Dam ja tobie!

Celimena.

Gniew tu nic nie wskóra.
Lepiéj iść się przekonać.

Alcest.

Głupia awantura!
Los jakby naumyślnie na kieł ze mną bierze,
Żebym nie mógł się z panią porozumieć szczerze.
Lecz choćby się sprzysięgło wszystko na mą duszę,
Wrócę tu, bo się przecięż coś dowiedzieć muszę.

AKT V.

SCENA I.

Alcest, Filint.

Alcest.

Tak być musi i mego zamiaru nie zmienię.

Filint.

Ale zkądże tak nagle to postanowienie?

Alcest.

Ztąd, że trzeba z tym fałszem raz ukończyć zgoła.
Nic od tego zamiaru odwieść mnie nie zdoła.
Czarna bowiem przewrotność panuje na świecie,
I raz na dobre z ludźmi trzeba skończyć przecię.
Jakto! w procesie, co był przed chwilą sądzony,
Honor, uczciwość, cnota, wszystko z mojéj strony,
Każdy mi sprawiedliwość należną oddawa,
Sędziowie mówią, że jest słuszna moja sprawa,

I kiedy tą nadzieją zwodniczą się żywię,
Sprawiedliwość rozsądza rzecz niesprawiedliwie:
Łotr wierutny, którego sprawki dobrze znane,
Otrzymuje pochwałę, ja w zamian naganę.
Obdarł mnie z bezczelnością i zdradą nikczemną,
A sąd mu wszelką słuszność przyznaje nademną,
I podstęp, jakim walczy ten nędzny przechera,
Urąga się słuszności i prawo zaciera,
Stanowiąc, że zła wiara tylko z mojéj strony.
Nie dość na tém, żem został nędznie ograbiony,
Jeszcze mnie wystrychnięto na ludzi straszydło,
Puszczając w świat książczynę lichą i obrzydłą;
I ci, co ręka w rękę wciąż idą z tym szują,
Mnię bezczelnie autorstwo książki przypisują.
Ten zaś twój Oront w sposób drażliwy a słodki,
Przeciw mnie występując, potwierdza ich plotki.
A jednak, co do niego, mém przestępstwem całém
Prawda, którą otwarcie mu wypowiedziałem.
Bo kiedy sam mnie prosił, bym w najlepszéj wierze
O jego wierszach zdanie wypowiedział szczerze,
A ja sądząc, iż prawdy pożąda odemnie,
Nie chciałem być fałszywym i schlebiać nikczemnie,
Ten człowiek ma prawdziwéj godności tak mało,
Że wystąpił przeciw mnie z zawziętością całą,
I téj winy nic w oczach jego nie odkupi,
Że otwarcie ów sonet potępiłem głupi.
A więc świat taką drogą podążać się stara!
Taka jego uczciwość! taka dobra wiara!
I każdy z nich w ten sposób prawo sobie rości
Do szacunku ludzkiego i sprawiedliwości?

Nie! już nie kładnąc memu oburzeniu tamy,
Chcę się wydrzeć raz w życiu z téj łotrowskiéj jamy!
Drzyjcie się jakby wilki między sobą sami,
Lecz ja, nie będąc wilkiem, nie chcę się gryźć z wami.

Filint.

Ja tylko pośpiechowi twojemu się dziwię.
Nie trzeba znów o ludziach tak sądzić skwapliwie.
Twój przeciwnik chciał ciebie uwięzić, a przecię
Sąd mu słuszności w swoim nie przyznał dekrecie;
A może też sędziowie jeszcze się spostrzegą
I na zgubę mu wyjdzie ta przewrotność jego.

Alcest.

Bądź spokojny! U sędziów ma on takie łaski,
Iż swobodnie zbrodniarzem może być bez maski.
To mu na dobre wyjdzie, i chwila już blizka,
W któréj wpływowy urząd za swe sprawki zyska.

Filint.

Może. Lecz choć cię chciano szkalować bez miary,
Toż nikt nie przywiązywał do tych oszczerstw wiary.
Wprawdzie przegrałeś proces, i zawód masz duży
Z tego; lecz appellacyi prawo tobie służy.
Trochę téj pisaniny niewielkim kłopotem
Byłoby. A więc mógłbyś...

Alcest.

Ani myślę o tém!

Chociaż wiesz, jakie moje o wyroku zdanie,
Gdy raz go ferowano, niechaj już zostanie;
Niechaj na wieki przetrwa ta sędziów ohyda,
Niechaj potomność o niéj sąd swój słuszny wyda;
Niech pozna, stan ten rzeczy rozpatrując cały,
Że fałsz i zdrada w naszym wieku panowały.
Tysiące franków sprawa kosztować mnie będzie,
Lecz za tysiące franków mam zawsze i wszędzie
Prawo mówić, że we mnie wzgardę tylko budzi
Fałsz, który dziś wyłącznie panuje wśród ludzi.

Filint.

Lecz pozwól...

Alcest.

Nie pozwolę, mój szanowny panie,
Bo mam już pod tym względem stałe przekonanie,
I nic mnie już od niego odwrócić nie zdoła.
Jakto? czy bronić ludzi miałbyś dosyć czoła?

Filint.

Przyznaję, że ze słusznym przyjmujesz to wstrętem,
Że sprawiedliwość w świecie znikła już ze szczętem,
Że tylko fałsz i zdrada panować dziś mogą,
I że ludzie niedobrą postępują drogą.
Lecz te wszystkie ich błędy i złe nawyknienia
Jeszcze nie są powodem do odosobnienia.
Owszem, może najlepiéj jest bezstronnie, z góry
Sądzić o niedostatkach téj ludzkiéj natury.

W taki sposób się cnota spotężnia i chwali.
Bo gdyby wszyscy ludzie byli doskonali
I nic do poprawienia w świecie nie zostało,
Cnotaby utraciła swą potęgę całą.
Największym jest przymiotem, według mego zdania,
Niesprawiedliwość ludzką znosić bez szemrania,
I można tą ciernistą zdążając koleją...

Alcest.

Wybornym, drogi panie, jesteś kaznodzieją,
I umiesz wzniosłe myśli w piękne wiązać słowa;
Ale mnie nie przekona ta twoja wymowa.
Towarzystwa ludzkiego dłużéj nie chcę znosić,
Nigdy siły nad sobą nie będę miał dosyć,
Ażeby tak żyć z mojém przekonaniem sprzecznie.
Tylko nieprzyjemności miałbym z tego wiecznie.
Lepiéj się nie zajmując tą próżną robotą,
Pozostaw mnie tu samym. Chcę się raz już o to
Z Celimeną rozprawić, i wiedzieć, czy ona
Do mojego zamiaru również się przekona.

Filint.

To zajdźmy do Elianty, a może pospołu
Z nią łatwiéj...

Alcest.

Nie: chcę tego uniknąć mozołu.
Już nadaremnych rozpraw nie czas toczyć dłużéj.
Zostanę sam; w zmartwieniu samotność mi służy.

(Usiada w ciemnym kącie pokoju.)

Filint.

A mnie przykro, że troską trapisz się daremną,
I poproszę Elianty, aby zeszła ze mną.

(Filint wychodzi.)

SCENA II.

Celimena, Oront, Alcest.

Oront.

Niechże mi pani sama wskazać raczy drogę,
Przez którą jéj wzajemność zyskać sobie mogę.
Chcę wiedzieć, czy twe serce ku memu się skłania;
Miłość bowiem prawdziwa nie znosi wahania.
Jeśli tę miłość, którą składam ci w ofierze,
Odpłacasz wzajemnością, to odpowiedz szczerze,
Czy tutaj pożądanym tobie gościem jestem?
A przedewszystkiém proszę, chciéj zerwać z Alcestem.
Niech mu się niestworzone nadzieje nie roją
I niech gdzieindziéj miłość ulokuje swoją.

Celimena.

Jakiż powód dał panu Alcest do urazy?
Przecięż go sam chwaliłeś przy mnie tyle razy.

Oront.

Pragnę raz wiedzieć, kto z nas do twéj wzajemności,
On, czyli ja, słuszniejsze prawo sobie rości.

Zechciéj to więc w stanowczém wypowiedzieć słowie,
A jako postanowisz, i ja postanowię.

Alcest (wychodząc z ukrycia).

Ja zaś z panem zupełnie zgadzam się w téj mierze:
Z pośród nas dwóch niech pani jednego wybierze.
Uczucia twoje dłużéj taić się nie mogą;
Powiedz, kogo z nas kochasz, jeśli kochasz kogo,
I prawdziwéj szczerości raz już z nami użyj,
Bo niepodobna wytrwać w niepewności dłużéj.

Oront.

Chciéj pan zawierzyć, że mnie żadna chęć nie bodzie,
Abym pańskiéj miłości stawał na przeszkodzie.

Alcest.

I ja również zapewniam, że ustąpić mogę,
Nie chcąc w miłosnych sprawach wchodzić panu w drogę.

Oront.

Więc jeżeli do pana serce swoje skłania...

Alcest.

Jeżeli ma do pana więcéj przywiązania...

Oront.

To przysięgam, że ztąd się natychmiast wydalę.

Alcest.

To przysięgam, że mnie już nie zobaczy wcale.

Oront.

Niechajże pani sąd swój wydaje łaskawy.

Alcest.

Niechże pani wybiera bez wszelkiéj obawy.

Oront.

Ukój raz już zwątpienia, co nas niepokoją.

Alcest.

I powiedz, kogo z nas dwóch łaską darzysz swoją.

Oront.

Jakto? więc skłonność serca pani niewiadoma?

Alcest.

Jakto? pani się wahasz między nami dwoma?

Celimena.

Jesteście dziś panowie strasznie natarczywi,
I wybaczcie, że mnie ich naleganie dziwi.
Parę słów wypowiedzieć rzecz na pozór błaha.
Między wami me serce wcale się nie waha;
Łatwo przez wymienienie jednego nazwiska
Określić, który z was dwóch mą wzajemność zyska.
Ale czyż to przyjęte jest na naszym świecie?
I powiedzcie, czyli to przystoi kobiecie,
Aby tak, w obec, ludziom rzucała na głowę
Jednemu przyzwolenie, drugiemu odmowę?

Po cóż mam tak z szorstkością tu wyrażać całą
Słowo, co serce moje dawno powiedziało?
Chcecie mnie tylko próżnym zatrudniać kłopotem.
Ten, co zyskał wzajemność, już dawno wie o tém.

Oront.

O, nie! niech twoje słowa prawdy nam nie słonią!
Chcę ją znać...

Alcest.

A ja proszę najusilniéj o nią.
Niechaj pani wybierze jednego z nas obu,
Wyczekiwać tak daléj już nie ma sposobu.
Nie mogą wszyscy wiecznie więzów twoich znosić,
Już tych igraszek i téj niepewności dosyć.
Ja przynajmniéj tym zwłokom dłużéj nie uwierzę.
A jeśli pani nie chcesz objaśnić mię szczerze,
Nauczę się przynajmniéj, jak sądzić o tobie:
Milczenie jest odmową i już wiem co zrobię.

Oront.

Słowa pańskie są słuszne; bo, na moją duszę,
Chcę prawdy i koniecznie wiedzieć o niéj muszę.

Celimena.

Gniewacie się panowie, jakby szło o życie,
I doprawdy napróżno tylko mnie dręczycie.
Zawsze zbytnia skwapliwość w takich razach błądzi...
Lecz otoż i Elianta. Niech ona osądzi.

SCENA III.

Elianta, Filint, Celimena, Oront, Alcest.

Celimena.

Nigdy nie mogłaś w lepszéj pojawić się chwili.
Ci dwaj panowie oto razem się zmówili,
Żeby mnie prześladować. Żądają wyznania,
Ku któremu z nich obu me serce się skłania;
Mam wyrzeknąć, wyroczni przybierając postać,
Który ma sobie odejść, a który ma zostać.
Powiedz sama, czy gdzie się tak dzieje na świecie?

Elianta.

Lepiéj o to, kuzynko, nie pytaj. Wiesz przecię,
Że pod tym względem myślą kierując się własną,
Chciałabym wszystkim prawdę wypowiedzieć jasno.

Oront (do Celimeny).

Potwierdzenia nie znajdziesz pani u nikogo.

Alcest.

I już pani wybiegi wszelkie nie pomogą.

Oront.

Trzeba coś postanowić z otwartością całą.

Alcest.

Trzeba wybrać. Milczenie na nic się nie zdało.

Oront.

A więc swój wybór, pani, raz wypowiedz ściśle.

Alcest.

Jeśli zaś nic nie rzekniesz, wiem już co pomyślę.

SCENA IV.

Elianta, Filint, Celimena, Oront, Alcest, Arsynoe, Akast, Klitander.

Akast (do Celimeny).

Przychodzim obaj prosić pani, byś łaskawie
Dała nam posłuchanie w pewnéj drobnéj sprawie.

Klitander (do Alcesta i Oronta).

Dobrze, że nam się panów zastać tu udało,
Bo ta sprawa ich także dotycze niemało.

Arsynoe (do Celimeny).

Niechaj panią nie dziwi, że tutaj przychodzę.
Ci panowie wstąpili zabrać mnie po drodze;
Pragną tu bowiem z panią rozprawić się szczerze
O krzywdę, w którą wierzyć nie chcę i nie wierzę.
Znam bowiem twoje serce, należnie je cenię,
I wiem, jak pod tym względem czyste masz sumienie.
Więc choć mi dowodzili, że zdradzasz bez miary,
Ja oczom nawet własnym nie chciałam dać wiary,
I przybyłam tu z nimi z otwartością całą,
Bo wiem, że się z potwarzy zmyjesz, jak przystało.

Akast.

Tak, przybywamy tutaj sądzić najłagodniéj,
Jak pani nam niewinność swoją udowodni.
(Pokazując list:)
Wszakże to do Klitandra ten list oczywiście?

Klitander (pokazując także list).

A tu znowuż Akasta adres na tym liście!

Akast (do Oronta i Alcesta).

Chciejcie spojrzeć! Zapewne jéj grzeczność wspaniała,
Każdego z panów listem już obdarowała,
A więc macie w pamięci cechę niezatartą
Jéj pisma. Lecz te listy przeczytać nam warto.
(Czyta:)

„Dziwny z pana człowiek. Potępiasz moje wesołe
„usposobienie, twierdząc, że najweselszą jestem właśnie
„wtedy, kiedy ciebie nie ma przy mnie. To najniespra-
„wiedliwszy zarzut, i jeżeli pan nie przyjdziesz jak naj-
„śpieszniéj mnie przeprosić za tę krzywdę mi uczy-
„nioną, nigdy panu już nie przebaczę. Nasz głupowaty
„wicehrabia..."
Szkoda, że go tu nie ma!

„Nasz głupowaty wicehrabia, który najbardziéj pa-
„nu jest solą w oku, nie może mi się podobać. Odkąd
„widziałam go przez trzy kwadranse plującego do studni,
„ażeby robić kółka na wodzie, odtąd zgubiony on jest
„zupełnie w opinii mojéj.

„Co się zaś tycze małego markiza..."
To, bez zarozumiałości, ja sam, proszę panów.

„Co się zaś tycze małego markiza, który tak dłu-
„go ściskał mnie za rękę, to wiedz pan o tém, że dla
„mnie nie ma on najmniejszego znaczenia, i ani z miny,
„ani z czupryny mi się nie podoba. Ów poważny czło-
„czek o zielonych wstążkach..."

(Do Alcesta:)

To się do pana odnosi.

„Ów poważny człeczek o zielonych wstążkach, co
„tak gdera ciągle, rozwesela mnie czasem tém swojém
„sarkaniem na wszystko i na wszystkich i szorstkiemi
„wybuchami gniewu. Ale bywają chwile, w których prze-
„biera się już miarka i staje mi się natrętnym. Jego-
„mość zaś w krótkim..."

(Do Oronta:)

Masz tu i pan za swoje!

„Jegomość zaś w krótkim kabaciku, któremu się
„przyśniło, że ma talent, i który, wbrew zdaniu wszystkich,
„chce być autorem, nudzi mnie swojemi frazesami; jego
„proza jest równie nużąca jak wiersze.

„Niechajże pan zechce zrozumieć nareszcie, że nie-
„zawsze mogę się bawić, jak się to panu zdaje; że nieraz
„wśród tych rozrywek, które oni dla mnie wynajdują,
„tęskno mi do pana, i że obecność ludzi, których kocha-
„my, jest najpożądańszą okrasą wszystkich naszych przy-
„jemności."

Klitander.

A to znowu dla mnie cukierek.

„Ten Klitander, o którym i pan mówisz, słodkawy
„aż do mdłości, nigdy nie potrafiłby sobie zjednać moje-

„go serca. Nie wiem, zkąd mu się mogło przywidzieć,
„że ja go kocham, tak jak panu znowu, że jestem dla
„ciebie obojętną. Zechciéjże pan zrobić z nim zamianę
„pod względem wyobrażeń, jakie macie o mnie, i odwie-
„dzaj mnie pan jak najczęściéj, ażeby mi jego obecność
„zbytnio nie ciężyła."

Widocznie szczerość nie jest tych listów przymiotem;
A pani wie zapewne, jak świat sądzi o tém.
To dość. Żegnamy panią, i pójdziemy daléj
Obeznać dobrych ludzi z tém, cośmy czytali.

Akast.

Miałbym tu do wymówek porę dość swobodną,
Ale mojego gniewu nie sądzę cię godną.
Mały markiz, choć ginie wśród światowéj rzeszy,
Po stracie serca pani łatwo się pocieszy.

SCENA V.

Celimena, Elianta, Arsynoe, Alcest, Oront, Filint.

Oront.

Po tylu obietnicach mogłażeś w ten sposób
Niecny, o mnie do obcych odzywać się osób?
Więc tak szerokie twoje miłosne zapały,
Że chcesz niemi ogarnąć rodzaj ludzki cały?
Pozwalałem drwić z siebie; dziś ze szkodą własną
Całe serce się twoje odsłoniło jasno.
Wdzięczen ci jestem za tak otwarte wyznanie;
A to, co we mnie tracisz, twą karą się stanie.

(Do Alcesta:)

Uszczęśliwienie pańskie już teraz jest blizkiém,
I małżeński interes możesz ubić z zyskiem.

SCENA VI.

Celimena, Elianta, Arsynoe, Alcest, Filint.

Arsynoe (do Celimeny).

Doprawdy, jest to sprawa niemiła i zdrożna;
Słuchać o niéj aż przykro, wybaczyć nie można.
Zdrada pani zbyt jawna i wszystkim już znana.
O innych mi nie idzie wcale, lecz o pana...

(Pokazując na Alcesta:)

O człowieka honoru, zasługi i cześci,
Który uległszy twojéj potędze niewieściéj,
Przysięgał, że cię będzie miłował na wieki.
Mogłażeś...

Alcest.

Niech mnie pani wyjmie z swéj opieki;
Ja sam najstosowniejszą zawsze znajdę drogę,
Bo w każdym razie radzić sobie chcę i mogę
I nawet za tę łaskę pani tak wspaniałą
Nie umiem się odwdzięczyć jakby należało;
A gdybym inny wybór chciał uczynić potém,
Nie stałabyś się mojéj miłości przedmiotem.

Arsynoe.

Dziwnym się myśli pańskie wyrażają kształtem.
Czyż kto miłości twojéj poszukuje gwałtem?

Zarozumiałość w panu zbyt to wielka może,
I prowadzi cię ona prosto na bezdroże.
Doprawdy, taki towar wcale mnie nie nęci,
Który stał się u pani przyczyną niechęci.
Racz pan według swéj miary nie sądzić nikogo.
Takie kobiety jak ja wyżéj sięgać mogą.
Niechajże się pan daléj o jéj względy stara,
Bo widzę, że z was będzie najdobrańsza para.

SCENA VII.

Celimena, Alcest, Elianta, Filint.

Alcest.

Widzi pani, milczałem, chociaż gniew mnie pali,
I dozwoliłem innym, by się wygadali.
A teraz, gdy się wszystko już naurągało
Ze mnie, mogęż powiedzieć...?

Celimena.

Tak, możesz pan śmiało
Wymawiać mi, i zrzekam się wszelkiéj obrony.
Skargi twoje są słuszne, gniew uzasadniony.
Zgrzeszyłam, najotwarciéj wyznanie to robię;
Ale zgrzeszyłam głównie tylko przeciw tobie.
Gdy się tamci obeszli ze mną tak niegodnie,
Gardziłam tém; lecz tobie wyznaję tę zbrodnię.
Czuję, jakie masz słuszne do gniewu przyczyny,
Czuję, jak ciężkie moje względem ciebie winy;
Wiem, że już w twoich oczach nic mnie nie oczyści,

I że stanę się celem twojéj nienawiści.
Więc zgadzam się na wszystko...

Alcest.

Tak, wszystko cię wini,
I w głębi duszy ciebie potępiam, zdrajczyni.
Lecz choć się uniewinnić już nie możesz zgoła,
Czyliż cię serce moje nienawidzieć zdoła?

(Do Elianty i Filinta:)

Widzicie, jak ją kocham! Bądźcież teraz sami
Téj już nieuleczonéj słabości świadkami,
I chociaż ona mojéj miłości niegodna,
Chcę ustępstwa me dla niéj wyczerpać aż do dna.
Próżno rozum nad wolą pragnie trzymać straże:
Serce kruche i zawsze ustępować każe.

(Do Celimeny:)

Tak jest, postępowanie twoje wiarołomne.
Znam je, lecz ci przebaczę i wszystko zapomnę.
Mianem słabości pragnę pokryć twoją zdradę,
I na karb twéj młodości wszystkie winy kładę.
Lecz chcę, by twoje serce nakłonić się dało
Do celu, co mą duszę ukoi zbolałą.
Ten świat, ohydny dla mnie, słusznie ciebie wini.
A więc z dala od ludzi, na jakiéj pustyni
Zamieszkamy oboje. To środek jedyny,
By mnie pokój przywrócić, a zmazać twe winy.
Tam, stroniąc od głupstw ludzkich i nie bacząc na nie,
Niech tobie za świat cały miłość moja stanie.

Celimena.

A więc mnie takim szczęścia chcesz zjednać obrazem,
Bym z tobą na pustyni zamknęła się razem?

Alcest.

Jeżeli chcesz serc prawych postępować drogą,
Cóż ciebie świat i ludzie obchodzić już mogą?
Czyż za to wszystko miłość nie wystarczy tobie?

Celimena.

Nie chcę w dwudziestu leciech zagrzebać się w grobie,
I nie znajduję w sobie dosyć siły na to,
By spłacić szczęście, złudzeń światowych utratą.
W taki sposób się rany sercowe nie goją.
Lecz jeśli jeszcze rękę chcesz otrzymać moją,
To chętnie...

Alcest.

Nie! już dosyć mam twojéj niewiary!
I w téj chwili ostatniéj dopełniłaś miary.
Gdy nie zgadzasz się na to, ażebym wzajemnie
Mógł widzieć wszystko w tobie, jak ty wszystko we mnie,
To niech się ten niegodny węzeł raz już skruszy
I nienawiść mi tylko pozostaje w duszy!

(Celimena wychodzi.)

SCENA VIII.

Elianta, Alcest, Filint.

Alcest (do Elianty).

Pani! od dawna przyjaźń mnie już łączy z tobą.
Wiem, że szczerość twych wdzięków największą ozdobą,
I pragnę, ceniąc względy twoje najłaskawsze,
Szacunek w sercu twojém zachować na zawsze.
Wiesz, jaki cios w mą duszę uderzył dziś srogi;
Więc choćbym pragnął serce rzucić ci pod nogi,
Nie zasługuję na to. Swych wyroków siłą
Niebo mi tego szczęścia widać odmówiło.
Serce, co pogardzoną miłość w sobie grzebie,
Byłoby, pani, hołdem zbyt niegodnym ciebie.
Więc dozwól...

Elianta.

Zechciéj, panie, nie troszczyć się o to.
Szczerość, jak sam powiadasz, główną moją cnotą,
A oto twój przyjaciel, również może szczerze,
Osamotnione serce dla siebie zabierze.

Filint.

Tego szczęścia gorąco zawsze pożądałem,
I pragnę ci je spłacić życiem mojém całém.

Alcest.

Niechajże się wam wszystko, jak żądacie, stanie!
Użyjcie szczęścia, boście zasłużyli na nie.

Mnie zaś wszystko tu tylko odstręcza i rani;
Więc chciałbym się najśpieszniéj wyrwać z téj otchłani,
I samotność dla siebie wynalazłszy błogą,
Żyć, gdzie honor i prawda skryć się jeszcze mogą.

Filint.

Podążmy za nim, pani; razem połączeni
Może sprawimy, że ten zamiar swój odmieni.

Koniec.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU
K. 7747/56

TREŚĆ TOMU V-go.

Str.

Marion Delorme. Tragedya w pięciu aktach, Wiktora Hugo . 1

Lizetka. Komedya w dwóch aktach, Alfreda de Musset . . 195

Podczas balu. Obrazek w jednym akcie wierszem, Edwarda Pailleron'a 263

Mizantrop. Komedya w pięciu aktach wierszem (1666), z Jana Poquelin'a Molière'a. 285